Klemens Junosza

WILKI

oraz inne

Szkice i Obrazki

z illustracyami

Fr. Kostrzewskiego



Warszawa

Nakładem Księgarni

TEODORA PAPROCKIEGO i S^KI.

1889.

WILKI I INNE SZKICE I OBRAZKI.

WILKI

I INNE

SZKICE I OBRAZKI

Klemensa Junoszy.

Z illustracyami Franciszka Kostrzewskiego.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.
1889.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Сентября 1887 года.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

WILKI.

(Z NOTATEK KOMORNIKA SĄDOWEGO.)

Dziwnem się to komu wydać może, żeby komornik, zwyczajny komornik sądowy, spisywał swoje pamiętniki! Co ciekawego w nich być może? Same tylko nakazy, zajęcia, licytacye, intromisye, a czasem, jakby dla rozmaitości, zabawka w „kota i myszkę" z nieszczęśliwym dłużnikiem, ofiarą prawa o przymusie osobistym.

Tak; na pozór to prawda, ale w istocie, nikt chyba nie napatrzy się na tyle dramatów, komedyj i fars życia — ile komornik. Przesunęło się też przed mojemi oczami wiele obrazów strasznych, obrazów żywéj nędzy i nieszczęścia, rozpaczy, żalu, cichéj rezygnacyi, albo téż przewrotności i szalbierstwa.

Czynność nasza, to rodzaj polowania bezkrwawego—na potulne sarenki lub zające, albo téż na chytrego lisa, pełnego wyrafinowanych przebiegów, podejść i wykrętów. Zdarzało mi się téż trafiać na grubą i niebezpieczną zwierzynę. Pomnę dotychczas jednego „pacyenta" o herkulesowych kształtach i karku bawolim. Postać jego do dziś dnia tkwi w mojej pamięci. Sapał groźnie, jak dzik w legowisku i kto wie czyby nie rzucił się na mnie, jak raniony odyniec, ale, na moje, a naturalnie i na jego szczęście, obecność licznéj służby powstrzymała go od tego kroku.

Tkwi również w mojéj pamięci postać wesołego młodzieńca, w którego mieszkaniu, oprócz pogruchotanéj sofki i blaszanego lichtarza wartości kilku kopiejek, literalnie nie było nic więcéj.

Gdym wszedł ze świadkami i wierzycielem, młodzieniec ów skłonił mi się grzecznie i rzekł ze szczególną powagą.

— Panowie! wiem pocoście przyszli. Nie sądźcie, że spotkacie tu opór... Nie! Szanuję prawo, czczę sądy i z bezwzględną pokorą poddaję się ich mądrym wyrokom. Panie komorniku, pełnij pan swą powinność! Wyłączeń żadnych nie robię, a nad zajętemi ruchomościami gotów jestem przyjąć nadzór, ma się rozumiéć, za skromném wynagrodzeniem... Szanuję prawo i proszę, niech, bez względu na moje smutne położenie finansowe, bez względu na interesa familijne, na zamiar wstąpienia w związki małżeńskie—sprawiedliwość z całą surowością wykonana zostanie.

Był to obraz tak komiczny, że nie mogłem się oprzéć wesołości i wybuchnąłem śmiechem, asystujący zaś mojéj czynności wierzyciel zawołał:

— Nu, patrz pan dobrodziéj, jak un gada! jak un gada! żeby tak płacił jak gada, toby miał największy kredyt w całém mieście...

Ale wracam do rzeczy — do mego pamiętnika.

Jest w nim kartek wiele, bardzo wiele, gdyż praktyka moja była rozległa, czynności miałem mnóstwo. W wolnych chwilach, w święto zwykle, lubiłem notować swoje wrażenia „Z podróży po kraju dłużników.”

Spisywałem je dla rozrywki, dla przepędzenia czasu, bez pretensyi do stawania w szeregach rycerzy pióra... Otóż jedną kartkę z tego pamiętnika wydzieram i rzucam ją przed oczy wasze. Chcecie, czytajcie— jeżeli zaś nie macie tego zamiaru, to drugie dobrze. W żadnym razie z tego tytułu przymus osobisty wam nie zagraża.

. . . .

Aczkolwiek naturalném wydaje się mniemanie, że komornik nie posiada serca — ja jednak ośmielam się temu zaprzeczyć. A mam do tego zasadę, gdyż swego czasu byłem szalenie zakochany... Ideał, do którego wyrywała się moja dusza, posiadał prześliczne oczy barwy habru, buzię jak świéże jabłuszko i figurkę zgrabną, wiotką, niby trzcina... Słowem, było to dziewczę fenomenalnie urocze, w mojém przekonaniu przynajmniéj...

Daremnie siliłbym się na opisanie jéj wdzięków; czuję, że pióro komornika jest na to za sztywne, za urzędowe. Powiem więc krótko, że panna Aniela była oślepiająco piękna!

Starałem się o jéj rękę, jak wielu z młodzieży; tańczyłem z nią przy każdéj sposobności, znosiłem jéj kwiaty, książki do czytania — ot, zwyczajnie jak zakochany...

Niestety, moja miłość była jak kwiat bez woni, jak wyrok bez tymczasowéj egzekucyi... Nie zdołałem pozyskać wzajemności...

Ojciec był za mną, matka za mną, ale sama panna nie chciała mi sprzyjać. Odmowę jéj przyjąłem z rezygnacyą... Cóż robić?.. serce nie sługa, rozkazów nie słucha, a powtóre nie mogłem się mierzyć nawet z moim szczęśliwym rywalem. Ja, blade dziecię miasta, o pospolitych rysach twarzy — on, kwitnący zdrowiem wieśniak, przystojny, w całém znaczeniu tego wyrazu; ja, zwyczajny komornik, mól, meblojad, on dzierżawca folwarku, mający wolancik i parę spasłych, okazałych dereszów,..

Anielcia poszła za niego... Nie dziwię się temu, ja sam byłbym za niego poszedł, naturalnie gdybym był panną.

Byłem na ślubie i ukryty za filarem, w najciemniejszym kąciku kościoła, wypłakałem się serdecznie. Nie śmiejcie się—komornicy także płaczą niekiedy...

Nazajutrz młoda para odjechała do Wierzbówki, a ja pozostałem w mieście; robiłem w dalszym ciągu zajęcia, sprzedawałem stare graty, ścigałem dłużników.

Upłynęło sześć czy siedm lat.

Obraz uroczéj Anielci nie zatarł się w mém sercu, chociaż barwy jego pobladły pod wpływem czasu. Rana w mém sercu zabliźniła się już trochę, a zresztą i poglądy moje na sprawy romansowéj natury uległy znacznéj zmianie.

Czy wogóle serce, przy niewesołych czynnościach mego zawodu stępiało, czy co, dość że straciłem chęć do poznania piękniejszych stron życia, i nie uganiałem się więcéj za oczami habrowemi. Nawet kumoszki i ciotki, które pragnęły gwałtem okuć mnie w złote więzy hymenu, spotkały z méj strony energiczny opór. Nie pomogła wymowa kilkunastu znakomicie wprawnych języczków i, głuchy na wszystko, pozostałem kawalerem do dzisiejszego dnia i, jak się zdaje, pozostanę nim do końca mego, daj Boże najdłuższego żywota.

Pewnego dnia, rankiem, gdy siedziałem w mojéj kancelaryi i przeglądałem papiery, wszedł stały mój klient, pan Abraham Fajn, okazałéj tuszy mężczyzna i obcierając spocone czoło czerwoną chustką, rzekł:

— Panie kimorniku, trzeba nam zaraz jechać, zrobić zajęcie.

— Na wsi? zapytałem.

— Trochę na wsi. Mam prawomocnego wyroku na Sakowicza, dzierżawcę z Wierzbówki; winien całkiem głupie 500 rubli i nie chce płacić, niech jemu djabli wezmą.

— Kiedyż mamy jechać.

— Jakto kiedy? dziś na noc, staniemy tam przed świtem. Trzeba spieszyć, bo un schowa gdzie swoje pare konie i wolant, które dla mnie akurat pasują. Ja już nie mogę trząść moje zdrowie na zwyczajne brycz-

ke, mnie doktór powiedział, żeby ja sobie koniecznie resorów sprawił. Un powiedział co bez resorów, mogę sobie, broń Boże, zrobić feler na wątrobę. Niech moje wrogi mają taką słabość!!! Niech lepiéj im się feler zrobi. Aj... aj... panie kimorniku, ja panu co powiem, że taki feler, broń Boże, to jest bardzo głupi interes.

Uporządkowałem papiery i tegoż dnia na noc puściłem się w drogę.

Samego Sakowicza nie było w domu.

Zrobiłem zajęcie, oddałem ów wolant, konie i uprzęż pod dozór i już miałem odjeżdżać, gdy wyszła do mnie pani domu, mój niegdyś ideał, modrooka Anielcia.

Utyła trochę, zmieniła się, ale jeszcze była piękna.

Na jéj widok serce moje uderzyło żywiéj, rumieniec na twarz wystąpił. A gdy spojrzała na mnie załzawionemi oczami, gdy szepnęła „panie Józefie nie gub nas pan," to uczułem, że nogi chwieją się podemną, żem gotów największe głupstwo zrobić. Człowiek zawsze ma słabość do wspomnień.

— Wybacz pani — rzekłem, — ale smutna powinność...

— A tak,—odrzekła—ja do pana nie mogę miéć żalu, nie mogę nawet miéć żalu do pana Fajna, tu nikt nie winien, tylko mój Jaś... mój mąż. Lekkomyślny jest trochę, grosza nie szanuje.

Nie dokończyła, bo płacz przerwał jéj mowę, próbowałem pocieszać, Abram także perswadował jéj po swojemu.

— Za pozwoleniem, czego pani płacze? Te dwa kobułe co pan kimornik zajął, to więcéj owsa zjedzą niż une same warte, a wolant? Co to jest wolant?! wielgie mecyje!.. ja pani nastręczę drugi jeszcze lepszy. Ot dalibóg niéma sobie co martwić, w handlu to różnie się przytrafuje, niech sam pan kimornik poświadczy.

— Pan tego nie zrobisz, panie Józefie, pan nas nie zniszczysz...—szeptała łkając — pięcioro dzieci, Jaś lekkomyślny...

W téj chwili przeklinałem i urząd mój i serce; wolałbym był zapaść się pod ziemię, aniżeli widzieć te łzy... ale trudno... służba...

Odjechałem.

Swoją drogą, starałem się na wszystkie strony o pieniądze. Dawny przyjaciel i kolega szkolny obiecał przywieźć mi je osobiście za parę tygodni.

Niestety, nie stawił się na termin. Dzień licytacyi był już oznaczony, czego przerobić nie mogłem. Żyd był twardy, gotów zaskarżyć do prezesa, mogłem posadę stracić jak nic...

— Ha, dziej się wola Boża!—pomyślałem.

Wyjechaliśmy z miasta z Abramem, po południu, na wielkiéj bryce, zaprzęgniętéj w jakieś wychudzone wywłoki.

— Niech pan kimornik sobie nie lęka — rzekł Abram—z powrotem to my przyjedziemy z wolantem. Sakowicza pachciarz jego dla mnie kupi. Obiecałem mu za to trzy procent. Un téż potrzebuje żyć, un biedny żydek jest. I moje wątrobe nie będzie miało feler. Na co jéj feler? ja téż potrzebuję żyć... ja przeszłego roku woziłem ją do ciepłe wode, mnie pięćset dwadzieścia trzy ruble kosztowało... Powiédz pan, panie kimorniku, czy kto ma takie kosztowne wątrobe, z przeproszeniem?

— Tak, tak,—odrzekłem — to kapitał, panie Fajn, szkoda tylko, że nie można od niego kuponów odcinać.

— Jakto, komponów?... Fe! nie mów pan takie słowo! Jak to można odciąć kompon od wątrobe? Pfe! pfe!—mówił sapiąc, gdyż przy pełnéj tuszy, prędkie mówienie sprawiało mu duszność.

Był już wieczór, gdy przybyliśmy nad brzeg Wieprza, gdzie była przeprawa promem, ale tu spotkała

nas nieprzewidziana przeszkoda; prom zepsuł się, przejechać nie sposób, do najbliższego mostu sześć mil z okładem, a tu licytacya naznaczona na jutro.

Ja byłem bardzo kontent z takiego obrotu rzeczy,—sądziłem że uda mi się zwłokę uzyskać—ale Fajn nie dał za wygraną.

Najął łódkę i przedostaliśmy się na drugą stronę rzeki, w nadziei, że wynajmiemy konie w poblizkiej wiosce i dostaniemy się do Wierzbówki. Konie Fajna zostały na brzegu, pod opieką Judki, dzierżawcy przewozu.

Wysiedliśmy na ląd, przewoźnik odpłynął—a my udaliśmy się pieszo do Kalinowa, gdzie można było wynająć konie u chłopów.

Droga wypadała nam przez duży i gęsty las. Fajn, sapiąc, szedł z trudnością i niósł moją tekę z papierami — ja zaś dźwigałem strzelbę, bez której nigdy się w drogę nie puszczam. Od dzieciństwa mam słabość do myśliwstwa.

Uszliśmy może wiorstę drogi, gdy noc zapadła, prześliczna letnia noc — pogodna. Niebo usiane gwiazdami, w lesie cisza, zapach, gałązki łagodnie szemrały.

— Oj, panie kimorniku! — rzekł zasapany Fajn — panie kimorniku, czekaj pan, jedno słowo...

— Co pan chcesz?—spytałem niechętnie.

— Panie kimorniku, powiédz pan, czy od wielgie chodzenie może sze zrobić feler na wątrobe?

— Nie chcę pana straszyć...

— Jakto nastraszyć? czém pan mnie może straszyć?

— Tak, ale widzisz pan, znałem jedną kupcowę, bardzo wspaniałą damę, dobréj tuszy i... z felerem: Otóż poszła ona raz za miasto na spacer, dość nawet daleko; zaskoczyła ją burza, więc biegła prędko do domu, zadyszała się... zmęczyła.

— Nu i co z tego buło?

— I nieszczęście stało się... umarła.

Fajn usiadł.

— Panie kimorniku — rzekł prawie z płaczem — panie kimorniku, pan potrzebujesz trochę sobie odpocząć.

— Ja nie—owszem ja nawet lubię ruch?

— Daj pan spokój—na co taki ruch? Tamta kupcowa...

— Eh! głupstwo... panie Fajn, prędzéj czy późniéj to mała różnica, przecież każdy musi umierać...

— Nie powiédz pan to! panie kimorniku, ja pana proszę, siądź pan sobie. Bogu dzięki ziemia duża, nie potrzebujesz pan kimorne płacić.

— Nie zdążymy,—szepnąłem.

— Nie bój się pan, może jaka fura nadjedzie, zabierze nas.

Usiadłem.

Przez chwilę milczeliśmy. Fajn położył się nawznak, oczy utkwił w niebo i patrzył, ja siedziałem oparty o pień drzewa.

Swiéże, balsamiczne powietrze, urok nocy letniéj, zaczęły żyda rozmarzać.

— Wiesz pan co, panie kimorniku,—rzekł—tu dobrze jest, tu bardzo dobrze jest...

— Zapewne—rzekłem,—chociaż niezupełnie. Co do mnie, wolałbym leżéć teraz w łóżku wygodnie, jak człowiek, aniżeli tułać się po lesie, gdzie Bóg wie co może człowieka spotkać...

Fajn podniósł głowę.

— Jakto? co może w lesie człowieka spotkać? na co ma go spotkać?

— Albo ja wiem? dość że jesteśmy w lesie — rzekłem, biorąc broń do ręki i oglądając się uważnie.

— Myślisz pan co rozbójnik, broń Boże?...

— E, nie! w naszych stronach nie praktykuje się to często, ale wilk...

— Co wilk? po co tu ma przyjść wilk? na co un tu jest potrzebny?

— Czy ja wiem na co? Pzed dwoma tygodniami w tym samym lesie wilki zjadły chłopa...

— Uni mu zjedli? to nie może być!

— Tak zjadły, że tylko buty i czapka została.

Fajn zerwał się na równe nogi.

— Panie kimorniku! — rzekł — chodźmy; co mamy tu siedzieć? od żemie to wilgoć jest, może broń Boże zaszkodzić... Mnie jeden doktór mówił, co od żemi jest najgorszy wilgoć!... frybrowy wilgoć!

— Mieliśmy przecie trochę odpocząć.

— Co odpocząć? po co? Czy to my, nie przymierzając chłopy, co sobie młócą i potem muszą leżeć jak biki? Nawet na take osobe jak pan kimornik, to nie pasuje leżyć na trawe... to po chłopsku jest... Chodźmy, ja pana bardzo proszę...

— Jeżeli pan chcesz koniecznie, to trudno, chodźmy — ale miej się pan na ostrożności: teraz jest noc, z każdego krzaka może co złego wyskoczyć...

— Aj waj! panie kimorniku, powiedz pan, czy od wielkiego strachu może być broń Boże, feler na wątrobę?

— Nawet ogromny. Dla czego się pan o to pytasz?

— Co ja się mam pytać? tak sobie... Pan miszli co ja sobie boję?... ja nawet mogę krzyknąć — słuchaj pan, jak ja odważnie krzyczę: — hu! ha!

— Pst! co pan u dyabła wyrabiasz!?...

— Jakto co?... ja sobie hukam.

— Nie wywołuj pan wilka z lasu...

Fajn umilkł i po chwili zapytał:

— Przepraszam, panie kimorniku, czy pan widziałeś kiedy wilk?

— Aj, aj, wiele razy.

— I z jakim sposobem un pana ani razu nie zjadł?

— To jest... widzisz pan, znowuż nie chciałbym pana martwić.

— Dla czego? co to jest martwić? Czy taki gałgan wilk, jest moja ciotka, żebym ja sobie o niego martwił? Ja się tylko pytam, dla czego un pana kimornika nie zjadł?

— Jak pan widzisz nie jestem otyły, nawet bardzo szczupły jestem... same kości i skóra.

— Pfe! cóż to?... un tak lubi tłuste mięso, ten rozbójnik?!

— On jest taki mądry, że jak wpadnie w stado owiec, to zawsze najtłuściejszą chwyta. Zapytaj się pan chłopów, oni dobrze się na tém znają...

— Panie kimorniku, ja sobie siądę!...

— Kto z panem dojdzie do ładu?—dopiéro siadamy, znów idziemy i znów siadamy... trzeba się zdecydować albo tak, albo tak...

— Mój panie kimorniku, mój złoty, panie kimorniku!—ja sobie trochę siądę... Pan wiész, że ja mam, za pozwoleniem, feler, i inną słaboszcz téż mam, co jeszcze gorsze niż feler. Bardzo brzydka słabość. Miéj pan miłosierność... siądźmy trochę...

— Ha, cóż mam robić? siadajmy.

— Ale trzymaj pan swoje strzelbe w garści... ja pana proszę, trzymaj pan mocno!

— Po co?

— Od wszelkiego wypadku... Powiédz pan, panie kimorniku, czy taki wilk idzie sam, czy, broń Boże, w kupe?

— Zwykle chodzi całym kahałem.

— Wiele ich może być w takie kompanije?

— Rozmaicie, czasem sześciu, dziesięciu, dwudziestu...

— A pański strzelba wiele może strzelić?

— Dwa razy.

— A co będzie z te ośmnaście?

— Nic nie będzie; zanim broń nabiję...

— Panie kimorniku, ja pana proszę, my wstańmy, my chodźmy... co my tu wysiedzimy?... Czy to człowiek jest, za pozwoleniem kogut, żeby siedział jak kura na jajki?...

— Dalibóg nie wiem jak panu dogodzić? — to siadamy, to idziemy—do czego to podobne! Przyznam się, że mnie to już nudzi. Ja jestem komornik, moja rzecz zrobić zajęcie, sprzedać—a pan każesz mi to siadać, to iść, trzymasz mnie pan całą noc w lesie, jak dzikie zwierzę. Ja nie potrzebuję takich interesów!... Dawaj pan torbę z papierami—ja powracam do domu. Dla pańskiéj satysfakcyi nie będę się włóczył po lesie, jak cygan. Bądź pan zdrów. Mam zdrowe nogi, nie cierpię na żaden feler, trafię gdzie do wsi, najmę sobie konie i pojadę do domu.

— A ja?! — wrzasnął rozpaczliwie Fajn — a ja co mam robić?!

— Albo ja wiem? — nocuj pan sobie w lesie, cóż mi do tego.

Żyd rozpaczliwie uczepił się mego rękawa.

— Panie kimorniku, panie kimorniku! nie zostaw mnie pan! Co pan chcesz?... ja panu dam... ja panu dam dwadzieścia pięć... dwadzieścia siedm... trzydzieści rubli—gotówką! nie opuść mnie pan, nie zostaw samego w takie paskudne miejsce...

— Cóż ja panu poradzę? Masz pan taki ogromny brzuch!

— Aj, niech moje wrogi dostaną ten brzuch! to głupstwo jest... to właśnie feler jest...

Z poblizkiéj wioski ozwało się wycie psów. Po lesie rozległo się ono echem przeciągłem, smutnem, płaczliwem.

Fajna dreszcz wstrząsnął.

— Panie kimorniku, co to jest?—zapytał.

— Panie Fajn—rzekłem uroczyście—czy pan wierzysz w Boga?

— Co nie mam wierzyć?!... czy ja pies, żebym w Boga nie wierzył!..

— Więc módl się!—krzyknąłem przeraźliwym głosem.

— Co? co?! wus y dues?... Rabejnu szeł ejłom!!—co pan kimornik mówi?!

— Daj pan pokój tytułom; w téj chwili ja nie jestem komornik, pan nie jesteś Fajn...

— Nu—co ja jestem?... co pan jesteś?...

— Ja jestem mięso, i pan jesteś mięso... a tam wilki wyją i ostrzą sobie zęby...

— Giewałt!—wrzasnął nieludzkim głosem Fajn — giewałt!... ratuj pan!... dam trzydzieści pięć, trzydzieści siedm, dam pięćdziesiąt rubli! ratuj, panie kimorniku!—ja człowiek i pan człowiek... ja polak i pan polak. Po co mają zginąć dwa polaki?... ratuj pan!

— A licytacya? — zapytałem.

— Niech una idzie w ziemię, z wolantem, z te dwa kobułe i z zaprzęgami!... ratuj pan!

— Zmykajmy więc! — krzyknąłem i rzuciłem się w las, w stronę przeciwną téj, którąśmy iść mieli.

Fajn biegł za mną jak szalony.

Nie sapał, lecz ryczał, jak wół, który wyrwał się ze szlachtuza. Przerażenie dodawało mu sił.

Biegliśmy tak może wiorstę, dwie, i mnie dech już zapierało w piersiach, i ja z gustem położyłbym się pod drzewem, na miękim mchu, aby przespać się kilka godzin, ale zapłakana twarz Anielci stawała przed memi oczami, taka smutna, taka prosząca, że mi się serce krajało...

Żyd padał już ze znużenia, potrzebowałem dodać mu energii,—jeszcze z wiorstę, z półtoréj, w głąb lasu, a w takim razie, żeby pękł, na licytacyę nie zdąży;



Żal mi się żyda zrobiło. (Str. 16).

mój przyjaciel przywiezie pieniądze, termin spadnie, a ja nie będę potrzebował licytować Anielci...

Stanąłem.

Zdjąłem strzelbę z ramienia, wycelowałom w najbliższą sosnę.

— Aj waj!—wrzasnął Fajn—co pan robi?

— Wilk!...—szepnąłem tajemniczo.

Rozległ się wystrzał jeden, potém drugi.

— W nogi!—wrzasnąłem, aż się echo rozległo.

Fajn dobył ostatku sił. Trzeba przyznać, że pod wpływem strachu biegł jak zając, zapomniał o wielkim brzuchu, o felerze swoim, biegł jak szalony, dopóki nie padł ze zmęczenia.

Bohater mój legł nad brzegiem strumyka, pod krzakiem leszczyny, oddychał ciężko, twarz miał podrapaną, skutkiem przedzierania się przez splątane gałązki i krzaki.

Żal mi się żyda zrobiło.

— Panie Fajn—rzekłem—już tu jesteśmy bezpieczni... Zabiłem dwoma strzałami trzy wilki, pięć uciekło przed nami, a przed resztą myśmy uciekli... teraz leż pan spokojnie i próbuj odpocząć...

— Aj, aj, panie kimorniku, pan ratowałeś moje życie, ja będę wdzięczny, ja się potrafię znać na rzeczy, ja... ja dam panu, co pan zechce, ja panu robotę nastręczę... Oj!... żebyś pan wiedział, jak mnie kole serca pika!

— Uspokój że się pan.

— Jak pan myśli, panie kimorniku?... ja teraz pewnie będę miał całe dwa felery w wątrobe?...

— Nie,—czasem od takiego zmęczenia wątroba się kurczy i feler całkiem ginie.

— Ale ze strachu, to może, nie w złe godzine powiedzieć, żółć pęknąć?...

— Nie lękaj się pan — i żółci nic nie będzie, ja mam tu lekarstwo...

— Lekarstwo? Aj waj! aby dobre... ja jego zaraz kupię—ja gotówką płacę...

— Dam panu darmo — rzekłem, dobywając z kieszeni flaszkę podróżną płaską. Była w niej sławna dzięglówka, roboty jednéj z moich ciotek, znakomitéj gospodyni.

Napiłem się sam trochę, a resztę oddałem Fajnowi.

— Pij pan rzekłem, pij do dna, na feler, na przestrach, nie masz nad to lepszego lekarstwa!

Żyd przylgnął do flaszki jak pijawka, łykał gorączkowo; chciwie—i wnet zaczerwieniły mu się policzki, oczy nabrały dziwnego blasku, ciepło rozeszło się mu po żyłach. Upił się.

— Panie kimorniku — rzekł — jak pan myśli, czy taki feler to może się wytrzęsić? bo ja sobie bardzo wytrzęśniłem.

— Kto wie? może.

— Aj, żeby to buło prawda, to jabym już nie potrzebował wolant na resory—jabym Sakowiczowi prolongował, rozłożył na raty. Ja mam taką naturę, że nie lubię komu przykrość zrobić.

— Próbuj pan spać;—odrzekłem.

Nie trzeba było długo namawiać.

Żyd rozmarzony wódką usnął, ja zmęczony wyciągnąłem się z rozkoszą na świeżéj murawie.

Kiedyśmy się przebudzili, była już blizko dziesiąta rano.

Błądziliśmy jeszcze kilka godzin po lesie, a przybywszy do najbliższéj wioski, nie mogliśmy dostać koni, gdyż wszyscy chłopi pojechali na odpust.

Licytacya spełzła na niczem. Anielcia została ocaloną.

Przyjaciel mój przyniósł pieniądze, które oddał Fajnowi. Po żniwach Sakowicz zwrócił mi je z serdecznėm podziękowaniem.

Bywałem częstym gościem w Wierzbówce, trzymałem Anielci szóste dziecko do chrztu, a w upominku ślubnym dałem mojéj chrześniaczce wyrok prawomocny, na rs. 300, które znów za jéj tatusia ze swéj kieszeni zapłaciłem.

. . . .

Po kilku tygodniach po przygodzie z wilkami, przyszedł do mnie Fajn z nową czynnością.

— Jakże zdrowie, kochany panie Fajn—zapytałem

— Bogu dzięki,—odrzekł—dziękuję.

— Może znów wyprawimy się na wilki?

— Nie powiédz pan brzydkie słowo!—rzekł złośliwie—już ja się dowiedziałem całe prawdę, co te wilki nieśli dla Sakowicza pięćset rubli — a ja, z moim felerem, zostałem przez resorów; pfe! panie kimorniku, trzeba szanować cudzy słabość, z pańskiéj łaski to mnie moje wątrobe będzie kosztowało drugie pięćset rubli!

PRZECIĘTNE DOBRA.

I.

Od chwili w której ludzkość zaczęła spożywać słodkie owoce statystyki — mamy „przeciętnego człowieka, „przeciętnego kupca” etc. — dla czegóżbyśmy więc nie mogli mieć „dóbr przeciętnych?”

Mogą one znajdować się tak dobrze na Kujawach jak na Podlasiu; pod Rypinem, lub w stronie Szczekocin albo Maryampola; nad Narwią, nad Nidą, lub téż z przeproszeniem nad Wieprzem...

Mam téż nadzieję, że w szkicach poniższych nikt nie zechce dopatrywać jakich osobistych alluzyj, albowiem dotyczyć one będą, jako się rzekło, dóbr przeciętnych — to jest takich gdzie są budynki przeciętne, ludzie przeciętni i... hypoteka przeciętna, na której, niby na ogromnéj bryce brodzkiéj, siedzi mnóstwo przeciętnych polaków wyznania Mojżeszowego...

Ale idźmy do rzeczy.

Są w naszym nadwiślańskim dyalekcie archaizmy, których istnienie dałoby się usprawiedliwić chyba wrodzoném przywiązaniem do tradycyi i poważaniem wszystkiego co stare... Te zapewne motywy są powodem, że wyrazu „dobra” (ziemskie) nie wyrzucono jeszcze ze wszystkich słowników istniejących — i nie zastąpiono przez inny, malujący rzecz trafniéj i lepiéj.

Bo proszę powiedzieć co właściwie jest w tych „dobrach” dobrego? Czy nieustający niepokój? ustawiczne pożądanie deszczu gdy jest sucho, słońca gdy deszcz pada? wzdychanie do odwilży lub mrozu, zaglądanie w kalendarz, aby się dowiedzieć kiedy przypada rata Towarzystwa, termin opłaty podatków, lub też niebezinteresowna wizyta Judy i braci jego?

Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać człowieka, któryby powiedział, że mu dobrze jest w „dobrach” — a natomiast jęki i westchnienia stały się tak pospolitemi na wsi, jak szum wiatru, lub szmer toczącego się wśród kamyków strumienia...

Przeciętny szlachcic na przeciętnym folwarku (przepraszam za nadużywanie tej przeciętności) siedzi jak dobry jeździec na lichym, słabym w nogach i znarowionym koniu... Musi on być ciągle na pogotowiu, mieć się na ostrożności, ażeby się w siodle utrzymać i równowagi nie stracić.

Nie wolno mu się zdrzemnąć, nie wolno mu na chwilę uwagi odwrócić — szkapa musi być trzymana ciągle w cuglach, w szenklach — bo inaczej może być wypadek...

Idzie ten koń niby to jak się należy, nawet z ogniem, z fantazyą, przebiera nogami, nozdrza rozdyma... parska... ale oto nagle potyka się, wiąże i pada na łeb, jeżeli go w porę pewna ręka jeźdźca nie podtrzyma i nie podniesie na cuglach. Podniósł się, zerwał — i znowuż idzie.

Zdaje się, że droga równa i gładka, nie ma kamieni i dołów. Konisko puszcza się ostrym, wyciągniętym kłusem, idzie jak woda, tak, że jeździec kołysze się tylko na jego sfatygowanym grzbiecie... Aliści nadjeżdża oto fura pełna żydów... Szkapa lęka się, drży, zaczyna strzydz uszami i nagle... gdy się tego jeździec najmniej spodziewa, rzuca się w bok jak szalona... Jeździec siedzi jednak, ratuje się balansem lub kontrbalansem, zwróci

niesfornego Rosynianta i jedzie dalej, w nadziei, że kiedyś do lepszych czasów dojedzie...

Cóż dopiero powiedzieć o przeszkodach, o tych baryerach, murach i fosach, które trzeba przeskakiwać!—konisko już ledwie tchnie, bokami robi—a tu nic nie pomoże, trzeba skakać, bo i nad jeźdźcem i nad koniem bat wisi... Ostatni wysiłek, ostrogi w robocie, szkapa wspina się, kurczy, wszystkie muskuły rozpręża i hop! już jest za przeszkodą.

A jakiej pewnej ręki potrzeba, aby ją po tym skoku forsownym podtrzymać, żeby na łeb nie padła i nie skręciła karku wraz z jeźdźcem...

Jest to rzecz zwykła, codzienna, a nie jeden z tych jeźdźców (których nawiasowo mówiąc na tysiące liczyćby można) nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że dokonywa cudów zręczności przy owych „salto mortale.” Ale tak zwykle bywa; gdy kominiarz chodzi po dachu czteropiętrowej kamienicy, ci którzy na to patrzą, drżą z obawy, że może spaść na bruk... on sam jednak nie obawia się tego — gdyż człowiek w ogóle łatwo się do wszelkich rozkoszy życia przyzwyczaja...

Możnaby na ten temat dużo powiedzieć, to wszakże odprowadziłoby nas od przedmiotu, od dóbr przeciętnych.

Zobaczmy przedewszystkiem jak wygląda ich właściciel.

Jest to człowiek w sile wieku, krzepki, barczysty, ogorzały, zahartowany na wszelkie niewygody; mówi basem, wstaje do dnia, a o dziesiątej wieczorem drzemie już nad gazetą, choćby ta zawierała w sobie streszczenie najciekawszej mowy ks. Bismarcka... Bóg dał dzień do pracy, a noc do spania, a jeżeli szlachcic przeciętny łamie niekiedy takie prawo, to już chyba dla nadzwyczajnych, wyjątkowych powodów: dla preferansa u sąsiada... albo dla szczęścia córek, gdy mu u siebie gości przyjąć wypadnie...

Jest to człowiek familijny; ożenił się młodo, raz dlatego, że mu ojciec zawsze powiadał, że rannego wstania i wczesnego ożenienia się nikt jeszcze nie żałował, a powtóre, że wyswatały go ciotki, wychodząc z zasady, że kto się ożeni, ten się odmieni, a ciotki były zdania, że odmiana ta na dobre wyjdzie siostrzeńcowi.

Wziął panienkę ze swojéj sfery, ładną, miłą, umiejącą grać na fortepianie, marzyć poetycznie i robić niezrównanéj dobroci konfitury.

Z początku, młoda pani miała trochę fanaberyi, lubiła bawić się, przyjmować gości i jeździć ładnym ekwipażem, ale gdy przyszły obowiązki, postąpiła jak wszystkie inne „przeciętne" kobiety, zapomniała o sobie zupełnie, zaczęła żyć dla dzieci... Umilknął fortepian, skończyły się marzenia, a „pani" poszła do obory, do folwarku, do kuchni, pogodziła się z prozą życia, zaczęła oszczędzać, i w sekrecie przed mężem gromadzić grosz do grosza na czarną godzinę.

Tak to one zwykle robią te nasze „przeciętne" panie... Kto je tego uczy? kto im nakazuje wyrzec się swoich osobistych marzeń i przyjemności, a całe istnienie swoje poświęcić rodzinie? Zapewne nakazuje im to „przeciętne" serce dobréj, polskiéj kobiety...

Obowiązków nie braknie, Są dwie córki, z których jedna już nosi długą sukienkę, a druga za rok, lub dwa tego szczęścia doczeka; jest także trzech synów, z których najstarszy nosi mundur „koloru filologicznego," średni uniform „barwy realnéj," a najmłodszy trudni się jeszcze darciem cywilnego ubranie i obuwia.

Dwaj starsi chłopcy mieszkają w Warszawie; jeden u pani Kiksińskiéj, która utrzymuje na stancyi wyłącznie filologów; drugi u pana Kapustowicza specyalnie stołującego realistów.

Do domu obadwaj chłopcy przyjeżdżają tylko na święta i na wakacye, i bez względu na to, że jeden idzie

drogą realną, a drugi klasyczną, w rozczulającéj harmonii trudnią się zbijaniem bąków, wspólnemi siłami.

Właściciel „przeciętnych dóbr” obliczył, że na kształcenie dwóch synów idzie całkowity dochód z żyta i pszenicy, ale Mordko, pachciarz z „dóbr przeciętnych,” bieglejszy znacznie w interesach finansowych i w buchalteryi, przysięga się na wszystko co ma najdroższeho, to jest: na brodę, pejsy i delikatne sumienie, że on sam dużo do téj edukacyi dokłada.

Zapewne obadwaj, to jest i dziedzic i pachciarz mają racyę. Ale nie na tém kończą się, koszta téj nauki, którą dobrzy rodzice chcą dać swoim dzieciom. Od lat kilku jest w domu panna Julia Cauchemare, specyalistka od pokazywania francuzkiego języka, gry na fortepianie i innych umiejętności wyzwolonych; jest także w domu młody kuzynek, trochę niby dla praktyki gospodarskiéj, trochę zaś dla zaznajomienia najmłodszego chłopca z głównemi tajemnicami elementarza i tabliczki mnożenia.

Wszystko się robi co można, aby dziatwę jakoś na ludzi wykierować.

Fortepian, ten niezbędny przyrząd, bez którego obyć się niemoże żaden ojciec posiadający córki, także kosztował sporo grosza i stał się przyczyną niejednego kłopotu.

Grzela, fornal, który tę maszynę odwoził z kolei, zdrzemnął się jakoś na wozie, koniska skręciły do rowu, wóz się przewrócił...

Naturalnie, że w kosztownem statku coś pękło, a że miejscowy kowal, bardzo sprytny do mechaniki, bo nawet z młocarnią umie sobie radzić, w tym wypadku zwątpił o swoich zdolnościach, trzeba było piękny klawikord na powrót do Warszawy odsyłać i znowuż go z kolei sprowadzać.

Tym razem nie jeździł już Grzela, ale dużo roztropniejszy Maciek, i wywiązał się z zadania względnie dobrze, gdyż tylko jedną nogę (ma się rozumiéć od forte-

pianu) gdzieś zgubił i radził, żeby ją zastąpić bialuchnym pieńkiem brzozowym, co miało być nawet dużo „foremniéj."

Jak było, tak było, dość że fortepian jest i stoi po dzień dzisiejszy na honorowém miejscu w salonie, przykryty piękną derą z szarego płótna, jak wierzchowiec angielski. Jest fortepian, jest panna Julia, jest kuzynek, muszą być zawsze pieniądze na wpisy i na mundury koloru filologicznego i realnego, na opłatę stancyi panu Kapustowiczowi i pani Kiksińskiéj, na książki i na wszystkie z edukacyą związek mające wydatki.

Wszystko jest na czas i akuratnie. Podobno od téj akuratności ojca często głowa boli, matka od niéj choruje, a nawet Mordka, jak sam powiada, ma od tego interesu „szczypienie w sercu," jest albowiem już z natury drażliwy i bardzo delikatny.

„Przeciętny dwór" jest bardzo zaludniony, zawsze w nim ktoś „bawi." Ten dwór, to oaza do któréj ściągają całe karawany krewnych, bliższych i dalszych, powinowatych i znajomych. W ciasnych pokoikach dla wszystkich zawsze znajdzie się miejsce. Tam zajedzie kuzynka, która się niema gdzie podziać, zajedzie znajomy na wakacye dla odpoczynku, dla świeżego powietrza — i siedzi tak długo jak mu się podoba.

To także przeciętna cecha naszych dworów cecha czysto wiejska, odrębna, a niezwykle sympatyczna i poczciwa.

Oprócz utrzymania licznego dworu i kosztownéj edukacyi dzieci, właściciel dóbr przeciętnych ma jeszcze wiele przeróżnych zobowiązań do spełnienia.

Nie będziemy wyliczali téj nieskończonéj litanii zaczynającéj się od Towarzystwa Kredytowego, kończącéj zaś na gminie; litanii, w któréj trzebaby wymienić wszystkich włodarzy, karbowych, parobków, fornali noszących imiona chrześciańskie, oraz wierzycieli z imionami biblijnemi... Wspomnieliśmy tylko o tém, ażeby

usprawiedliwić porównanie „przeciętnego” właściciela do dobrego jeźdzca siedzącego na narownym koniu... Oj ten koń!... żeby na nim dosiedzieć trzeba siły i zręczności nie lada. Zdarza się nieraz, że jakiś kapitalista, któremu się na stare lata sielanki zachciało, jaki spekulant, albo żydek, co się na delikatnym procencie dorobił, probuje dosiąść tego Rosynyanta...

Wskakuje mu tedy na grzbiet z wielką fantazyą i impetem, ale wnet gubi strzemiona, wypuszcza z rąk cugle i, jeżeli jest przezorny i pragnie uratować kości, zsiada czemprędzéj, albo, gdy ryzykant, trzyma się przez czas jakiś i spada na łeb na szyję.

Widzieliśmy dużo takich „salto mortale” i takich jeźdzców plejzerowanych. Złorzeczyli oni wszelkim „dobrom,” i zakazywali dzieciom w testamentach, aby się strzegły ziemi. Lepiéj, mówili, dorabiajcie się na wodzie, na powietrzu, na ogniu wreszcie, byle nie na tym najniewdzięczniejszym z niewdzięcznych żywiole! Papier publiczny daje stały procent, bez względu na rok suchy, czy mokry, czy w Ameryce pszenica obrodziła lub nie, fabryczka prawie zawsze przynosi jakąś dywidendę, a operacyjki i geszefciki wekslowe pomnażają kapitał z zadziwiającą szybkością. Na jedne tylko „dobra” nigdy nie można liczyć na pewno.

Zdaje się, że wszystko idzie jak najlepiéj, aliści ni ztąd ni zowąd niespodzianka jakaś wyrasta, jak grzyb z pod ziemi i wszystkie nadzieje dyabli biorą.

A propos dyabłów... Pewien bardzo uczony, bardzo nabożny i wiele myślący mąż, który przez całe życie swoje zastanawiał się nad najzawilszemi zagadnieniami stworzenia, doszedł do wniosku, że Bóg stworzył niebo z aniołami, piekło z czartami, ziemię zaś z chłopami i szlachtą. Dopiero późniéj powołał żydów oraz innych ludzi i — odpoczął.

Myśliciel rozumował sobie w ten sposób: gdyby niebo było stworzone bez aniołów, a piekło bez złych

duchów, to trzebaby było starać się o nich dopiero. Aniołem chciałby zostać każdy, na posadę zaś dyabła nie znalazłby się ani jeden kandydat... Trzebaby było zarządzić przymusowy pobór, jak ongi do wojska, a jeszcze i w takim razie żydzi znaleźliby jaki sposób, żeby się od tego interesu wykręcić... Kosztowałyby dużo różne urzędy i komisye, byłby kram, kłopot i zawrócenie głowy... Stworzono więc odrazu piekło z całą armią szatanów i niebo z chórami aniołów i serafinów.

Mniéj więcéj podobny system zastosowany został i do ziemi. Powiedziano jest: „w pocie czoła będziesz pracował,” ale to można rozmaicie rozumiéć. Przecież czoło bankiera może się dobrze pocić na giełdzie, gdy nadejdzie telegram o zniżce; czoło wierzyciela obiewa pot śmiertelny, na widok spadającéj sumy z hypoteki; czoło kupca również nie jest suche, gdy w sklepie ruch wielki panuje... Różne są interesa na świecie i różne poty, a że człowiek ma trochę wolnéj woli, więc może wybierać sobie taki interes, jaki jest najwygodniejszy dla niego... Zastanawiając się nad istotą zatrudnień i interesów tego świata, uczony przyszedł do wniosku, że kopanie ziemi nie należy do najprzyjemniejszych sposobów przepędzania czasu, i że amatorów na taki interes trzebaby było ściągać sposobem przymusowym; że zaś w świecie wszystko iść musi jak w zegarku, drogą naturalną, porządnie i harmonijnie, przeto ziemia stworzona została odrazu już gotowa, z chłopami, ze szlachtą, a podobno nawet i z propinacyą...

Gdym wyraził co do tego pewne powątpiewanie, myśliciel pogładził długą brodę i rzekł:

— Ja panu co powiem... Na świecie wszystko ma swoje miejsce i dlatego liście nie chodzą po ziemi, a koty nie wiszą na drzewach. Niech pan wyobrazi sobie, że na drzewie, zamiast zielonych liści powyrastałyby bure koty... Coby było w takim razie? Koty uciekłyby zaraz w pole łapać myszy, a drzewo zostałoby gołe...

Tymczasem tak nie jest i kot trudni się swoim interesem, liść swoim. Liść nie może być bez drzewa, ani drzewo bez liści. One rodzą się na niem, żyją z niem, rosną, a chociaż na jesień przychodzi na nie bieda, z wiosną jednak znajdują się na swojém miejscu, młode i silne. Czy pan dobrodziéj rozumie jaki jest sens w tym całym interesie?

— Czy pan dobrodziéj rozumie jaki jest sens w takim interesie? — powtórzył zapytanie człowiek z długą brodą — i nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Wszystkie interesa tego świata tak są urządzone, że w każdym z nich jest sens; że ludzie nie zawsze umieją poznać się na tém, to wina nie interesów, ale samych ludzi... W naturze wszystko jest bardzo rozumnie urządzone... Pszczoła nie trudni się wyrobem pajęczyny, ani téż pająk nie zakłada fabryki miodu... Koza woli ogryzać suchą miotłę, aniżeli gonić muchy, jak to robi jaskółka... Taki to już jest, widzi pan dobrodziéj, porządek i to jest dobry porządek, a im dłużéj żyję na świecie, im dłużéj myślę i zastanawiam się nad wszystkiemi interesami tego świata, tém bardziéj jestem przekonany, że ziemia stworzona została od razu z chłopami, szlachtą, i z propinacyą... Bez tych trzech żywiołów nie mogłaby istniéć i wyglądałaby jak człowiek bez rąk, jak koń bez ogona, jak karczma bez dachu...

Tak to długo i szeroko, ów bardzo wielki myśliciel z bardzo małego miasteczka, tłumaczył mi nieraz sens wszystkich interesów tego świata, powołując się na powagę wielkich ksiąg, nad któremi po całych nocach się kiwał, oraz opierając się na własnych spostrzeżeniach i obserwacyach...

W szkicach niniejszych niejednokrotnie będę musiał powoływać się na zdania tego męża, tém więcéj, że mówiąc o życiu wiejskiém, pominąć go na żaden sposób nie mogę.

On (nazwijmy go Pinkus Ćwik) powiedział, że życie człowieka jest to nieprzerwany szereg różnego rodzaju interesów. Jeżeli przypatrzymy się bacznie życiu właściciela „dóbr przeciętnych,” to prawdziwość orzeczenia Pinkusa stwierdzi się w sposób bardzo jaskrawy...

Oto nad uśpioną ziemią mrugają gwiazdy, złoty miesiąc płynie w eterycznych przestrzeniach poważnie, pozwalając prześcigać się chmurkom, śpieszącym w przestrzeń, niewiadomo dokąd i po co... Wszystko co żyje odpoczywa, chyba tylko lis ukradkiem się z lasu wymyka, lub sowa cichym lotem za zdobyczą goni...

Zdaje się, że w takiéj chwili człowiek nie ma nic lepszego do roboty jak spać, wypoczywać po trudach dziennych,..

I właściciel „dóbr przeciętnych” ma się rozumieć śpi także, ale sen jego niespokojny... pełen najdziwaczniejszych wizyj... Nie są to marzenia z poetycznéj sfery fantazyi, ale obrazy przerażająco realistyczne. Nie figurują w nich zaklęte królewny, ani rusałki z przezroczystych toni jezior, nie przygrywa im szmer arf eolskich... Ktoby bowiem w dzisiejszych czasach śnił o takich głupstwach?!..

Przed oczami „przeciętnego” odgrywają się zupełnie inne sceny, inni aktorowie przyjmują w nich udział. Są to raczéj żywe obrazy...

Na posępnem, szarem tle (bo to życie dziwnie szare tło miewa) grupuje się poważne gremium radców Towarzystwa Kredytowego, a z poza nich wychyla się inspektor podatkowy, sąd, sekwestrator, komornik z towarzyszami, wójt, woźni sądowi. Wszystkie te postacie poważne, surowe, sztywne, wlepiają w „przeciętnego” spojrzenia od stali ostrzejsze i przy minorowym akompaniamencie dzwonów, zdają się wołać grobowym głosem: „płać, płać, płać... płać dziś, płać jutro i po wszystkie dni żywota twojego... płać...”

— Panowie! — woła „przeciętny" — co do grosika wszystko wypłacę... w terminach... punktualnie jak zegarek; ratę w przeddzień licytacyi, wszystkie podatki z karami, jak Bóg przykazał... Ja tak zawsze, wierzcie mi... całe życie jestem punktualny, ale Berek szelma coraz twardszy...

Obraz znika... Zamiast grupy poważnéj występuje ruchliwa, gwarna, krzycząca... Liczba ich to legion; wiatr rozwiewa im pejsy, promienie słońca ślizgają się po aksamitnych czapkach i jarmułkach, po żupanach świecących ze starości, upstrzonych łatami... Zamiast poważnego chóru, z akompaniamentem dzwonów, słychać piskliwą muzykę flecika i skrzypiec i brzęk tamburyna... Rozlega się skoczny majufes... Inna melodya, ale motyw ten sam: „płać! płać!"

Grupa rozpada się na cząstki, składające ją osoby wykonywają „pas de deux" i „sola" z zadziwiającym wdziękiem... Naraz, jak rój much wszystko rozsypuje się... pojedyńcze figury rzucają się na obory, stodoły, stajnie, spichlerz... Jedna mucha dostała się aż na strych szukać baranich skórek, dwie brzęczą przy gorzelni, inna drapie się po przepalonych od słońca szybkach karczmy... Nad młynem, nad rzeką, nad szopą cegielnianą, pełno ich wszędzie; wciskają się do ogrodu, obsiadają drzewa owocowe, grzędy z warzywem, rozsypały się po kartoflach, rzodkwi, cebuli. Ta do kurnika zagląda, inna aż na łąki między stogi siana leci, dziesiąta chce się w oborze na długie lata zagnieździć, a wszystkie brzęczą „daj, daj, daj, dawaj, aż po ostatni dzień żywota twojego, dawaj?

Chór brzęczy donośnie, a nad nim dominuje basowy głos Pinkusa Ćwika:

— Życie to jest interes składający się z najrozmaitszych interesów.

„Przeciętny" czuje że zmora go dusi; chce się zerwać, ale nie może; tysiące cienkich nitek, któremi jest zwią-

zany, nie pozwalają mu wstać.... Szarpie się rozpaczliwie, aż oto mrok zapada, muchy chowają się po kątach, aby nazajutrz jeszcze głośniéj, jeszcze dokuczliwiéj brzęczyć...

Przed oczami właściciela „dóbr przeciętnych” przesuwa się inny obraz:

Po nad łąkami, pastwiskami, lasem, owinięta w tumany mgły, przepływa jakaś postać fantastyczna i z ogromnéj torby sypie ziarna niezgody na ziemię. Gdzie takie ziarno padnie, tam wnet osty kolące rosną, a z pośród nich wychylają się podejrzane jakieś figury, szepczą, doradzają, szachrują... Jak myszy po polu, rozchodzą się one po wsiach, gdzie mogą to wodę mącą, bo w zmąconéj podobno połów najlepszy bywa.

Ciężkie sny, ponure obrazy... ale oto nowy widok przybywa, a snać milszy nieco, gdyż „przeciętny” wąsami rusza i ma taką minę, jakby się uśmiechał radośnie.

Nie dziw, patrzy on na swoje pociechy.

Zdaje mu się, że widzi przed sobą wysoki słup, gładki, ślizgi, wysmarowany szarem mydłem, a w pewnych odstępach najeżony kolcami.

Takie słupy bywają ustawiane podczas zabaw ludowych, tylko że nie są ostremi kolcami nabite. Zwykle mularczyk jakiś zręczny wdrapuje się na nie i zdobywa umieszczoną na wierzchołku nagrodę, złożoną z czarnego garnituru ubrania, tombakowego zegarka i starego kapelusza cylindrycznéj formy...

W śnie „przeciętnego” wygląda to trochę inaczéj; na wierzchołku słupa, zamiast kapelusza i zegarka, leży *patent*, a szczęścia probują nie mularczyki, lecz dwaj chłopcy: jeden w barwie klasycznéj, drugi w realnéj. Wspominaliśmy już o nich, są to pupilowie pana Kapustowicza i pani Kiksińskiéj...

Ojciec z dumą patrzy na zręczność chłopców, ściska dłoń Kapustowicza, prawi grzeczności pani Kiksiń-

skiéj, aliści nagle... Oj! chłopak koloru realnego zaczepił się o ostry gwoźdź algebry i wisi na nim dwa lata; a klassyk, już u szczytu samego prawie, skaleczył się o ćwiek Ksenofonta i spada, jak postrzelony jarząbek z sosny... Wypadki takie trafiają się często, cóż więc dziwnego, że się stroskanemu ojcu we śnie przypominają? Jednocześnie pani Kiksińska i Kapustowicz zaczynają śpiewać duet zgodny, na nieśmiertelny motyw „płać i płać...” Najmłodszy kandytat do słupa już się wybiera w podróż...

Z twarzy „przeciętnego” znika przelotny uśmiech, z piersi mimowoli wydobywa się westchnienie.

Dwie panienki, niby różyczki dwie, wychodowane w swojskim ogródku, są dumą i pociechą rodziców... Patrzéć tylko, jak zaczną się zjeżdżać rycerze... we frakach, i dobijać się o te serduszka złote... Wszak Bóg nie poskąpił dziewczętom urody — a rodzice nie szczędzili grosza, aby tym brylantom rodzinnym dać oszlifowanie najlepsze.

Panna Cauchemare oddała im przecie cały zasób swéj wiedzy; maszyna do grania, któréj Maciek jedną nogę ukręcił, przez lat sześć napełniała dworek odgłosem gam, pasaży i etiudów, a poczciwa, zapracowana matka włożyła w młode serduszka to, czego ani panna Cauchemare, ani maszyna do grania, dać im nie mogła, to jest trwałe zasady cnót obywatelskich i domowych.

Czyż nie można przeto spodziewać się, że do takich dziewcząt roje młodzieży dążyć będą?... Tymczasem już się z pączków rozwinęły kwiaty, już zajaśniały całem bogactwem barw — a sroczka jakoś nie skrzeczy na płocie... kot nie myje się białą, puszystą łapą — goście nie jadą...

Jeżeli co zaturkocze przed domem, to chyba bryczka sąsiada, który przyjeżdża, aby się o ciężkich czasach nagadać, albo rozklekotana dryndula starego proboszcza, zaglądającego niekiedy do „dóbr przeciętnych.”

Słusznie, słusznie — powiada Pinkus Ćwik — że życie to jest taki interes, który z rozmaitych interesów się składa — dlatego téż najpiękniejsze kwiaty wiedną, najwdzięczniejszéj piosnki nikt nie słucha, bo co za zysk z pieśni albo z kwiatu? Chyba żeby go ze złotym koszykiem dostać można...

„Zbierać, zbierać” marzy we śnie przeciętny i dać perłom bogatą oprawę... ale z czego zbierać? Wszak sam król Salomon, który, jak wiadomo, posiadał wszelkie umiejętności, miał jednak ten mały feler, że z pustego dzbana nie potrafił nalewać... „Przeciętny” gotów się porwać nawet i na takie przedsięwzięcie. Postanawia zbierać. Śni mu się, że już gromadzi pieniądze, że oszczędność posuwa do możliwych granic, a dochody podwoił, potroił... Wszystko mu idzie pomyślnie, (gdyż we śnie miewają niekiedy ludzie takie szczęście do handlu) zebrał już cały tysiąc i strzeże go jak źrenicy oka swojego...

Ale cóż to? Zamiast się cieszyć i radować z posiadania tak pięknéj sumy, mającéj być podwaliną szczęścia dla dzieci, on drży, ogląda się na wszystkie strony, opatruje zamki! stara się o najlepsze psy podwórzowe, co wieczór dubeltówkę nabija grubym śrótem...

Trudno, taki to już podobno los kapitalistów na ziemi i na... księżycu.

Przed pójściem na spoczynek, czytał właśnie gazetę, a w niéj bardzo efektowne i malownicze opisy rozmaitych napadów i rozbojów.

Księżyc schował się za chmury; szare, tajemnicze cienie nocy otuliły ziemię jak płaszczem... tylko bliżéj stojące drzewa wynurzają się z mroków, niby olbrzymy groźne i szumią...

Za wsią, po moście, wóz zaturkotał, psy zaczęły ujadać, „przeciętny” zerwał się na równe nogi... oczy przetarł, ubrał się na prędce, strzelbę do ręki wziął i wyszedł...

Pierzchnęły sny, a wraz z niemi złożone w marzeniach oszczędności; pozostała tylko obawa o śpichlerz, o konie... Gwizdnął na psy i poszedł ku zabudowaniom...

Spichlerz (pełen wspomnień o nieboszce pszenicy) stał na swojem miejscu, jak zwykle; przy okutych drzwiach, kłódka nienaruszona wisiała, jako wymowne świadectwo, że informacye złodziei czerpane być muszą z wiarogodnego źródła...

Obejrzawszy ów skarbiec, bogaty jak kasa turecka, „przeciętny" poszedł do stajni.

I tu nie znać było śladów nieproszonych gości, zresztą konie były dobrze zabezpieczone. Drzwi mocne dębowe, za niemi gruba sztaba żelazna z zamknięciem, genialnle obmyślanem przez zdatnego do wszelkiéj mechaniki kowala, a wewnątrz spało dwóch fornali.

Nie przerywając im snu, poszedł daléj, obejrzał oborę, stodoły i uspokojony powrócił do domu. Co noc, dwa, czasem trzy razy, odbywa takie wycieczki... Czasem, gdy mu się zdaje, iż jakieś podejrzane cienie dostrzega, wystrzeli dla postrachu w powietrze, żeby dać poznać że nie śpi; czasem drzemiących stróżów wiejskich obudzi... Czuwa nad mieniem swojém, jak żóraw na straży i dzięki temu czuwaniu, tylko raz mu złodzieje parę koni ukradli i raz mu stodołę podpalili...

Jak na dzisiejsze ciężkie czasy to bardzo dobry interes, bo mogli byli ukraść cztery konie i podpalić dwie stodoły odrazu...

Dopełniwszy tego przeglądu nocnego, gospodarz wraca do przerwanego spoczynku i znowu zaczyna śnić o owych rozkoszach życia, których całą litanię wypisałem powyżéj... Czarna zasłona nocy robi się szarą, gwiazdy bledną, księżyc zniknął już z widnokręgu, we wsi odezwał się kogut, jeden, drugi, dziesiąty... gdzie niegdzie w oknie chałupy zajaśniało światło, żóraw od studni skrzypnął... ludzie zaczęli się budzić. Młynarz wyszedł z chaty, zmiarkować zkąd wiatr wieje i we-

dług tego wiatrak nakręcić, szynkarz ziewając wyjrzał przed karzmę, czy jaki podróżny nie nadciąga gościńcem...

II.

Z czworaku wyszedł człowiek w kożuchu, w wielkiéj czapce futrzanéj, w jednéj ręce kij trzymał, w drugiéj latarkę i ku folwarkowi swoje kroki skierował...

Zdaleka można było słyszéć głos jego donośny, gniewny... bo tacy ludzie, którzy budzeniem bliźnich swych ze snu się trudnią, są opryskliwi i gniewni zazwyczaj... Malkontenci to-ze wszystkiego niezadowoleni, źli na siebie samych i na świat cały.

Takim téż był i stary Walenty... ale za pozwoleniem, państwo nie wiedzą zapewne kto jest pan Walenty?... Jest to człowiek godzien bliższego poznania — osoba! W „przeciętnych dobrach" gdzie nie ma za co utrzymywać rządców, plenipotentów, kasyerów i tym podobnych oficyalistów, Walenty pełni te funkcye. Chłopcy i dziewki dworskie zowią go „panem Walentym..." Powszechnie uważany jest on za bardzo uczonego, gdyż potrafi na książce od nabożeństwa obliczyć kiedy się skończą zapusty; wie na pamięć gdzie i kiedy jarmark przypada — a wagę do zboża tak umie wyrychtować porządnie, że nawet inszy żyd się zawstydzi...

Prócz tego Walenty ma jeszcze inne zalety... Jest majstrowaty, i to tak dalece, że od biedy wiązanie dachu zrobi; jest bardzo nabożny i upija się tylko dwa razy do roku — ale za to już rzetelnie, co się nazywa. W takich uroczystych chwilach życia, parobcy, pod komendą Walentowéj, wynoszą go na siano do stajni, a Morfeusz naprawia to, co Bachus popsuł... Na drugi dzień Walenty znowuż jest taki sam jak był, zrzędny, nudny, gderają-

cy — ale punktualny jak zegarek i uczciwy... Można mu z całém zaufaniem powierzyć pieniądze, choćby największe, on nie ułakomi się na nie; można go posłać po sprawunki — załatwi jak najlepiéj, bywał nawet kilka razy w Warszawie i „pomiędzy tyloma chałupami nie zginął i nie zabłądził."

Dumny téż jest z téj peregrynacyi...

Nawet pachciarz Mordko, który ma pewne powody do niesympatyzowania z Walentym, oddaje mu sprawiedliwość i mówi:

— Ny, to jest rzetelny kawałek chłopa; nie darmo jego dziedzic już trzydzieści lat trzyma „za Walentego."

Mając głębokie przeświadczenie o zacności charakteru Walentego, pachciarz, człowiek dziwnie miękkiego serca i delikatnych uczuć, pragnął szczerze, aby taka osoba niemarnowała sił swoich i zdolności w dobrach „przeciętnych."

— Wy mnie słuchajcie, panie Walenty, mawiał nieraz, na co wy tu tyle lat siedzicie, w jedném miejscu? Co wam potém? Wam się zdaje, że tu się świat zaczyna, że tu jego środek jest i tu koniec!? Ale to nieprawda, bo świat zaczyna się tam, gdzie jest jego początek, a gdzie— wasza głowa nie zmiarkuje; środek świata jest w Kocku — a koniec! ha! ha! ha gdzie jest koniec, ja sam dobrze nie wiem... kto to zgadnie? Świat jest szeroki i długi, można po nim wędrować gdzie kto chce...

— A po cóż mnie wędrować, odpowiedział chłop.

— Po co? Aj Walenty, panie Walenty! bez urazy waszego honoru, macie bardzo twardą głowę. Po co wędrować!? Z takiém zdatnościem jak wy macie, to wszędzie by was wzięli za ekunoma, za pana rządcego! Chcecie, ja wam zara takie miejsce narażę, że panem będziecie! Ha! ha! zamiast gruby chłopski kożuch, będziecie mieli futro od widre, od szopy, albo od różne zagraniczne psów; a wasza kobieta nie będzie sobie szła w czerwone chustke na głowe, tylko pojedzie na bryczke, w ła-

dne sałope... w kapeluszu... Chcecie? chcecie panie Walenty... to od nowego roku ja was zrobie rządcą, panem rządcą, wielmożnym rządcą i za małe faktorne zrobię... Będziecie mieli trochę delikatniejszą robotę, delikatne jadło, aj waj, niech moje wrogi to nie widzą, co wy będziecie mieli!

Walenty ramionami wzruszał...

— Nic mi potém — mówił — w kożuchu od młodości chodziłem to i na starość będę, a ztąd nie pójdę i siabas!

— Szabas! szabas! oj ładny wy macie szabas! Ja nie wiem co wy tu dobrego macie?

— Bogu dziękować, chleb jest...

— Co to chleb? a gdzie mięso? Za małą robotę, za nic, mielibyście wszędzie mięso.

— Wiadomo, że za tanie pieniądze psi mięso jedzą...

— Pfe! jaka wasza głowa twarda... Co wam tu za smak? Sami powiedzcie, panie Walenty; cały dzień musicie chodzić po folwarku, jak nieprzymierzając wrona po polu, i ciągle tylko patrzycie na te stare stodoły. Sami powiedzcie panie Walenty, na delikatny rozum, czy stodoła jest wasza żona, albo matka, żebyście na nią ciągle patrzyli, żebyście sobie oczy popsowali dla niéj?

— Pewnie byś ty kochanku chciał, żebym na nią nie patrzył.

— Ja?! Co mnie z tego? wy sobie patrzcie, albo nie patrzcie, to nie mój interes, tylko tak powiadam, z dobrości... mnie was szkoda... mnie szkoda, że taki człowiek jak wy marnuje się tutaj na małym folwarku. Wy zdatne jesteście na rządcę do największego hrabiego! Może nieprawda?

— Bo nie...

— No, jak nie to nie... wam szczęście się wpycha do garści, a wy nie chcecie.

— Nijakiego ja szczęścia nie żądam.

— To kiedyście takie głupie, to ja już nic nie poradzę, noście sobie ciągle te klucze i myślcie, że to jest jaka wielka parada — a to całkiem głupstwo! bo wy ani rządca, ani wy ekunom, ja sam nawet nie wiem, co wy poprawdzie jesteście...

Takie konferencye odbywały się dość często, ale wymowa pachciarza rozbijała się o twardę głowę Walentego jak o mur. Dziad komplementa przyjmował obojętnie, propozycye zbywał milczeniem, a gdy go żyd zanadto już znudził — to splunął, zaklął siarczystemi i odchodził...

Co rano Walenty, regularnie jak zegarek, stawia się w tak zwanéj „kancelaryi" u właściciela dóbr Przeciętnych, zdaje dokładny raport o pogodzie, robi przepowiednie metereologiczne na cały dzień, ponieważ zbadał już dokładnie zkąd wiatr wieje, jak się chmury na zachodzie grupują, jakie jest zachowanie się bydła i ptactwa. Stosownie do tych przepowiedni, układa się plan całodziennych robót, przyczem, z drobiazgową dokładnością, Walenty raportuje, coby gdzie trzeba naprawić, którego konia podkuć, melduje o stanie obory, stajni, owczarni, o kradzieżach w lesie, o najbliższych jarmarkach, służbie, która się na nie wybiera.

Nie szczędzi przytém uwag zaprawnych gorzkim pessymizmem. Stary zrzęda, ma swoje oryginalne na świat poglądy, a „przeciętny" słucha jego uwag, gdyż te dziwnie z nastrojem jego duszy harmonizują. W oczach Walentego, świat teraz jest zepsuty, życie ciężkie, gospodarka nieszczęśliwa, a nawet pogoda kapryśniejsza niż niegdyś.

— I... proszę wielmożnego pana — raportuje Walenty — choćby na to mówiący, i naród dziś paskudny. Gdzie to kiedy kto słyszał o takich różnych śtukach, co dziś się wyrabiają. Człowiek, jak sprawiedliwie ksiądz powiada, dnia ni godziny nie pewny. Parobek, czy fornal, dziś bierze zadatek, jutro odnosi, a jenszy i wcale

nie odniesie... a do roboty nie przyjdzie. Słonko mu w same ślepie zaświeci — a onby się jeszcze wylegiwał — a skoro go do roboty zapędzić, to mu kużda rzecz z ręki leci, taki niemrawa! Za to, a osobliwie te młodsze, na jarmarki, na muzyki, a na wesiela, to już, nieprzymierzając, jak psi! Z łańcucha by się urwał, aby jeno polecić... A powiedzieć mu co, to zaraz gębę rozpuści od ucha do ucha, że jaż wstyd słuchać i obraza Boska... Bez to musi i na świecie je kiepsko, że naród o Bogu zapomniał, że jeno za lekkim groszem ugania, a za wódką toby, na to mówiący, i w piekło poszedł... Dawniej, kużdy człowiek chałupę jeno co na patyk zamykał, żeby aby bydlę, albo gadzina nie wlazła; a dziś nawet zamek nie pomoże, bo jak to powiadają, na złodzieja zamku nie ma... Tu konie ukradną, tam zboże ze spichrza wywiezą, wieprza z chlewa — a ty bracie siedź cicho, bo jakbyś zaczął bardzo za złodziejem ścigać, to cię wnet tak spalą, że się tylko kupka węgli ostanie... Oj czas, czas wielmożny Panie! żeby psi takich czasów nie widzieli!

„Przeciętny” codzień rano, słucha podobnej relacyi, z waryantami stosownemi do okoliczności, do faktów i wypadków, w które wiejskie życie obfituje.

Wysłuchawszy relacyi Walentego „przeciętny” śpieszy na folwark, zajrzy tu i owdzie; nagniewa się, nakrzyczy aż ochrypnie—i każe konie zaprzęgać...

Życie jest to interes, który składa się z różnych intersów, a do każdego interesu potrzebne są pieniądze... Zkąd ich wziąść? Oto pytanie, nad którem wiecznie łamią sobie głowy „przeciętni” niewolnicy obowiązków... We śnie i na jawie, nocą i dniem, w chwilach radości lub smutków, pracy czy wytchnienia, zawsze i nieustannie tańczy przed ich zmęczonemi oczami, ta złośliwa gadzina, skręcona w znak zapytania...

Z początku, w zaraniu „przeciętnego” życia, to tylko mała, jadowita żmijka, o oczkach przenikliwych, które-

mi się uparcie w ofiarę swoją wpatruje; ale z biegiem lat żmijka zamienia się w węża, rośnie, wydłuża się, grubieje, staje się grzechotnikiem, pytonem, dusicielem... Paszcza jéj rozdziera się coraz szerzéj, i wiecznie otwarta, nie zamyka się nigdy... Nienasycona, wiecznie pusta, jak dziurawy wór, albo beczka bezdenna, ciągle pożąda i wymaga... wciąż łyka i wciąż głodna...

W zaraniu życia, człowiek rzuca w nią od czasu do czasu garstką... późniéj obydwoma garściami, a daléj, daléj, zrzuca z siebie kapotę i sypie szuflą, sypie od świtu do nocy, aż mu grzbiet trzeszczy i pot oczy zalewa, a nienasycony wąż, coraz szerzéj bezdenną paszczę otwiera i jak olbrzymi znak zapytania, zdaje się wołać „Cóż daléj?... Cóż jutro?"

Pinkus myśliciel, który całe życie dumał nad interesami ludzkości i człowieka, odkrył tę wielką prawdę, że niektóre z tych „interesów" są bardzo trudne i że z tego powodu wielu ludzi ma ciężkie życie — ale tak być musi na świecie, ponieważ z ciężkiego życia jednych ludzi, drudzy znowuż ludzie mają lżejsze życie...

Trzeba tylko stuknąć się palcem w czoło i poruszyć wszystkie delikatne sprężyny rozumu, a prawda słów powyższych, stanie się jasną jak słońce... Przytém okaże się również, że lepiéj stukać palcem w czoło, aniżeli czołem w mur, ponieważ pierwsza z tych akcyj pobudza do myślenia—a druga, zwłaszcza wykonana energicznie, może wywołać, broń Boże, jaką słabość i popsuć cały interes. Co Pinkus powie, to zawsze prawda jest, a co on obmyśli, to dobrze obmyśli...

„Przeciętny" kupił sobie pięć podręczników ekonomii, jedynie w tym celu, żeby się dowiedzieć co to jest kredyt i gdzie się takowy ukrywa, gdzie mieszka i gdzie go szukać?... Pinkus rozśmiał się ze wszystkich wywodów uczonych i orzekł, że „kredyt to jest żyd... Może to być Abram kredyt, Jojna kredyt, Szmul kredyt—ale zawsze taki kredyt, który nosi na głowie jar-

mułkę i obserwuje szabas. Gdzie on się ukrywa — to znów nowe pytanie. Jeżeli wyszedł z lat popisowych, jeżeli nie ma sprawy o defraudacyę, albo jeżeli mu nie grozi przymus osobisty, z powodu posądzenia o podstępne bankructwo (bo o co dziś porządnych ludzi nie posądzają?!) to nie ma potrzeby ukrywać się, a nawet gotów jest sam do interesanta przyjechać... Taka już jest natura kredytu... Pod względem teoretycznym, słuszność była po stronie uczonych ekonomistów; pod praktycznym zaś, racyę miał Pinkus — dlatego przeciętny kazał zaprzęgać...

Wiedział, że niedaleko, o dwie milki, wśród brudnych domostw, przeglądających się w czarnych jak smoła kałużach, są uzdrawiające źródła kredytu i postanowił z nich zaczerpnąć...

Owo tak zwane „zaczerpnięcie" odbywa się według bardzo skomplikowanéj procedury, przyczém zaczerpujący naraża się na chrypkę i silny ból głowy. Potrzebuje użyć całéj wymowy, przedstawiać argumenta swoje, odpierać cudze, malować obrazy przyszłości w świetle różowém... potrzebuje stać się chwilowo optymistą, ażeby zwalczać pesymizm tych, którzy stoją na straży „źródeł."

Doprawdy, ciężka to robota, ale „przeciętny" przyzwyczaić się do niéj musiał, tak jak wół przyzwyczaja się do jarzma...

Przed gankiem od kwadransa już stoi bryczka... konie kręcą się i gryzą niecierpliwie wędzidła. Maciek na koźle siedzący, odpowiada im na to całą seryą komplimentów i obietnicą użycia bata. W pokoju tymczasem, pani pisze długą litanię sprawunków—a na ganku czeka Walenty, aby już na wsiadaném rozczulić „przeciętnego" wzruszającą historyą o postronkach — samobójcach, które się same porwały, oraz o trybie od sieczkarni, który nie doczekawszy starości, niewiadomo z jakiego powodu, cztery zęby utracił. Takie to już

widocznie były zębiska marne, choć niby to żelazne, same wyłamały się... Dla zabicia czasu, Walenty opowiada tymczasem tę historyę Maćkowi, który przy téj sposobności wypowiada zdanie, że wszystkie rzeczy na świecie, ogólnie biorąc, marne są... a najbardziéj wszystkie zagraniczne maszyny...

Przy mostku czeka kowal, żeby oświadczyć, że mu już cały zapas żelaza wyszedł.

Walenty spogląda na drogę... Bystre jego oko dostrzega z odddalenia żółtawy tuman kurzu, unoszący się nad jakimś czarnym, ruchomym przedmiotem... Przykłada rękę do czoła, aby oczy trochę od blasku zasłonić i patrzy. A Walenty ma wzrok jak u jastrzębia bystry—rozpoznał téż zaraz kto najeżdża.

— Oho — rzekł do Maćka — widzi mi się, że dziś z naszych postronków nic nie będzie... wypadnie zaczekać aż Mordko pojedzie...

— I mnie się tak widzi — odzywa się Maciek, patrząc na drogę — i mnie się widzi, że pan każe wyprzęgać, bo to ktoś z powiatu nadjeżdża.

— A juści... któżby jak nie ten gruby pan, z gulką na nosie, w okularach... sechwestrator... odjedź-ze krzynkę na bok, żeby tu zajechał przed sam ganek... a jego kuniom, jak wyprzęże, zara napakuj siana na drabiny co wlezie...

— Wiadomo... niech ta żrą — Walenty pewnie im z ćwiartkę owsa zara dadzą...

— A juści, że nie co...

— Dyć u nas to zawdy tak, swojemu kuniowi kwartą.., a jenszym ćwiercią — jeszcze pan beśta ze koniska chude!

— Cichoj, cichoj, nie ujadaj, kiej się na polityce nie znasz... Nie twoja głowa do tego...

Maciek zamilkł, ale przyrzekł sobie w duchu, że gościnnym koniom krzynkę owsa usypie.

— Niech ta i nasza chudoba ma święto—pomyślał...

Wielka bryczka wtoczyła się na dziedziniec, we dworku zrobił się ruch. Sam „przeciętny" wybiegł na ganek.

— Witam pana dobrodzieja—zawołał, udając ukontentowanie niezmierne — witam pana dobrodzieja, a ty Maciek odjeżdżaj do stajni, już nie pojedziemy dzisiaj...

— Panu „przeciętnemu" dobrodzieju moje uszanowanie! — odezwał się basem otyły jegomość, z trudnością wydobywając się z bryczki... — Zdrowie kwiniące, jak zawsze, ha? preferansik z kurką, jak się należy... ha! Jakby tam moje koniki pod dach troszeczku przystroić, a to drugi raz oni zmęczone... Piasek paskudny, panie dobrodzieju, piasek... czternastéj klasy piasek, żeby jego dyabli wzięli!... Ja całą drogę kichał... drugi obywatel na błocie tyle razy nie strzeli, ile razy je musiał kichnąć. Paskudna droga powiadam... a tu dopiero za parę lat szoszę obiecują.

— To dobra nowina dla nas...

— Licho wie czy ona dobra... ale żydki kręcą się koło tego, a pan wie, żydki, jak zaczną co kręcić — to drugi raz i naprawdę wykręcą... Szelmy oni, mądre ptaki... Nu, ale jak tam pani dobrodziejka? panienki? synki?...

— Dziękuję panu łaskawemu, bardzo dziękuję, zaraz ich pan zobaczy...

— Ha, ha — odezwał się gość wchodząc do pokoju — gdzie dobrze to dobrze, a u was na wsi najlepiéj...

Gospodarz westchnął.

— Fe, fe! panie dobrodzieju, wy wszystko tylko wzdychacie... kapryśny wy naród, malkontenty, a w gruncie rzeczy w preferansa wy majstry! A jakże proboszcz wasz? W domu?...

— W domu, w domu... gdzieżby miał wyjeżdżać. Czy pan ma do niego jaki interes, to może przejdziemy po południu?

— Interes nie interes, a przejść można. Ja, panie dobrodzieju, człowiek solidny, u mnie duchowieństwo pierwszy numer...

— Szanowny Pan z drogi, trzeba spocząć cokolwiek, pokrzepić się...

— Rezonnie pan „przeciętny” powiada, dalibóg. Wy wszyscy tacy, spocząć, pokrzepić, a interes?...

— Nie ucieknie, panie łaskawy, nie ucieknie... nie zając...

— I to racya; a zawsze wy, panowie szlachcice, nie pilnujecie terminów. Ochota wam kary płacić?

— Cóż robić? nie zawsze można mieć tyle gotówki...

— Tak to, tak... to prawda... ale u żydów zawsze jest, no—tak żyda za brodę i interes w kapeluszu! Ach piasek szkaradny... pełne gardło mam piasku!

— Należy przepłukać cokolwiek.

— Można, do płukania przyczyna każda dobra a jak niema przyczyny, to można wymyśléć.

— Jakto?

— A ot jak... Dajmy sobie, że nie jest ani zimno, ani gorąco, albo że godzina nie ze wszystkiém à propos.... to pozostaje czyżyk...

— Czyżyk?!

— Pan nie wie?

— Doprawdy nie wiem....

— A to tak jest: „jechał czyżyk na czółenku, w admiralskim czynie — więc napijem się wódeczki po takiéj przyczynie!” At, widzi pan „przeciętny” i przyczyna gotowa, a zresztą czort zabierz przyczynę, tu o skutek idzie. Czyżyk, czy nie czyżyk, a sercu rozweselenie dać trzeba, a to inaczéj człowiek by zgorzkniał zupełnie jak chrzan.

— Racya, racya.

— A widzi pan „przeciętny,” ja zawsze powiadam, co jest punkt, na którym schodzi się każda idea, każda

polityka. Jeden mówi biało, drugi czarno, trzeci zielono — a wódeczki każdy wypije, ot w czém rzecz, panie dobrodzieju.

Kiedy otyły jegomość z gulką na nosie wykładał takie teorye, w stołowym pokoju przygotowano śniadanie.

Gość zdrożony posilił się chętnie, a potém poszedł do kancelaryi „przeciętnego" aby cokolwiek odpocząć.

Tymczasem chłopak z kredensu śpieszył co sił po Mordkę.

Szanowny pachciarz zajęty był właśnie bardzo energicznie smarowaniem biedki i udawał, że się w daleką drogę wybiera, czy téż może wybierał się na prawdę — gdyż taki miał pech szczególny, że skoro tylko zmiarkował, iż może być we dworze potrzebny, wypadała mu zawsze pilna podróż. Jest to pewnego rodzaju manewr polityczny, tak dobry jak i wiele innych w tym guście.

Mordko ujrzawszy chłopca ruszył ramionami.

— Ny, to zawsze tak jest, jak mnie pilno w drogę, to ja potrzebuję iść do dworu! Na co ja mam iść do dworu? czy tam sobie co pali?

— Nie pali się, jeno dziedzic woła... niech Mordko zaraz idą.

— Zaraz, zaraz... ja jeszcze pacierz nie mowiałem, ale skoro pan woła to niech ja tam pójdę... Ja zaraz pójdę, za jeden mały moment to już będę...

Po upływie pół godziny, Mordko z wielką powagą kroczył ku dworowi.

— Ny, pan mnie wołał—rzekł wchodząc do pokoju.

— Naturalnie, mam pilny interes, musisz zaraz pojechać do miasteczka.

— Aj, aj... to bardzo źle, to dla mnie jest bardzo niedobrze...

— Dlaczego?

— Bo ja właśnie mam bardzo gwałtowny interes w inną stronę, o trzy mile drogi ztąd... Już nasmarowałem biedkę, a kunia pasę od wczoraj, ja jemu dałem całą ćwiartkę owsa, żeby on siłę miał do taki wielki podróż.

— Trudna rada — odłóż ten interes na później.

— Ny, to ja będę na czysto stratny... na samym owsie już jestem stratny.

— Jakim sposobem?

— Nu, jakto z jakim sposobem? Żebym ja wiedział, że mam jechać tylko do miasteczka, to nie potrzebowałbym napichać pełnego kunia owsem. Miałby dosyć i kłaczek siana...

— Już ty dobrze wiesz, że nie będziesz stratny... tylko jedź i spraw się dobrze.

— Co ja mam sprawić? jaki ja sprawunek mam zrobić?

— Masz przywieźć kupca na jęczmień.

— Przecie w tamte tydzień wielmożny pan nie chciał przedać jęczmień?

— A teraz chcę... i to zaraz...

— Ny, ja miarkuję, tylko zrobiała się chwestya, czy oni tera zechcą?

— Kto?

— Kupce.

— Ciekawym dlaczego by nie mieli chcieć?

— Uni mają swoje famaberye... Wielmożny pan wie dobrze, że te drugie gałgany mają paskudną naturę, co godzina to u nich nowina. I to nie dziwota jest, taki kupiec od zboże, to czyta gazetów. On wie jak co stoi w Gdańsku, jak w Warszawie. Nie potrzebuję panu powiedzieć, że u nich w głowie to jak w trybunale, dziś wygrał, jutro przegrał... Pamięta pan dobrodziej jak to buło przed wojną?

— Rychtyg, ja mam czas myśléć teraz o tém co było przed wojną. Nie bałamuć, tylko jedź, bo rzecz jest pilna.

— Co się tak pilnego zrobiało? Ach już pomiarkuję, mnie się widzi co ten gruby przyjechał.

— Właśnie...

— Niech wielmożny pan sobie nie zmartwi; ten gruby nie jest bardzo twardy, można z nim pogadać— on nawet lubi jak z nim gadać... on całkiem mięki jest jak wosk.

— No, już ty mnie nie ucz, czy z nim można gadać czy nie, tylko siadaj zaraz na biedkę i zrób o co cię proszę.

— A jeżeliby Berek nie chciał?

— To mi wszystko jedno, nie Berek, to Abram, nie Abram, to Pinkus...

— Ja sam bym rad ten interes zrobić, tylko ja nie mam pieniędzy? Zkąd ja mam miéć pieniędzy? Czy człowiek może się czego dorobić, z przeproszeniem przy tych głupich krowach? Czy to jest interes? Jak się trafi, że dadzą trochę lepsze mleko, to dadzą mało; a jak dadzą dużo, to ono jest takie rzadkie, jak serwatka... Co z takiém głupiem bydłem można poradzić?

— Mówię ci nie nudź już, tylko jedź...

— Co ja mam nudzić? Ja wcale nie nudzę, tylko powiadam, że od krów niema żadnego zysku tylko same zmartwienie, a dlaczego ja to powiadam? Dla tego, że mnie bardzo szkoda puścić od swojéj ręki ten jęczmień. Niech moje wrogi tak do jadła nie mają chęci, jak ja do tego kupna mam chęć. Ja wielmożnego pana co powiem: Ja wezmę od mojéj żony perłów i kolczyków, może ja na nich co dostanę, jeszcze sobie pożyczę trochę od szwagra, trochę od brata — ja będę próbował sam kupować. Dla wielmożnego pana to wszystko jedno?...

— Ma się rozumiéć, że jedno?...

— No, to ja już jadę! już jestem w drodze... tylko jeszcze pacierze zmówię i kunia krzynkę napoję. Przed wieczorem będę już z powrotem.

To rzekłszy, Mordko pobiegł do swego mieszkania z taką energią, że rozwiane poły od żupana nadawały mu pozór ogromnéj wrony, fruwającéj niezgrabnie nad ziemią...

Zaledwie „przeciętny" odetchnąć zdołał, gdy wszedł chłop poważny, w sukmanie, z miną bardzo uroczystą i skłoniwszy się przy progu, rzekł:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki. Jak się macie wójcie... co wam potrzeba?

— Dziękować Bogu mnie nic, jeno jenteresa różnakie są... Jedno, chciałem przypomnąć o składki na sąd, na gminę, na strażników, na szkołę, bo z powiatu pieką nas, żeby prędko skutek z tém zrobić...

— Dobrze, dobrze, zapłaci się...

— Dyć wiadomo... po drugie znów chwestya je taka, że się mostek na drodze zawalił... trzebaby zładować, bo gadają, ze nacelnik ma przyjechać.

— Macie szarwąrk...

— Juści siarwark je, to wiadomo, ale chojarka jednego, albo i dwa, to chyba od wielmoznego pana weźmiemy... Potrzecie, komisarz gadał, żeby ten klinik, co niby pan chłopom oddał, pod lasem, za pastwisko, na to mówiący okopcować... i zeby wielmozny pan po omentrę posłał, a my zaś damy chłopaków do pomocy... Poczwarte...

— Dość już i tego! czegóż jeszcze możecie żądać?

— Dyć wielmożny panie, ja nic nie żądam, jeno żem tu miał przyjść, to i zabrałem ze sobą kilka powiastków ze sądu dla wielmoznego pana za jedną drogą... Je sprawów dość, to z chłopami, co niby drze-

wo pokradli z lasu, to o szkodę w łące, to o kunia, je tego dobrego dość — je! Wszystkie na pojutrze... Teraz z onemi kradzieztwami trudno się opędzić, a choć i do sądu podać— też nie wiele pomoże... Nastał taki czas, że niech go marności ogarną... naród się rozwydrzył... posłuchu żadnego nie zna i nawet, na to mówiący, i na urząd nie patrzy... Ot choćby i wczorajszego dnia, pojechałem na egzekucyą do Wolki, fantować jednego chłopa za podatek, to jego kobieta zara mnie z miejsca zdyfamowała... a co pisarzowi naklęła to i powtarzać wstyd...

— Czémże was zdyfamowała, mój wójcie?...

— Ha, proszę wielmożnego pana, czém baba może człowieka zdyfamować? Wiadomo, że mietłą... Ja chciałem jej zabrać pierzynę—a ona do mnie z drapaką... Ty, taki, owaki, powiada, to ty wójt, tobie za zbója być nie za wójta! i zara mnie bez łeb. Ja mówię: babo, nie pomstuj, bo pójdziesz do kozy... widzisz, że mam mendal na sobie — a ona powiada: ty, taki, owaki, idź se tu i tu, razem z twoim mendalem! Pisorz, zara protokół, bo on na to jak na lato... zara powiada o jaresztanckich rotach: świata bożego babo nie obaczysz, powiada; powiada w prochowni zgnijesz—a ona jak gębę rozpuści... Rany boskie! żeby na pytlu pytlował, żeby na maszynie młócił, to tyla huku nie zrobi co ona jednym językiem...

— No i cóż? Sprawa będzie, może kobieta źle wyjść na tém...

— Eh! proszę wielmoznego pana, ja ta cudzej krzywdy nie pragnę, pomstów nie szukam... Dała mi mietłą bez łeb dwa razy, to prawda; ale albo to taka wielka rzecz; ja i od swojéj kobiety nieraz co oberwę, jak wiadomo w świętym stanie sakramentu małżeństwa; albo ja jéj, albo ona mnie. Żeby tak zara wsyćkiego dochodzić, toby pół narodu po prochowniach sie działo...

— Więc pogodziliście się?

— Zara przed wieczorem przyleciał téj kobiety chłop, podatek przyniósł i powiada: Odpuśćcie wójcie, ja babę sprałem rzetelnie—a wy odpuście. Toć kobieta zwyczajnie chytra, a najbardziéj na pościel, a ta pierzyńsko coście jéj chcieli zabrać, to ma jeszcze po swojéj matce. Nie dziwujta się że broniła i odpuście bez miłosierdzie, jako i Pan Jezus ukrzyżowany grześnikom odpuścił na krzyżu... a zawdy przecie co krzyż święty, a co nieprzymierzając, marna miotła! Juści przemówił pięknie i nabożnie, a ja powiadam: Odpuszczam ci bracie i urazy swojéj daruję, do sądu podawać nie chcę—a pisorz powiada: nie! Wolno wójtowi po łbie od babów brać, skoro jego taka wola, a ja powiada, nie chcę... Ja nie chłop jeno pisorz, hambicyę swoją, powiada, mam, protokół je... niech baba siedzi w prochowni! Chłop mu się kłania do kolan, molestuje, prosi—i ja przemawiam, ale gdzie! uparł się jak kozioł i nie! Ja, powiada, wszystko daruję, zabierz mnie majątek, pieniądze, zegarek, wszystko daruję, ale honoru nie mogę darować, chyba, że mi dacie łysą jałówkę i pięć rubli, niby za protokół...

— A to zdzierca!

— I ja tez miarkowałem ze zdzierca, ale on powiada do chłopa: lepiéj tobie, Janie, po dobroci jałówkę i pięć rubli dać, niż kobietę na zatracenie od dzieci puścić, na zmizerowanie między zbójcami różnemi, między złodziejami, powiada. Chłopisko mało się nie rozpadł z żalu, bo mu baby było bardzo szkoda, jako że dobra gospodyni, już ośmnaście lat z nim żyje, a jałówki téż szkodował, bo znowu młoda, cała nadzieja w niéj... Tedy prosi, molestuje...

— I jakże?

— Ano musiałem sam ich rozsądzić. Mówię tak: waszego honoru panie pisorzu nikt nie ujmie, a jemu mogą kobietę od dzieci i gospodarstwa zabrać.—A to,

powiada, niech da jałówkę! Jan mówię, nie da, bo się nienależy.—Jak to nie należy?—A tak, powiadam: żeby na to mówiący, jego kobieta we złości nazwała pana pisorza, nieprzymierzając, bykiem, albo wołem, toby się panu pisorzowi, za krzywdę na honorze, patrzyło sprawiedliwie cielę, ale że powiedziała insze słowo, to panu patrzy prosię. Ty Janie przynieś panu pisorzowi prosioka, a za protokół daj rubla i niech będzie święta zgoda między wami.

— No, co prawda, toście dobrze osądzili sprawę, panie wójcie.

— Ha, wielmożny panie, po sprawiedliwości—ani za tą, ani za tamtą stroną, jeno wedle tego, co się komu należy...

Pogwarzywszy jeszcze przez czas jakiś, nagadawszy się o wielkiém „rozwydrzeniu się” narodu, o upadku cnót i nieposzanowaniu nawet dla medalu, będącego jak wiadomo znakiem widomym wójtowskiéj godności, chłop powrócił do swojéj kancelaryi, po to zapewne, aby się zapytać ambitnego pisarza, co robić daléj i na jaką znowuż dyfamacyę się narazić.

„Przeciętny” nie przerywając spoczynku swego szanownego gościa, spoczynku, który mu się słusznie należał po kilkogodzinnéj podróży przez piaski czternastéj klasy—udał się na folwark—ale tak był zamyślony i zafrasowany, że sam sobie nie zdawał jeszcze sprawy z tego, dokąd właściwie szedł i po co...

Ot, szedł, aby iść, aby myśli zebrać, nową jakąś kombinacyę wynaléźć. Wiatr chłodził mu czoło, ale pożądanego uspokojenia nie dawał... Gdzież go szukać? Gdzie je znaléźć? Całe życie to walka z cyframi, to ciągłe „pięć od trzech” i ciągłe „nie mogę,” to wiekuisty znak zapytania, nieustające „co będzie?...” Odpowiada na nie las szumiący: „nie bój się, jakoś będzie...” odpowiadają łany zboża, „będzie, będzie!” ale

odpowiedzi to niedokładne, wątpliwe i zawodne najczęściéj.

— Jakoś to będzie, musi jakoś być—powtarza zadumany „przeciętny" i bezwiednie wychodzi za folwark, na drogę...

Idzie—po co? sam nie wie, bo podobno w życiu skłopotanych ludzi bywają takie chwile, że nie można usiedzieć na miejscu; że człowiek by szedł, szedł gdzieś daleko, daleko, jak najdaléj... patrząc wciąż na ziemię: czy jakiego skarbu nie znajdzie, czy czegoś cudownego, nadzwyczajnego nie spotka...

Z zamyślenia obudził go tentent cwałującego konia.

Spojrzał na drogę i rzekł:

— To Wojtek!

W saméj rzeczy, był to Wojtek, młodzieniec jeszcze niepełnoletni, ale już używany do różnych misyj nadzwyczajnych. Na zapytanie: jakie stanowisko młodzieniec ten zajmuje w hierarchii folwarcznéj? odpowiadano zwykle, że „wisi przy stajni." Sytuacya ta jednak nie była tak bardzo niewygodna, jakby się z pozoru zdawać mogło, Wojtek albowiem „wisiał przy stajni" w sposób allegoryczny tylko... i korzystał ze wszelkiéj swobody, jaką daje posada bez obowiązków określonych wyraźnie.

Zajmował się téż przeważnie ornitologią, albowiem umiał świetnie wykręcać wróble i wynajdywać choćby najstaranniéj ukryte gniazda wszelkiego rodzaju ptaków; żył przytém w wielkiéj poufałości z folwarcznemi psami, palił papierosy, które sam robił z suszonych liści wiśniowych i trzy razy tygodniowo jeździł na pocztę, po gazety i listy.

Podróże te odbywał zazwyczaj na karym koniu, ślepym na jedno oko, ale za to potykającym się na wszystkie cztery nogi... Wysłużony konisko, który w ręku każdego fornala bywał zupełnie obojętny na najsil-

niejsze razy bicza, pod Wojtkiem nie biegał inaczéj jak cwałem.

Widocznie odczuwał młodzieńczą fantazyę chłopaka i trzy razy tygodniowo musiał się do niéj nastrajać.

I teraz, czując już dom blizko, pędził jak szalony, podnosząc kopytami tumany kurzu na drodze.

— Stój — krzyknął „przeciętny" — czemu tak pędzisz, waryacie!

Wojtek szarpnął cuglami i osadził spienioną szkapę na miejscu.

— A dyć wielmożny panie... utrzymać nie mogę—tak prze do domu bestyja!

— Gazety masz?

— O je dość! pełna torba napchana...

— A dla czego tak długo siedziałeś w miasteczku?

— I tak prędko się uwinąłem... duchem... boć to je poćta, zawdy urząd. Dyć nie złapie się gazetów, jak, na to mówiący, siana ze stoga, jeno trza stoić i czekać...

— Po co? Przecież poczta od rana otwarta.

— Juści, poćta otwarta, jeno pan poczciorz zamknięty... Rano to śpi, jak już słonko dobrze przygrzeje to się ubiera, a z godzinę poczekawszy to harbatę piję... a potém idzie se do miasta, a potém przyjeżdżają poćtaljony, to odprawia poćtę, to to, to owo... a ludzie stoją, a nim się namyśli dać one gazeciska, to już i południe blizko. Ja, proszę wielmożnego pana, dostałem sam najpierwszy, bez to, że mi się kucyło tak stoić i urąbałem mu z pół fury drew na podwórku... bez to on dla mnie pierwszeństwo dał, a jensze może i do téj pory czekają...

— Pokaż no te gazety.

Chłopak zeskoczył z konia i podał torbę, w któréj znajdowały się gazety i listy.

Tych ostatnich było kilka. „Przeciętny" przyglą-

dał im się uważnie, obracał na wszystkie strony i zdawało się, że nie ma wielkiéj odwagi zobaczyć co mu one przynoszą.

Spojrzał na zegarek i kombinować zaczął... Gość zapewne śpi jeszcze... a obiad, z powodu wizyty będzie wystawniejszy, więc trochę późniéj niż zwykle. Mordko z miasteczka, chociaż obiecywał pośpiech, nie przywlecze się prędzéj jak o zmroku.

— Co ma być to będzie — mruknął sam do siebie—trzeba przecież przeczytać.

Usiadł przy drodze na kopczyku, co pole od pola oddzielał, wziął pierwszy list do ręki i czytać zaczął. List, napisany z wielką uprzejmością, brzmiał temi słowy mniéj więcéj:

„Wielce szanowny panie „przeciętny" Dobrodzieju."

„Wziąwszy mocno do serca sprawę pańską ze Szmulem Janklem dwóch imion Grypsmacherem i pilnując takowéj jako własnego oka w głowie, donoszę, żeśmy w pierwszéj instancyi przegrali, i że sąd, zgodnie z życzeniem powoda, zasądził mu od Szanownego Pana Dobrodzieja rs. 842 kop. $74^1/_2$, wliczając w to koszta sądowe i straty, jakie tenże Szmul Jankiel dwóch imion Grypsmacher poniósł, z powodu niedostawienia przez Szanownego Pana Dobrodzieja pszenicy na termin zastrzeżony w kontrakcie, a który to kontrakt, również tymże wyrokiem, z winy Szanownego Pana, rozwiązany został. Jest to, jak miałem honor nadmienić, wyrok pierwszéj instancyi, od którego przysługuje nam jeszcze apelacya. Tuszę, że Pan Dobrodziéj, nie zrażając się niepowodzeniem, zechce apelować, i upraszam o łaskawe przysłanie na dalsze koszta sprawy rs. XX, nie mówiąc już o należnem mi honoraryum, które Szanowny Pan zapewne przy osobistéj bytności uregulować raczy."

„Łączę przy téj sposobności wyrazy wysokiego

poważania i szacunku, z jakim mam honor etc... dnia X.X. r. 188... Y. Z. adwokat.

— Żeby go wszyscy dyabli wzięli! — mruknął „przeciętny," mnąc list w ręku...—Najsłuszniejszą sprawę mi przegrał i jeszcze każe sobie pieniędzy przysyłać... kauzyperda jakiś! fuszer!

Drugi list skreślony był widocznie ręką kobiecą. Koszlawe litery, rozrzucone zamaszyście po kopercie, opiewały różne tytuły adresanta, a cały dokument roznosił mdławą woń piżma.

— Zkąd ja znam ten charakter?... szepnął przeciętny otwierając kopertę. Ach! od pani Katarzyny... Kuzynka daleka... ma na moim folwarku małą sumkę po matce.

List, jak zwykle damski, nie miał ani daty, ani miejsca zkąd był wysłany.

„Łaskawy zawsze kuzynie!"

„Nie wiem doprawdy, czy ci wiadomo, ile mam kłopotów, i czy nie doszły kuzyna złośliwe plotki, jakobym zamierzała wyjść za mąż za starego Pikiewicza, emeryta, którego zapewne kochany kuzyn zna, bo jedna jego córka była za Dojdowskim, a druga za Mayerem, o co cała familia się obraziła, bo był zupełnie łysy, a przytem niemiec i w dodatku aptekarz, ale już Bogu dzięki umarł, temu sześć lat na świętą Emilię, ale mogę łaskawego kuzyna dobrodzieja zapewnić, że to wszystko plotki, i że zanadto cenię pamięć mego nieboszczyka męża, żebym miała wychodzić za safandułę, a jeżeli kiedy bym się na taki krok odważyła zdecydować, to tylko dla szczęścia dzieci i właśnie chodziłoby mi może bardziéj o energię, niż o co innego, gdyż sama, jako słaba kobieta, z trudnością radę sobie dać mogę z chłopcami, zwłaszcza, że Jaś nic się nie uczy i nos mu wciąż puchnie, aż wzywałam naszego kochanego doktora Pogrzebalskiego, którego zapewne łaskawy kuzyn także zna, gdyż jest żonaty z pan-



„Wielce szanowny panie „przeciętny” Dobrodzieju.“ (Str. 55).

ną Kręciszewską, któréj ojciec był sędzią i miał folwarczek w Kujawskiém i powiedział, że dla Jasia nic niema zbawienniejszego nad Ciechocinek, i żebym koniecznie tam kilka tygodni przepędziła, co właśnie jest trudno, bo kamieniczka, co po moim mężu nieboszczyku została i stanowi całe nasze utrzymanie, to jest, jak kochanemu kuzynowi wiadomo, nic więcéj, jak głupstwo o czterech oknach od frontu, a chociaż niby i z oficyną, ale podatki duże, szewca musiałam procesować, bo ani chciał słyszyć o płaceniu, a trzem kawalerom z góry potrzebowałam jeszcze dodać kilka rubli, żeby się tylko wyprowadzili; że przytém mam stróża pijaka, a drożyzna życia z każdym dniem wzrasta, więc ten Ciechocinek wszedł mi bardzo nie na rękę i sama nie wiem co zrobić i z wielką nieśmiałością udaje się do kochanego kuzyna, żeby kochany kuzyn był łaskaw odesłać mi procencik za jedno półrocze z dołu, a za drugie z góry, gdyż kuracya kosztowna, a nawet wstyd mi się przyznać, że jestem żenowana w kupnie kilku porządniejszych sukien, a bez tego w Ciechocinku ani się nawet pokazać nie można i przy tém za samą muzykę zdzierają po trzy ruble za sezon. Zarazem proszę kochanego kuzyna donieść mi o zdrowiu kochanéj żoneczki i zachwycających córeczek, czy za mąż nie wychodzą, bo choć nie ma jeszcze nic pilnego, ale warto by je w świat wprowadzić, sądziłam nawet, że na karnawał kochani kuzynostwo przyjadą do Warszawy, boć niepodobna takich ślicznych dziewcząteк na wsi kwasić, a ja bym tu niezawodnie wyszukała coś odpowiedniego i nawet po powrocie z Ciechocinka muszę się tém zaraz zająć, gdyż dla tak drogich memu sercu kuzynek wszystko bym poświęciła; niech mi kuzyn łaskawy chce wierzyć, bo mam taki charakter, że zawsze interesa familijne bardziéj mnie obchodzą, niż moje własne. Łączę najpiękniejsze ukłony dla kochanego kuzyna, a kochaną panią i urocze kuzyneczki po milion

razy całuję i przepraszam, że tak krótko piszę, ale muszę przerwać, gdyż właśnie wywiesiłam kartę i lada chwila przyjdą mieszkanie oglądać, zawsze życzliwa i przywiązana kuzynka, Katarzyna X."

— Uf! odetchnął „przeciętny" po przeczytaniu roznoszącego woń piżma liściku. Ona krótko pisze! w takim razie ciekawy jestem bardzo na czém ona pisuje długie listy? Chyba na skórze wołowéj, albo na ścianie swego domu... Ach! — dodał, biorąc się rękami za głowę—i ta także! Procent z dołu, procent z góry, może jeszcze ze wszystkich czterech boków, ze środka i z pod spodu!? Zkąd wezmę? zkąd ja wezmę?

— „Będzie, jakoś będzie..." szumi las z oddalenia... Przeciętny rzuca okiem w tamtą stronę i zdaje mu się, że pomiędzy drzewami, wśród sosen i dębów, leży w zieloną szatę ustrojona, promienna, uśmiechnięta nadzieja.... Ba! cóż z tego, kiedy na téj nadziei chłopskie krowy się pasą, od wiosny aż po jesień późną, póki śniegi nie spadną... No—ale przecież można się układać, targować, choćby ofiarę jakąś ponieść... niech no tylko co pilniejszego z głowy zejdzie, niechno gość odjedzie zaspokojony, wójt, adwokat, pani Katarzyna... Ale tu jeszcze jakiś list... Któż u dyabła? Zdaje się, że dziś odbywa się tu kongres wierzycieli, bo to w modzie, ach tak, teraz kongresa w wielkiéj modzie... Zobaczmy... list z firmą... piękna firma, niema co mówić, drukowana: „Beer Meir Figiel, Gutsbesitzer, per Lissobick, in Schtschigli..."

— Ach to ten! Poczciwy Berek! kupił na licytacyi folwark Szczygły — i teraz na takim pięknym papierze listy pisuje... Juźcić pan, pan całą gębą, krociowy i na mojéj hypotece ma sumę, ale czegóż chce? Procent zapłaciłem za cały rok z góry.

„Kochany Sąszedzie dobrodzieju! bardzo proszę, żeby kochany sąszad sobie na mnie nie obraził, że ja byłem mocno przyczysznięty i muszałem tę sumę trzy

tysząców, co mam hypotekowanego na „przeciętne dobrów” cedować na żęcia mego żęcia, który będzie też przyczysznięty i przymuszony żądać w terminie kapitału, ponieważ jako młody człowiek potrzebuje trochę wchodzić w wyższych sferów i stanąć do licytacyi na budowanie kilka wiorsty szose, co będzie szła od Złamaneszyje do mostu na Suchymbrodzie. Nie potrzebuje kochanego sąszada dobrodzieja powtorzyć, co taki młodzik nie będzie chciał czekać, bo oni wszyscy mają taką naturę, że lubią okropnie nagle i zaraz, a ja nie mogłem jemu dać inny podarunek jak tę sumę co kochanego sąszada dobrodzeja piszę. Ma kochany sąszad jeszcze kawałek czasu do wystarania się o taką osobę, co zechce wleźć w to same miejsce do hypoteki, gdzie teraz siedzi od mego żęcia żęć. Nawet mogę po sąsiedzku rekomendować mój kuzyn p. Daniel Grymas z Warszawy (Nowolipki 46) żeby taki interes nastręczył na mały procent od 18% do 24%, co sze teraz w całe Warszawie praktykuje zwyczajnie... Z wielkiém przychylnosciem...

Beer Meir Figiel, obywatel ziemski i sąszad...

„P. S. Jeszcze mam do kochanego sąszada dobrodzieja jedną, bardzo delikatną prośbę: z powodu ważnego interesu, potrzebuję zaproszyć na polowanie jedną wysoką i godną osobę, a nie wiem jak to trzeba robić: czy kazać moim ludziom żeby wypędzili wszystkich moich zająców i innych dzikich zwierzętów z mojego lasu na moje pole? czy żeby ich przypędzyli z mojego pola do mojego lasu — i z jakim sposobem można sobie zapewnić, że te zające nie uciekną z mojego lasu, jak wysoka osoba przyjdzie ich zastrzelić? Nie pochwalę sobie, że jestem na ten interes znawca, a nie wypada mi prosić o radę moich oficyalistów, które, prawdę powiedziawszy, dużo więcéj w swojém życiu handlowali, niż strzelali, bo nawet oni wcale nie strzelali, więc niech kochany sąszad dobrodżyj mnie co poradzi w tym inte-

resie, a ja będę sobie znał na rzeczy i potrafię wpływać na mój kuzyn pan Daniel Grymas, żeby sobie gorliwie w sprawie kochanego sąszada zakręcił."

— Zające z lasu wypędzać! i prosić je żeby nie uciekły, gdy godna osoba przyjedzie je zastrzelić...! Na wielkiego łowczego gotów mnie przyjąć, a za to ofiaruje protekcyę do pana Daniela Grymasa, żeby ten szanowny finansista w delikatny sposób raczył zdjąć ze mnie siódmą skórę... Ale niech ich obu razem wszyscy dyabli wezmą!

Namyślił się... machinalnie wziął jedną z gazet do ręki.

Co prawda, polityki nie był bardzo ciekawy, bo i na co... Czy Bismark połknie starego Windthorsta, czy się nim udławi, to dla „przeciętnego" wszystko jedno, bo jemu zawsze wiatr w oczy.

Dziwną bo ma naturę ten gatunek wiatru, co po wiejskich polach wieje... jakkolwiek stanąć, w którą bądź stronę się obrócić, on zawsze dmucha wprost w oczy a rzadko kiedy ustaje.

Ciekawsze, niż polityka, są dla przeciętnego „sprawy wewnętrzne..." obszerne referaty o naturze kredytu rolnego („paskudną on ma naturę, jak twierdzi Pinkus Ćwik); projekta różnych banków i instytucyj, które mają dźwignąć upadające rolnictwo („niech moje wrogi mają takie szczęście do handlu," powiada Mordko...) projekta otworzenia rolnictwu nowych dróg zbytu („i my tam będziemy!" wtrąca znowuż Pinkus.)

Niby to nic, ale zawsze coś, pociecha przynajmniej. Jest albowiem, bądź co bądź, słodko przeczytać, że gdy Icek Fajn naprzykład bierze 6 proc. na miesiąc, poczciwi dziennikarze chcą stworzyć Icka Bank, który będzie brał 6 proc. rocznie... to jest tak mało, że nawet rodzona ciotka wujaszkowi taniej nie może powierzyć kapitału...

Któż nie lubi się łudzić? A lekarze dowodzą, że złudzenia w pewnych wypadkach oddziaływają bardzo korzystnie na zdrowie, o czém mogą poświadczyć wszystkie zdrowe panny, szukające mężów i ulgi w cierpieniach u wód zagranicznych. Czy więc taki projektowany bank, stać będzie na murowanych podstawach, czy na powietrzu, zawsze to będzie bank i to bank obiecujący pieniądze na 6 proc... Czy da, to inna kwestya— dość, że obiecuje, a na te ciężkie czasy to także coś znaczy... zwłaszcza w obec faktu; że dziś nawet żydzi do obietnic nie są pohopni.

Miłą jest rzeczą również (ciągle mówię o gazetach) przeczytać dobrą radę, gdyż dobra rada warta tyle co srebro... Dajmy na to, że Icek kupił pszenicę wymłóconą, wymłócić się mającą i taką, która ani młóconą ani zasianą nie jest — dajmy na to powiadam; wobec takiéj ewentualności, jakże miło jest usłyszyć, że daleko korzystniejszy jest bezpośredni stosunek z Gdańskiem, Libawą, Odessą i tym podobnemi ogniskami cywilizowanych Icków od zboża.

Miło jest, siedząc na progu pustego szpichlerza, odczytać wiadomość, że pszenica idzie w górę jak balon i że handlarze mają wspaniały humor i mocne usposobienie... Miło jest także dowiedzieć się o różnych nowych wynalazkach, na kupno i zastosowanie których niema pieniędzy — słowem wszystko jest tak miło, że daj Boże wytrzymać — i dlatego każdy „przeciętny" z namiętnością rzuca się na gazetę, skoro ta zdoła się wydobyć z niewoli prowincyonalnego pocztmistrza.

I nasz „przeciętny" siedząc na kopczyku, z ciekawością zatapia wzrok w wielkiéj szmacie zadrukowanéj bibuły.

Musiał tam coś ciekawego zobaczyć, bo ani słyszy jak ziemia dudni pod stopami biegnącéj postaci.

Postać to niewieścia, opalona, „czarna ale wdzięczna" jak mówi „pieśń nad pieśnie..." bieży jako jeleń

w górach, a dudni jako koń po moście. Zadyszała się z pośpiechu, twarz jéj pokryła się mocnym rumieńcem, rumieńcem fenomenalnego zdrowia...

Krótko mówiąc to „Kaśka," zwyczajna Kaśka folwarczna, rozdzielająca hojnie uśmiechy i szturchańce swoim wielbicielom.:. Pędzi jak strzała — i powiada: że pani prosi, bo obiad już na stole i może, broń Boże nieszczęścia, wystygnąć; że ten pan z gulką na nosie, już będzie temu ze trzy pacierze jak wstał i spaceruje sobie po ogrodzie, że młynarz przyszedł powiedzieć, że mu się koło popsuło, że Walenty przychodzlł niewiadomo po co, że Brygida cielęta wypuściła i pani bardzo się o to gniewała, że obiad byłby już od świętéj pamięci, ale biały kogut nie dał się złapać, że o mały włos sadze się nie zapaliły w kominie, że dwa talerze wzięły się i stłukły i że stało się wiele innych równie ważnych wypadków. Wyrecytowawszy to wszystko jednym tchem bez przerwy, zawróciła się na miejscu i pobiegła całym pędem z powrotem, gdyż miała dla kogoś coś siekać, a taki gwałtowny interes nie cierpi najmniejszéj zwłoki, ponieważ liczni interesanci, oczekujący na ten referat, kwiczą jak półtora nieszczęścia...

„Przeciętny" wysłuchawszy téj relacyi, podnosi się, chowa do kieszeni miłe listy: od adwokata, pani Katarzyny i dziedzica Szczygłów, składa rozwiniętą gazetę i przez ogród pośpiesza do domu.

W głównéj alei, wysadzonéj grabami, spotyka gościa.

— Moje uszanowanie...

— Moje uszanowanie panu „przeciętnemu."

— Pan dobrodziéj odpoczął już trochę z podróży?

— I jak odpoczął! spał jak król portugalski!...

— Dlaczegóż portugalski?

— A tak... powiadają, że portugalczyki naród ospały—dlatego, że u nich wino ciężkie. U nich ni herbaty

nie piją, ni barszczu — a wszystko chieres, od rana do nocy chieres!

— Pan dobrodziéj bywał w Portugalii?

— Pytaj pan gdzie nie bywał? Na flocie do koła świata jeździł, i przezto, że na słonéj wodzie pływał... pragnienie zawsze jest.

— To téż chodźmy na obiad.

— Dobra rzecz, chodźmy.

— Naturalnie — z czyżykiem...

— Z czyżykiem, a jakże, on ważna osoba, bez niego ani rusz!...

Stół był już nakryty, pani „przeciętna" i panienki robiły gościowi honory, a gość silił się na to, żeby bawić towarzystwo... Jadł dobrze, pił jeszcze lepiéj, a śmiał się na urząd; przyczém nos jego z dużą gulką na wierzchu poruszał się w sposób tak komiczny, że panienki nie mogły się wstrzymać od głośnego śmiechu.

Gość przypisywał to swojéj werwie w opowiadaniu, werwie, któréj mu istotnie nie brakło. Stary wyga, z burzliwą, pełną najrozmaitszych przygód przeszłością, człowiek który dziesięć razy przynajmniéj w swojém życiu zaczynał karyerę i tyleż razy ją zwichnął, który bywał, jak to mówią, na wozie i pod wozem — istotnie miał dużo do opowiadania. Wiele razy w życiu był na drodze do fortuny i znowuż się potykał, wykolejał... Pijał swego czasu szampana — to znów zadawalniać się musiał siwuchą, a jak sam twierdzi, kosztował wszelkie płyny, które upajające są. Jak Salomon znał każdą roślinę, od cedrów libańskich aż do porostów skalnych, tak i on, dzisiejszy gość „przeciętnego" znał wszystko, co we flaszkach bywa, począwszy od obrzydliwéj „raki" muzułmańskiéj, aż do „kimlów" rygskich; od czerwonego soku winnych jagód kachetyńskich, aż do tranu zmieszanego z wódką, którym upajają się Samojedy.

Człowiek ten wart był specyalnego studyum, taka w nim była mięszanina dziwna komiki i tragiczności wiel-

kiéj, dobrego i złego; ale słuszność przyznać każe, że dobrego było w nim więcéj. Może, gdyby był postawiony wyżéj na téj drabinie, po któréj wspinał się ciągle i ciągle z niéj spadał, może w takim razie byłby dostał pewnego zawrotu głowy; ale on nieborak, nie mógł wzbić się w swojéj karyerze o wiele wyżéj po nad piaski czternastéj klasy; był zawsze blizko ludzi, przy ludziach, z ludźmi, a ztąd téż i czuł po ludzku i ludzką niedolę rozumiał... Wierzył w „czyżyka,” w „kurkę”— a chociaż czasem pozował na kruka, w gruncie rzeczy gołębie miał serce.

Humor nie opuszczał go nigdy, śmiał się zawsze, w dobréj i w złéj doli; nie miał wielkich ambicyj, a do szczęścia wystarczał mu dobry obiad, cygaro i preferans...

— Ach malkontenty wy — mówił nieraz — czego chcecie? Dach nad głową jest, chleb jest, komplet do partyjki takoż; na czorta wam więcéj? Tak pomrzemy i tak pomrzemy, wszystko równo, czego sobie zmartwienie próżne robić? Człowiek solidny, wstawszy rano we wtorek, dziękuje Bogu za to, że go niebardzo głowa boli po poniedziałku; a malkontent martwi się we wtorek, że go we czwartek może głowa zaboli... Ot w czém różnica między nami...

— Widzisz pan dobrodziéj, są jednak zmartwienia, gdy człowiek pomyśli...

— Tak po cóż myśléć?... Pan wie przez co indyk życie skończył? Przez to, że myślał — a my nie indyki tylko ludzie, solidni ludzie, stateczni. U nas wszystko w porządku... jak należy...

— To nie zawsze—pan to wiesz najlepiéj...

— Przepraszam... panie dobrodzieju — zawsze...

— Jakto zawsze?

— Bo, widzi pan, to jest w rzeczy porządku, żeby nie każdy mógł być z terminem w porządku... trochę

nieporządku musi być, bo z tego dużo ludzi żyje. Wyobraź pan sobie, że wszyscy płacą w terminach.

— Byłaby to śliczna rzecz!

— No, już przepraszam... a wcale nie śliczna.

— Dlaczego?

— A adwokaty panie! komorniki! coby robili? musieliby drzewo pójść rąbać, albo z głodu umierać, a u nich proszę pana, żony — u nich dzieci. Oni ludzie z cywilizacyą, z górnym stylem, nie mogą przecie żyć jak szewcy... Insza adwokacicha i na *royalu* zagra i po francuzku ona majster... to i wydatków dużo; gdyby zaś ludzie płacili w terminach—to adwokatom siadać tylko i płakać...

Gdy wstano już od stołu, sekwestrator zrobił minę seryo.

— No, panie „przeciętny" dobrodzieju, rzekł, zabawa zabawą, a rzecz rzeczą. My zabawili się, pośmiali, pogawędzili — a teraz interes.

„Przeciętny" zakłopotał się nie żartem...

— Pozwoli pan—rzekł—jeszcze chwilkę... Posłałem do miasteczka, Mordko nie długo powróci, trzeba troszkę zaczekać.

— Czort jego zabierz! alboż ja Mordkowa, żebym miał na jakiegoś tam Mordkę czekać...

— Więc...

— No — więc czas ucieka, panie „przeciętny" dobrodzieju, a te łajdaki angliki powiadają, że czas to pieniądze... a zatém idźmy do proboszcza... On człowiek kapitalny, pulkę zaraz urządzi!

— Owszem, z największą przyjemnością — w téj chwili każę zaprządz... pojedziemy.

— Po co zaprzęgać? Na licha? Do księdza, tak my, apostolskim obyczajem — piechotką.

— Nie chciałbym pana fatygować...

— Jakaż fatyga? Przyjemność! Ładny czas, a nawet — jak powiada nasz doktor — po obiedzie to mała

agitacya zdrowa jest na oczy... On tak powiada, a nasz doktor niebyle jaki, ale powiatowy doktor! On swego fachu znawca — a jeżeli wyprawi chorego na tamten świat, to wyprawi już jak się należy, po formie... Ale my, panie „przeciętny" dobrodzieju, nie czekając chodźmy. Pani dobrodziejce moje uszanowanie, panienkom takoż — za ugoszczenie dziękujem.

Nakrywszy łysinę wielkim kaszkietem z lampasem, gość z gospodarzem poszli na probostwo, na drugim końcu wsi położone.

Kościołek murowany, z wysmukłą wieżyczką, otoczony był wieńcem starych lip rozłożystych, obok niego niedaleko stała plebania drewniana, do połowy wsunięta w ogród, z ganeczkiem na dwóch słupach, jak dworek zagrodowego szlachcica.

W ogrodzie były drzewa owocowe i rzucały cień na ogromne ule wyrobione w potężnych kłodach. Jedne z nich stały pionowo, drugie leżały na legarkach, ot po staroświecku „stojaki," „leżaki," jak zwyczajnie u księdza na partykularzu...

— Ha! ha! — śmiał się gość „przeciętnego" — kapitalny on ksiądz, wasz proboszcz! U niego i gruszka i jabłuszko i pszczółki — no i miodek. A miodek dobra rzecz. Musi proboszcz butelczynę otworzyć, ha! ha! dobry miodek, poduchowny miodek... tak jak mam do niego pierwsze prawo!

I śmiał się z całego serca, poruszając komicznie powiekami, policzkami i nosem.

Po chwili „przeciętny," wraz z wesołym jegomościem weszli do plebanii.

Towarzyszyć im nie będziemy—wróćmy natomiast do dworku, do pani „przeciętnéj." Twarz jéj nosi jeszcze ślady piękności minionéj, ale w oczach znać zmęczenie, na skroniach przeświecają już włosy srebrne, bo troski i niepokoje lubią swoje ofiary piętnować, a ona tyle przecierpiała, tyle przebolała w swém życiu...

Nie zwierzała się jednak nikomu... dla ludzi miała zawsze uśmiech pogodny — a niepokoje, troski, tłumione łzy i westchnienia na swoją wyłączną pozostawiała własność.

Te „przecięne" kobiety są takiemi egoistkami najczęściej.

III.

„Przeciętnego" częstokroć bolała głowa—„przeciętną" zaś serce. W młodości, gdy jeszcze była w domu rodziców, wesoła jak ptaszę, swobodna, niezależna, wyobrażała sobie, że życie przejdzie jéj łatwo, że znajdzie drogę różami usłaną... To téż wyszedłszy za mąż „przeciętna" pani miała, jak powiedzieliśmy wyżéj, swoje fantazye.

Lubiła bawić się, przyjmować gości, jeździć ładnym ekwipażem, ale gdy obowiązki przyszły, potroszę zapominała o sobie, zaczęła żyć dla dzieci. Jak z drzewa na jesieni, tak z osobistych jéj aspiracyj, opadał listek po listku, aż zapomniała zupełnie o sobie. Dwie panienki, chłopak koloru filologicznego, drugi barwy realnéj i trzeci całkiem jeszcze bezbarwny, oto był jéj świat.

Wychować ten „świat," ubrać go, wykształcić, otworzyć przed nim drogę życia, to jéj jedyne marzenie. A zadanie to nie łatwe. Pani „przeciętna" aczkolwiek nie trudniła się specyalnie ekonomią, nie badała wartości ziemi, ani stosunków kredytowych, wiedziała jednak dobrze, że utrzymać z „przeciętnych dóbr" liczną rodzinę chrześciańską (i kilka żydowskich) nie jest rzeczą łatwą; wiedziała dobrze, że mąż jéj po różach nie stąpa, że ciągle kręci bicze z piasku, że robi wszelkie możliwe wysilenia, aby koniec z końcem związać,

aby się przy swoim kawałku ziemi utrzymać. Dopomagała mu więc w tém, według swojéj możności, pocieszając się nadzieją, że gdy dzieci dorosną i na swój chleb pójdą, to wtenczas im obojgu „przeciętnym" lżéj będzie. Zapewne tak samo myśléć musi wół w pługu, widząc zbliżający się zachód słońca. Jeszcze kilka zagonów wyorać, jeszcze kilkanaście batów dostać, a potém odpocząć długo... długo, do samego świtu...

Pocieszali się tak nawzajem... Bo i rzeczywiście, o cóż się rozchodzi? Córki pójdą za mąż... dlaczegóżby nie miały pójść? Takie śliczne dziewczęta jak malowane... Chłopcy, ba! chłopcy karyery porobią!

Najstarszy będzie doktorem, i to nie byle jakim, ale doktorem co się zowie. Przecież Baranowski, Chałubiński, Kosiński, także byli niegdyś małymi chłopcami i chodzili do szkół... Nawet, według wszelkiego prawdopodobieństwa, darli bez miłosierdzia ubranie i zbijali bąki podczas wakacyj, co nie przeszkodziło im wyjść na znakomitych ludzi. Młodszy, łobuz realnego koloru, jest także na drodze do karyery. Skończy szkołę, potém pójdzie do jakiéjś wyższéj politechniki, zwiedzi co najznakomitsze fabryki za granicą, a powróciwszy do kraju, zostanie dyrektorem olbrzymiego zakładu przemysłowego, ożeni się z córką żelaznego lub miedzianego króla, weźmie za nią co najmniéj milion rubli posagu, i ostatecznie sam zostanie królikiem od kotłów parowych.

Najmłodszy także może los zrobić... Skończy szkoły, skończy wydział przyrodniczy, zwiedzi wszystkie akademie rolnicze i zostanie takim agronomem, jakiego świat i korona hottentocka nie widziała. Dziś, w wieku najosobliwszych wynalazków i odkryć, wszystkiego się można spodziewać; taki więc agronom może zrobić fenomenalny przewrót w gospodarstwach, stać się człowiekiem głośnym i sławnym; ojcowie najbogatszych córek ubiegać się będą o niego...

Tak to sobie niekiedy marzą państwo „przeciętni,” gdy godzina jest szara i rzeczywistość chowa się w cienie.

Ona mówi, on słucha paląc fajkę — i w duchu dziwi się, że takie geniusze, które w niedalekiéj przyszłości stać się mogą ozdobą społeczeństwa i świata, niezwykle szybko drą buty, i z godnym wszelkiego uznania pośpiechem wyrabiają dziury na łokciach.

Ona mówi, on słucha, fajkę pali—i przychodzą mu na myśl rozmaite epizody z praktyki sąsiadów, przyjaciół i znajomych.

Jeden sąsiad oto miał syna, bardzo sprytnego chłopca do nauki, ale pozbawionego muzykalnego słuchu; ten sobie nie mógł poradzić z akcentem greckim i ugrząził w klasie siódméj, jak wóz na grobli, a także miał być sławnym doktorem. Z przyczyny wymienionéj powyżéj, zrezygnował z tego zamiaru i postanowił zostać weterynarzem. I to jest piękny fach, zwłaszcza gdy się komu wiedzie. Był w szkole półtora roku, wiedział już wiele mądrych rzeczy dotyczących karbunkułu, księgosuszu, nosacizny i tym podobnych dolegliwości zwierzęcych, ale coś się znowuż zrobiło... jakieś nieporozumienie... i musiał szkołę opuścić. Sądzono mu jednak było pracować dla zdrowia ludzkości, więc zrezygnowawszy z marzeń o weterynaryi, wszedł na praktykę do apteki i dziś już jest pomocnikiem... Ślicznie mu się wiedzie: ma całe dwadzieścia rubli pensyi miesięcznéj, nie licząc stołu, wszelkich wygód i mieszkania — za szafą z pachnącemi ziołami, co także ma swoje znaczenie...

Pani „przeciętna” powiada, że to wyjątek... Chłopak był łobuz i sam sobie winien, że nie został znakomitym lekarzem.

Rzeczywiście, trafiają się przecież młodzieńcy pilni, pracowici, którzy kończą nauki i mają wszelkie szanse zostania chlubą i ozdobą społeczeństwa. Niedaleko szukając, inny sąsiad ma także syna. Dobre to dziecko,

nieoglądając się na schedę po rodzicach, (gdyż tę mogłoby przyjąć jedynie z dobrodziejstwem inwentarza) postanowiło zdobyć sobie niezależne stanowisko w świecie. Po długich latach nauki w kraju i za granicą, młodzieniec zaczął nareszcie zbierać owoce swych trudów. Jako skończony inżynier technolog, mając świetny patent i wujenkę żyjącą w wielkiéj przyjaźni z ciotką kuzynki żony samego jaśnie wielmożnego dyrektora, dostał się do warstatów drogi żelaznéj i tam, na etacie ślusarza, stoi cały dzień przy szrubsztaku i trudni się opiłowywaniem haczyków do wagonów, w téj błogiéj nadziei, że za parę lat, jeżeli się będzie dobrze sprawował, a przyjaźń wujenki z ciotką kuzynki żony jaśnie wielmożnego dyrektora nie pryśnie jak mydlana bańka, to dostanie posadę pomocnika maszynisty i będzie woził węgle kamienne, oraz inne towary, od Sosnowca aż do samego Piotrkowa i z powrotem.

I to jest także dobry interes. Bywają wprawdzie lepsze, ale w danym wypadku młody człowiek sam sobie jest winien. Dziś każdy zawód wymaga kwalifikacyj specyalnych. Kto chce naprzykład zostać dyrektorem fabryki, ten powinien być nietylko technologiem, ale i niemcem; o pierwszą kwalifikacyę mniejsza zresztą, ale ten drugi przymiot koniecznie musi posiadać.

O uczonych agronomach dałoby się także dużo powiedzieć. Najprędzéj ci z nich dostają posady, którzy posiadają własne majątki ziemskie, w takim albowiem razie, bez wielkich trudności zostają rządcami dóbr własnych...

Rozmowy na ten temat, prowadzone niekiedy o szaréj godzinie, były, można powiedzieć, całą pociechą państwa „przeciętnych," albowiem słodko jest wśród trosk i kłopotów pocieszać się nadzieją, że jeżeli już nie nam samym, to przynajmniéj dzieciom naszym będzie na świecie dobrze. Synowie mają przed sobą świat otwarty na oścież, i mogą porobić najświetniejsze karyery.

Co się tyczy córek... powiadają, że świat jest zmateryalizowany, że na biedną panienkę, cbociażby idealnie piękną i jeszcze idealniéj zacną, nikt nie spojrzy, że wszyscy młodzi ludzie marzą o wielkich posagach, a każdy z nich żąda za swoją delikatną osobę najmniéj sto tysięcy, co według przypuszczalnego obliczenia, wynosi plus minus po 625 rubli za funt żywéj wagi młodzieńca. Powiadają tak, ale ktoby ludzkim gadaniom wierzył? Ileż to razy panienka zupełnie biedna wychodzi za angielskiego lorda milionera... w powieści!

Pani „przeciętna" wierzy w świetną przyszłość swych dzieci, a jednak bywają chwile, w których ją przejmuje obawa. Może być tak, a może być inaczéj, ale dlaczego rozpaczać nad tém, co być może, gdy teraźniejszość woła, aby się nią zajmować?

Zanim panienki powychodzą za mąż (ma się rozumiéć świetnie), zanim chłopcy staną się ozdobą kraju, potrzeba im sukienek, mundurów, obuwia, bielizny. Na zaspokojenie tych potrzeb, jest stara jak świat ale bardzo dobra recepta: iść do męża i powiedziéć mu żeby dał X rubli; ale pani „przeciętna" wie jak jéj mężowi trudno o te ruble... i jakie rzesze musi on niemi obdzielać; pragnie więc przyjść mu z pomocą, już to bezpośrednio, starając się miéć jakieś dochodziki z własnego kobiecego gospodarstwa, już to pośrednio, usiłując aby utrzymanie domu jaknajtaniéj kosztowało.

Kto powiedział, że panie nie mają do matematyki zdolności, ten jest w błędzie; każda z nich prawie wytwarza takie kombinacye groszowe, o jakich się filozofom nie śniło...

Nasza „przeciętna" robi to na większą skalę.

„Przeciętny" ma Walentego, fornali i parobków, pani zaś rozporządza oddziałem dziewek, przy pomocy szafarki, bardzo zacnéj i proporcyonalnie do godności swojéj otyłéj niewiasty, wdowy po nieboszczyku Klapiszewskim.

Czém Walenty na folwarku, tém Klapiszewska w kuchni, w oborze, w ogrodach i chlewach. Walenty pesymista zrzędzi półgłosem; Klapiszewska wylewa swój pesymizm w tonach możliwie najwyższych, z gestykulacyą wymowną, gada od świtu do rana, cały dzień gada, a nawet w nocy śni o tém, że gada i przez sen komuś wymyśla...

Od świtu samego, pochwaliwszy Pana Boga, zaczyna ganić ludzi, i gani do póżnéj nocy, z wyjątkiem tych chwil, w których się pożywia.

Sama o sobie mówi, że jest dla swéj pani prawą ręką, okiem, a w wielu wypadkach nawet głową, bo żeby nie jéj rozum, toby się młode indyczki nigdy nie wychowały, zwłaszcza przy teraźniejszéj służbie żeńskiéj, która, według zdania Klapiszewskiéj, więcéj myśli o tańcach, aniżeli o poważném traktowaniu kwestyj indyczych.

Klapiszewska szczyci się niemałém zaufaniem swéj pani i odbywa niekiedy podróże do miasta gubernialnego, w celach handlowych. W takich wypadkach Walenty szykuje jéj wóz drabiniasty w trzy konie, dobrze wysłany słomą, i zapowiada fornalowi, żeby sobie zatkał uszy wełną, jeżeli nie chce ogłuchnąć. Z wielką powagą zajeżdża pani Klapiszewska na rynek miejski— i z dumą spogląda z wysokości wozu, pełnego indyków, gęsi, prosiąt, masła, serów i tym podobnych prowizyj, stosownie do sezonu. Targuje się z przekupkami do upadłego, opowiada cuda o zaletach drobiu i wszystkich w ogóle produktów dobr „przeciętnych," o swéj pracy, przechodzącéj wszelkie ludzkie pojęcie. Pozbywszy się całego ładunku, powraca do domu z pieniędzmi i tryumfem, opartym na tém przeświadczeniu, że niktby równie dobrze towaru nie potrafił spieniężyć. Ona także podróżuje po jarmarkach, w celu sprzedaży nierogatego inwentarza, zna wszystkich rzeźników w okolicy i wie, który jarmark bywa dobry, a który nic niewart.

Gdy przyjdzie wiosna i początek lata, gdy z kurników wyjdą na świat Boży całe stada młodziutkich kurcząt, gęsiąt, kacząt, indycząt, wtenczas zaczyna się dla Klapiszewskiéj epoka zawziętéj wojny z Walentym. Chłop zawsze jest chłopem, i żeby go nawet miodem smarować, będzie taki sam jak był... Gniewa się i krzyczy gdy gąsięta w szkodę wejdą! Boże miłosierny! jakby taki niewinny drobiazg mógł jaką szkodę zrobić?! Ale tłomaczże mu! On powiada, że zboże pierwsze, i że jak jeszcze raz szkodę dostrzeże, będzie niewinnym stworzeniom poprostu głowy ukręcał. Nieraz panienki, a nawet sama pani wdaje się w tę sprawę, ale chłop chytry, tak się umie tłómaczyć, że pani przyznaje mu słuszność, a obrończyni niewinnych stworzeń każe ich lepiéj pilnować. Czy kto widział podobną niesprawiedliwość!? Klapiszewska usiłowała kilkakrotnie dziada na swoją stronę przeciągnąć, przekupić, i w tym celu częstowała go wódką, ale chłop zawsze chłopem, wódkę wypił, a o szkody znowuż awantury wyrabiał. Szafarka usłyszała nieraz wymówkę od pani, a sama z lichwiarskim procentem rozdzielała ją pomiędzy podwładne sobie Nimfy i Gracye, i robiło się ztąd piekło, o jakiem trudno mieć pojęcie.

Bo Klapiszewszka póki dobra to dobra; ale jak wpadnie w złość, wtedy drżyjcie narody! Nawymyśla, nietylko nimfom i gracyom, ale nawet kaczkom i indykom... a wszystko przez tego chłopa!... Biada mu jeżeli ją spotka, i to tylko całe jego szczęście, że w takim wypadku zatyka sobie uszy i ratuje się ucieczką.

Pomimo całéj energii Klapiszewskiéj, pani „przeciętna” ma jednak oko na wszystko, a osobiście całego gospodarstwa dogląda, bo z tego gospodarstwa są sukienki i mundurki, z niego opłacana była panna Cauchemare, z niego ponoszone różne drobne wydatki, niby nic nieznaczące, a jednak, wzięte razem, poważne.

Córki pomagają jéj w zajęciu, o tyle, o ile im czas wolny od fortepianu i francuzczyzny pozwala, i tak schodzi dzień za dniem, rok za rokiem, a im daléj, tém trudniéj, tém potrzeby większe.

Biedna kobieta czuje, że ją siły opuszczają, że powinnaby odpocząć, leczyć się, o zdrowiu pomyśléć.

Ale to kiedyś... kiedyś, niech-no wpierw dzieci podrosną, niech los sobie ustalą...

Jest to termin stanowczy, chociaż nieokreślony ściśle; wielu ludzi trzymać go się musi... „Niech-no się jakoś dzieci ustalą" — niech się ustalą, wtenczas „przeciętny" odpocznie — a „przeciętna" pomyśli o swojém własnem zdrowiu.

Tymczasem trzeba czekać. Zdarza się niekiedy, że wśród takiego oczekiwania nadejdzie czas wiekuistego odpocznienia na cmentarzu, w wygodnym grobie familijnym, albo téż poprostu, w piasczystym, suchym gruncie, pod płaczącą brzozą—aleć taki odpoczynek wszystkich nas czeka i kładzie kres wszelkim zabiegom i smutkom, nadziejom i utrapieniom.

Dopóki jednak owa ewentualność nie zaskoczy, człowiek, choćby „najprzeciętniejszy," ma prawo spodziewać się nagrody za swoją pracę—i wytchnienia po trudach.

W tym sensie przemawia nawet Pinkus Ćwik, w swoich obszernych memoryałach o zagadnieniach życia ludzkiego. Zachęcając do ufności w przyszłość, do śmiałych przedsięwzięć, do wiary w siebie samego i swe siły, powiada z dobrotliwym uśmiechem:

— Gratyfikuj się mój kichaneczku — dostaniesz krzyż... na plecy!

Naturalnie jest to alegorya, niezmiernie delikatna, ale za to przerażająco głęboka. Kto się w nią dobrze wpatrzy, kto jéj sens odgadnie — ten wnet pozna jak hojnie los rozdaje krzyże... na plecy.

Ale odeszliśmy cokolwiek od przedmiotu.

„Przeciętni” ustanowili sobie, jako się rzekło, termin „gdy się dzieci ustalą”—i ten stał się dla nich siłą, laską podpierającą ich kroki; leży to albowiem w ludzkiéj naturze, że najgorszy interes z kresem, lepszy jest od dobrego bez kresu...

Tu znów muszę przytoczyć zdanie Pinkusa Ćwika.

— Wolę—mówi ten myśliciel—wolę iść po ostrych kamieniach, dajmy na to z Pacanowa do Kocka, aniżeli po najlepszym gościńcu niewiadomo dokąd. Dlaczego? Prosty interes. Po kamieniach wprawdzie iść ciężko, można sobie nogi pokaleczyć, bo na to są kamienie, ale gdy idę po nich przez cały dzień, to wieczorem wiadomo mi już, że jestem od Pacanowa o jeden dzień daléj, a od Kocka o jeden dzień bliżéj; że jutro będę znów jeden dzień bliżéj, a z czasem, chociaż zupełnie nogi zerwę, stanę nareszcie w Kocku. Gdybym zaś szedł po najlepszéj drodze, a nie wiedział dokąd idę, to niemiałbym żadnéj nadziei, ani żadnéj pociechy.

Że wszystkie obserwacye szanownego Pinkusa są trafne, o tém czytelnik niniejszych szkiców, już niejednokrotnie się przekonał; ta jednak ma w życiu praktyczném najszersze zastosowanie.

Kto z nas nie idzie po kamieniach ostrych? Każdy, padając raz po razu i kalecząc się, dąży do swego Kocka... i spodziewa się, że kiedyś nareszcie przyjdzie do niego...

To téż „przeciętny” wlecze się po téj drodze z Walentym, a „przeciętna” z Klapiszewską — i tak to idzie dzień za dniem, rok za rokiem, aby daléj, aby daléj, aby do celu.

Pani „przeciętna” w drobiazgowych swych kombinacyach, wysila głowę na to, aby jaknajwięcéj grosza ze swego drobnego gospodarstwa do domu zgromadzić, i najbardziéj wydatek tego grosza na dom ograniczyć. Nie jest to skąpstwo, lecz oszczędność, wynikająca ze

szczeréj chęci dopomożenia mężowi; skąpstwa bowiem w całém znaczeniu tego wyrazu, takiego, jakie się praktykuje po miastach, w „przeciętnych dobrach" nie znają.

Tam zawsze znajdzie się zbywające nakrycie przy stole i kąt w domu dla gościa...

— Ostatecznie—powiada niejeden filister, któremu zdaje się, że wieś to Kalifornia—czego ci ludzie chcą..? Pole rodzi tyle zboża, że przejeść go nie sposób, w lesie co krok to drzewo, a czasem i dwa; na łąkach trawa w pas, w oborach bydło, w stajniach konie, w owczarni owiec setki, a w rzece i w jeziorach ryb mnogość!! Czego oni narzekają ci przeciętni? czego chcą jeszcze? Ziemia to najlepsza lokacya kapitału, rolnictwo najłatwiejsze zajęcie, a przy tém daje tyle przyjemności, jakich żaden inny zawód dać nie może...

„Przeciętny" słyszy nieraz takie głosy—i ramionami wzrusza...

Owa ziemia, która od tylu wieków żywi ludzi, sfatygowała się już mocno staruszka i coraz bardziéj grymasi. Dogadzać jéj trzeba, pielęgnować, obchodzić się z nią jak z jajkiem, a oglądać się nieustannie czy pan deszcz, albo pani susza, nie wtrącą pomiędzy ziemię a rolnika swoich trzech groszy.

Ale dajmy na to, że wszystko idzie jak po maśle; kapryśna staruszka uproszona, udobruchana, wypielęgnowana jak dziecko, przywdziewa na siebie ogromną perukę z złocistych łanów pszenicy i jęczmienia, gdzie niegdzie jeży się owsem, bieleje żytem, ozdabia grochem kwitnącym i wyką, białemi kwiatkami kartofli i błyszczącemi liśmi buraków...

Tak przystrojona, piękna, obładowana skarbami, wygrzewa się na słońcu, kąpie się w rosie i w deszczach, nareszcie, syta już uciech letnich i wesołości, powiada do rolnika:

— Już mi się zaczyna chcieć spać i odpocząć; rozbierz mnie, kochany przyjacielu, a w nagrodę za to weź sobie moje wszystkie sukienki z traw i kłosów, biżuterye z olbrzymich buraków—soliterów, zabierz moje perły z kartofli, kolie z marchwi, warkocze z końskiego zębu... zabierz sobie to wszystko, prawowity mój sukcesorze i używaj smaku, jak kot w studni! Ja już sobie odpocznę; zostaw mi tylko krótkie futerko ze ścierniska, poprusz miejscami ziarnem oziminy... poskrob trochę pługiem, uczesz broną i—idź spokojnie do chałupy... Ja się niebawem schowam pod puszystą pierzynę ze śniegu, a ty, jak ci mówiłam, korzystaj z sukcesyi i jak wdzięczny siostrzeniec, płacz nad grobem bogatéj ciotki... z radości.

Staruszka miewa niekiedy także fanaberye i chociaż rzadko to się trafia, obdarza rolnika bogatą garderobą i biżuteryą. Ma się rozumieć, że ten całą forsą rzuca się do zabierania szacownéj spuścizny; zaprzęga wszystkie woły i konie, porusza wszelkie ręce robocze, jakie znaleźć można w blizkości, stawia stogi, sterty, napełnia stodoły, wznosi długie kopce z buraków i kartofli, jednem słowem używa...

Ale szanowna staruszka zostawiła różne małe rachunki do załatwienia. Jako osoba należąca do towarzystwa, przekazuje sukcesorowi do zapłacenia dwie raty z karami od uchybionego terminu; pozapisywała różne procenta i legaty, zobowiązała do pamiętania o podatkach, o wesołym jegomości z gulką na nosie, o poczciwym wójcie i pisarzu jego, o sądzie i wszystkich członkach jego, o stróżach publicznego porządku cichości i spokoju.

Zastrzegła, żeby to wszystko opłacić rzetelnie, pod groźbą wydziedziczenia.

Zostawiła wspaniałą szatę utkaną z kłosów złotych, ale zastrzegła zarazem, żeby część téj szaty rozdzielić

na ordynarye, część schować na zasiew, żeby kosztem jéj przezimować bydełko, koniki i owieczki...

Niewyczerpana w dobroci, wyraźnie zastrzegła przed udaniem się na zimowy spoczynek, żeby nie cierpiał głodu pachciarz Mordko z rodziną, żeby najedzeni byli: Szmul, Jojna, Icek, Wigdor i bracia jego; żeby uczony Pinkus Ćwik, o pustym żołądku nie puszczał się na fale filozoficznych dociekań, albowiem mógłby łatwo wpaść w błąd, i zamiast o przedmiotach abstrakcyjnych, marzyć wyłącznie o chlebie, kartoflach i tuczonéj gęsi, która jak wiadomo, nie jest ptakiem mądrości.

— Wziąłeś sukcesyę, luby mój siostrzeńcze, więc wypłać wszystkie legaty, spełnij wolę moją dokładnie, co do joty... Że ją spełnisz, to nie ulega, jak dla mnie, żadnéj wątpliwości; 1-o, bo znam twój szlachetny sposób myślenia i poczciwe serce, a 2-o że mądrość ludzka, chcąc utrwalić wśród mieszkańców Europy poczucie obowiązku i dzielenia się dochodami z bliźnimi, wymyśliła sekwestratorów, komorników, sądy i tym podobne instytucye, mające na celu zaprowadzanie i ugruntowanie porządku społecznego...

— Droga! najszanowniejsza cioteczko! ciotunieczko! piszczy „przeciętny” siostrzeniec—ja mam żonę, bardzo poczciwą kobiecinę; mam dwie córeczki jak kwiatki, mam trzech chłopców, w kolorach: klasycznym, realnym i cywilnym.

— Wiem, wiem, moja duszko... Pan Bóg ci błogosławi... Zabiegaj i pracuj; jeszcześ nie stary, możesz miéć i w przyszłości kilka pociech w rozmaitych kolorach.

— Nie o tém się mówi, droga ciociu — ale moja żonisko nie domaga.

— Wywieź ją na jakiś czas na południe, powiadam ci, że na suchy kaszel to zadziwiająco dobry środek!

— Dobrze cioteczko, ale mam téż dwie córki, śliczne dziewczęta.

— Wiem, wiem, przecież noszę je na własnych plecach; ładne dziewczynki ani słowa; aż miło wspomnieć, że się one na moim spracowanym grzbiecie urodziły, wyrosły, — to moje najpiękniejsze kwiatki; mój siostrzeńcze, jestem z nich dumna, wierzaj mi.

— Tak, droga ciociu, ale ja potrzebuję te kwiatki za mąż wydać.

— Nic słuszniejszego, mój drogi! Rzadko się wprawdzie odzywasz, ale niekiedy bywa w tém sens. Nie wydać za mąż takich panienek, to zbrodnia! to poprostu marnowanie darów Bożych!

— Ja ich téż nie myślę marnować, niech mnie Bóg broni od podobnéj intencyi, pragnąłbym je jaknajlepiéj urządzić.

— Więc urządź, któż ci broni?

— Ale ciotuniu dobrodziejko, dziś taki świat, że każdy kto się żeni, chce posagu.

— Bardzo mądrze, mój siostrzeńcze, bardzo mądrze. Ja stara już jestem, praktyczna, a za dawnych czasów mówiono: że „miłość o głodzie sprzykrzy się i wojewodzie.” Daj więc im posag i skończony interes.

— Ciociu szanowna, jabym dał ze szczerego serca, ale nie mam.

— Wielka rzecz! niemasz, to staraj się — zbieraj.

— Gotów bym nawet i to zrobić — ale ciocia dobrodziejka wie, że mam téż trzech chłopców, jeden w kolorze...

— Ach znam doskonale tych bąków i ich kolory! nieraz burzy się we mnie wszystko na widok psich figlów, jakie wyrabiają te łobuzy...

— Cioteczka ich nie lubi?

— Owszem, bardzo lubię — aczkolwiek jestem stara, ale szanuję prawa młodości i powiem ci otwarcie, że młody niewesoły, a stary nienabożny—nie warci są, żeby po moim grzbiecie stąpali...

— Ja tym bąkom potrzebuję dać wykształcenie — a to piekielnie drogo kosztuje w tych czasach.

— Najsłuszniéj powiadasz, drogi siostrzeńcze, dziwię się nawet zkąd posiadasz taką dziwną przenikliwość i wytrawny sąd o rzeczach. Co dziś wart jest człowiek bez wykształcenia, bez nauki? Świat teraz zmądrzał, minęły te czasy, kiedy do karyery młodzieńca wystarczał kurs szkoły powiatowéj i ładny wąsik...

— Niestety...

— Niestety, mój kochany, ale tak być powinno, tak trzeba, dziś wszystko zmądrzało. Może nie uwierzysz, ale ja ci powiem, że nieraz słyszę jak na moim grzbiecie kłócą się dwa ziarnka pszenicy i wymyślają sobie w stylu naukowym, tak naprzykład: „gdzie się pchasz głupie ziarno! ustąp mi, ja mam 22 proc. glutemu, a ty nie masz nawet 15!” Kształć i kształć, żebyś miał ostatnią krowę wyprowadzić z obory—to kształć...

— Ale zkąd brać na to wszystko, droga ciociu...

— Eh! nudzisz mnie z tém wieczném zapytaniem „zkąd brać...?” Za moich dawnych czasów, kiedy jeszcze panowie Tatarzy i Szwedzi oddawali mi wizyty — musiało wystarzyć na wszystko, a ty, — o głupich trzech chłopców robisz tyle awantur.

— Ależ cioteczko, na chłopcach nie koniec, mam córki.

— Tém lepiéj...

— Mam żonę!

— Tém gorzéj dla niéj, że wybrała sobie za dozgonnego towarzysza takiego ciemięgę jak ty, mój drogi siostrzeńcze...

— Ależ ciociu!

— Ech! daj już pokój. Moja rola skończona, zapisałam ci całą garderobę, zdarto zemnie wszystko aż do negliżu ze ścierni, więcéj nad to nie mam, nie dam i dać nie mogę, na waszych rachunkach się nie znam, służę wam wszystkim jednakowo. Dawniéj nie grymasiliście,

było wam dobrze i wesoło — dziś piszczycie i lamentujecie, jak żydowskie płaczki na cmentarzu. Co do mnie, mam już tego dość—a jeżeli masz do mnie jaki interes, to zgłoś się na wiosnę—wtenczas pogadamy...

W ten sposób rządzi kochana ciotunia, gdy jest osobliwie hojna, gdy pełną garścią dary swoje rozsypuje — ale taka szerokość jéj natury należy do wyjątków. Częściéj ciotunia skąpi, częściéj jeszcze, chociaż sama nie skąpi, pan deszcz i pani susza wdają się w sprawę i kładą swoje nieprzełamane veto... Wtenczas rób co chcesz, urwij sobie głowę, kręć się jak mucha w ukropie... pleć bicz z piasku, rób co ci się podoba...

„Przeciętni" jednak to robią...

IV.

Po piaszczystym gościńcu jedna za drugą wloką się dwie biedki żydowskie...

Piasek to osobliwy, czternastéj klasy piasek, jak twierdzi wesoły gość „przeciętnego;" koła w nim sapią, osie jęczą, a kopyta końskie toną aż za pęciny.

Na pierwszéj biedce jedzie pachciarz Mordko i jego szwagier Joel, na drugiéj wielki kupiec Symcha Glass i jego teść Pinkus Ćwik, pogrążony jak zwykle w dumaniach.

Z wielkiego pośpiechu wszyscy pasażerowie, prócz Pinkusa, zapadli w sen głęboki; głowy ich kiwały się naprzód i w tył, na prawo i lewo, koniska również pospuszczały łby, jakby pragnąc stwierdzić znaną maksymę, że w handlu (zbożowym zwłaszcza) wszystko na pośpiechu zależy...

Słońce już zapadło za las, do którego z pól nadciągały stada wron, donośnem krakaniem napełniając powietrze...

Z kościołka, co nad „przeciętne” chałupy wystrzelał smukłą wieżyczką, odzywał się dzwonek, z pól ludzie wracali, z pastwisk nadciągały gromady bydła ku wsi...

Kiedy pierwszy koń wciągnął biedkę na most, koła jéj stuknęły o bal tak silnie, aż się głowy obydwóch pasażerów spotkały w gwałtownym karambolu, Mordko przetarł oczy rękawem i krzyknąwszy „fur! fur!” zaczął z całéj siły okładać szkapę biczem, nagląc ją do pośpiechu.

Zadudniły kopyta po moście, a łoskot ten przebudził z uśpienia drugich pasażerów i obie biedki w wielkim pędzie zatoczyły się przed domostwo Mordki.

Wszyscy czteréj mężowie weszli do izdebki nizkiéj, w któréj stały dwa łóżka z pierzynami pokrytemi jaskrawym perkalem, czerwony szlaban, kulawy stolik i na żółto malowana szafka oszklona, zawierająca w części górnéj różne naukowe i nabożne księgi, w dolnéj zaś rozmaite przedmioty, będące główną podstawą tak zwanego „kredytu rzeczowego.”

Oprócz tych mebli znajdowały się w izbie i dzieżki od mleka, niezbyt dokładnie umyte i mnóstwo dzieci niekompletnie uczesanych i dość bezpretensyonalnie ubranych.

W kącie, przy wielkim kominie, uwijała się sama pani Mordkowa, w czerwonym flanelowym kaftanie (jako osoba delikatnego zdrowia), niezapiętym jednak z powodu gorąca. Na nogach miała pantofelki, nie tyle zgrabne ile przydeptane, a głowę jéj zdobiło pewnego rodzaju czupiradło, będące jednocześnie peruką, czepkiem i kapeluszem, a ozdobione suto wstęgami koloru żółtego, które przy opalonéj, trochę piegowatéj twarzy pani Mordkowéj, sprawiały imponujący efekt...

Bez rozczulających powitań, nie patrząc nawet na szanowną gospodynię domu, czteréj mężowie zasiedli przy stoliku, a zapaliwszy piękne porcelanowe fajki, napełnione tytuniem takim, co się zowie „wyborowy, cien-

ko krajany" a podobny jest do grubych patyków, rozpoczęli ożywioną i bardzo zajmującą rozmowę.

Mordko wydobył z kieszeni kawałek kredy (gdyż ten szacowny minerał z zasady zawsze nosi przy sobie) i pośpiesznie nakreślił na czerwonym stole szereg cyfr, które ulegały różnym modyfikacyom, w miarę gorących przemówień Joela i Symchy 'Glasa. Obaj ci panowie wraz z Mordką, prezesem i głównym dyrektorem tego zgromadzenia, byli niezwykle gadatliwi, ruchliwi i ożywieni; jeden tylko Pinkus zachował uroczyste milczenie i zdawał się nie zważać na to, co się obok niego dzieje... Powoli puszczał z cybucha sinawy dymek i z wielkiém zajęciem przypatrywał się sufitowi, na którym roiły się miliony much.

Nie każdy jednak śpi kto chrapie, powiada przysłowie; Pinkus doskonale wiedział co się dzieje, a słuchając dysputy, zachowywał dla siebie ostatnie słowo.

Gdy stosowna chwila nadeszła uderzył ręką w stół i wyrzekł stanowcze:

— A sof!

Ale jak on to wyrzekł! z jaką powagą powiedział to słowo! Dwaj małoletni synowie Mordki, którzy z wielkiem zajęciem przysłuchiwali się dyspucie, machinalnie powtórzyli „a sof"!

— A sof! — rzekł z uśmiechem zadowolenia Symcha Glas, gdyż wyraz ten był niejako pieczęcią, którą uczony Pinkus do jego wniosku przyłożył.

— A sof! a sof! — zawołali jednogłośnie Joel i Mordka; a trzeba wiedziéć, że to jest wielkie słowo, waży ono tyle, co grecka omega, gdyż jest ostatnią literą alfabetu i oznacza koniec, zamknięcie, a jak w tym interesie, zakończenie dysputy...

Jak na skinienie czarodziejskiéj laski, harmider ucichł, Mordko zaś przygładził brodę, poprawił wełniany pas na sobie, żupan trochę z kurzu otrzepał i nasa-

dziwszy aksamitną czapkę na tył głowy, z wielką powagą udał się do dworu.

Słońce zaszło już, ale pozostawiło jeszcze na niebie, jako miłe po sobie wspomnienie, odblaski złote, zapowiadające na jutro dzień pogodny.

Gdy wiatr ku nim drobną, białą chmurkę napędził, ta wnet nabierała barwy różowéj, to złotawéj znowuż, dopóki nie zniknęła ludziom z przed oczu... Nad lasem te odblaski jaśniały niby aureola świetlana i probowały się przebić przez ciemne gałęzie sosen, gdzie już mrok nocny nieznacznie wkradać się zaczynał...

Na plebanii pulka była skończona.

Wesoły gość, któremu poduchowny miodek dodał jeszcze humoru, proponował drugą, co jednak nie mogło przyjść do skutku, gdyż przyjechał chłop z wioski sąsiedniéj i księdza do umierającéj kobiety wzywał...

Wobec takiego wypadku, gość już nalegać nie śmiał, chociaż w duchu miał niejaką urazę do baby, że w takiéj a nie innéj chwili, żegnała się z tym światem...

— No, Bóg z nią — rzekł — niech wyzdrowieje, życzę jéj szczerze... tylko muszę powiedziéć, że wcale nie apropos umierać wtedy, kiedy mnie karta idzie jak na obstalunek... Jedź, księże dobrodzieju, jedź, a na drugi raz my powetujem ten interes. Trzy pulki zagramy! Dwie tak sobie, a jedna będzie się rachować jako „niedoimka” za dzisiejszy dzień.

Ksiądz pojechał, „przeciętny” z gościem swoim powrócili do dworu... Wnet podano herbatę, nie w pokoju jak zwykle, lecz na werendzie w ogrodzie.

Wieczór był cichy, pogodny, świece płonęły spokojnie w oszklonych lichtarzach, drobne muszki i komary unosiły się w powietrzu ku światłu, zapach kwiatów dolatywał z ogrodu.

Gość był w wyśmienitym humorze, mówił, że tu wszystko piękne, a życie nieco milsze, niż w Samarkandzie naprzykład.

— Ale trudniejsze o wiele — dodał z westchnieniem gospodarz.

— No, cóż robić?— zakonkludował sentencyonalnie gość — komu szydła golą, a komu brzytwy nie chcą...

Zostawiwszy wesołego jegomościa przy stole, „przeciętny" udał się do swojéj tak zwanéj kancelaryi, gdzie już oczekiwali na niego Mordko, Joel, Symcha Glas i zawsze poważny Pinkus...

Na stole, w płóciennym woreczku, leżała próbka jęczmienia, który Walenty przyniósł ze spichrza; obok— pół libry papieru, kałamarz i parę piór. Słowem wszystkie przyrządy służące do obdarcia człowieka ze skóry.

Żydzi ważyli próbkę na ręku, rozgryzali ziarnka, smakowali, krytykując, że jęczmień chudy, że na słód niezdatny, że w ogóle teraz jest mało poszukiwany.

— To ryzykowny interes — mówił krzywiąc się Symcha — co my z tém zrobimy? W Warszawie piwowarniki bardzo grymaśne są; oni by chcieli... dyabli ich wiedzą coby oni chcieli? Oni same nie wiedzą.

— To prawda — wtrącił Joel — tera im się całkiem we łbach przewróciło... Ja wielmożnego pana co powiem, że tego jęczmień, to może za wielgiem uproszeniem kupią młynarze, na krupy.

— A ja mówiłem wtedy, niech wielmożny pan sprzeda! wtedy buł czas! Na co wielmożny pan trzymał jego aż do téj pory? Już nowy będzie niedługo, kto chce teraz patrzéć na jęczmień?...

Mordka stronę „przeciętnego" trzymał, gdyż tak mu z roli pachciarza wypadało...

— Aj waj! — mówił, co wy gadacie! co wy za paskudne gadanie gadacie! Taki jęczmień! wy nie myślcie sobie co to jęczmień jest? To czyste złoto! to same perłów! Żebym ja tak zdrowie miał... jak tego jęczmień jest zdrów. Un przy mnie zasiany, przy mnie zbierany! Żeby on buł pszenica, to ja bym go na mace kupił. Un kropli deszczu nie widział!

Żydzi zaczęli między sobą szwargotać...

— Wielmożny pan — mówił daléj Mordka — wielmożny pan nie chciał moje słowo słuchać... ja mówiałem panu, że insze żydy, co ze zbożem handlują, mają paskudną naturę. U nich co godzina to nowina; u nich w głowie to jak w trybunale. Ja to już sto razy gadałem... Ny — wus zugt ir, reb Pinkus? Panie Pinkus! powiedz pan jedno słowo! na co to długo klektać...

Pinkus pogładził brodę i rzekł...

— Kończmy...

— Ny, kiedy Pinkus mówi kończmy, to kończmy tylko zróbmy zgode! Niech będzie zrobiona zgoda?

— Owszem zgódźmy się.

Rozpoczął się targ zawzięty, żydzi szwargotali między sobą, kłócili się, chcieli odchodzić, znów wracali... nareszcie Pinkus znowuż uderzył ręką w stół i rzekł...

— A sof!

— A sof! a sof! — powtórzył Joel i Symcha; niech my dołożymy do tego interesu, niech będzie nasza strata!

Kontrakt spisano, żydzi wydobyli pieniądze z zatłuszczonych pugilaresów, tranzakcya przyszła do skutku.

Ile mianowicie „przeciętny" na tym jęczmieniu stracił, nie powiem; kto wie, może niniejsze szkice wpadną mu kiedy pod rękę, może je przeczyta w wolnéj chwili, w takim razie miałby do mnie pretensyę, że tajemnice jego majątkowe na jaw wywłóczę...

Niech więc to utonie w morzu niepamięci, bo jak słusznie powiada Pinkus, że dobrze jest pochwalić się powodzeniem, ale nie należy wiele mówić o stratach. Niech nasze wrogi liczą straty! — dodał w konkluzyi.

Z tejże saméj racyi przemilczę o tém, ile usłużny Mordko dostał za swoją fatygę faktornego w gotówce, a jego kobyłka w owsie... niech te cyfry także utoną w fali zapomnienia.

Już późno było, gdy przed ganek zatoczyła się żółta bryka wesołego jegomości... „Przeciętny” zatrzymywał go na noc, ale gość uznał za właściwe puścić się w drogę chłodkiem, gdyż miał nazajutrz jakieś ważne interesa załatwić i wyspać się w dzień, aby wieczorem, z jasnym umysłem i czystym sumieniem, udać się na preferansa do powiatowego doktora, który i w karty gra po wszelkiéj formie, i chorych do lepszego życia również po formie wyprawia.

Zasiadł więc wygodnie na swojéj żółtéj bryce, na safianowéj poduszce, cygaro zapalił i odjechał...

Jadąc, rozglądał się po polach, które księżyc oświetlał łagodnemi blaskami, rozglądał się i dumał...

— A także im nie rozkosz — rzekł spluwając...

We dworze „przeciętny” zamknął się w swoim pokoju. Usiadł przy biurku, rozłożył przed sobą pieniądze... wydobył jakieś notatki, myślał, myślał długo, nareszcie zaczął pieniądze na drobniejsze kupki układać...

— Pensya Walentego, parobków, fornali, całéj służby — mruczał pod wąsem — to tyle; podatki, no te już... wójt, składki różne, tyle; pani Katarzynie procencik!... temu kauzyperdzie na koszta, aj do licha! brakuje! a gdzie wpisy, stancya dla chłopców, umundurowanie, robocizna i inne różne nagłe wydatki. — Zdaje mu się, że źle liczy i zaczyna od końca...

— Różne nagłe wydatki... tyle a tyle... dobrze... Wpisy i stancya za kwartał... owszem, bardzo dobrze... Kauzyperda, dobrze... Pani Katarzyna... do licha nie wystarczy... a gdzież składki, wójt, pensya służby?

Liczy znów od początku i znów od końca, próbuje wybierać pozycye ze środka, duma czyby nie można któréj z nich wykreślić; ale gdzieżtam, żadna ruszyć się nie da, drobne cyferki są jako lwy szukające kogoby pożréć... rozdziawiają zgłodniałe paszczęki, ryczą, domagają się gwałtem...

Zegar uderza północ... w królestwie Klapiszewskiéj koguty pieją.

Do drzwi ktoś puka...

„Przeciętny” ocknął się z smutnych dumań, pośpiesza otworzyć.

Wchodzi pani „przeciętna” blada, ze śladami zmęczenia w oczach.

— Nie śpisz jeszcze? — pyta.

— Jak widzisz, liczę i liczę...

— I nie wypada ci jak zwykle?

— Niestety!...

— Sprzedałeś jęczmień?

— Tak, kochanie... musiałem, ale wiesz jak to u nas idzie... wszystko kropla w morze! Otchłań, otchłań bezdenna... przepaść... powiadam ci.

— Cóż zrobisz?

— Alboż ja wiem? Jarmark niedługo... może kasztanki sprzedam...

— I rata niedługo...

— Prawda, prawda i rata... i to pilne i to pilniejsze... trzeba będzie kilkadziesiąt par sprzedać...

— Na zielono?

— Sama widzisz, że mus...

Nastała chwila milczenia.

Zegar cykał miarowo „daj! daj! daj!” za piecem świerszcz piszczał, „daj, daj, daj,” a wiatr, który się zerwał chwilowo, zahuczal smutnie w kominie, jakby ten sam wykrzyknik płaczliwym głosem powtarzał!..

„Przeciętny” machinalnie znowuż zaczął liczyć zabrudzone pieniądze; ona zaś oparła się o biurko i patrzyła na papier, na którym długi szereg cyfr był nakreślony...

Ten papier zamykał jéj usta.

Przyszła do męża z zamiarem... Wiedząc, że sprzedał zboże, chciała skorzystać z téj sposobności i poprosić go o fundusz, na jakieś dawno już projektowane su-

kienki dla córek... Zobaczywszy fatalny regestr zamilkła i postanowiła poczekać, wstrzymać się z tym wydatkiem do przyjaźniejszéj pory. Wreszcie może z własnego gospodarstwa co jéj wpadnie...

— Idź już spać — rzekła do męża — tak późno...

„Przeciętny” obejrzał się, westchnął głęboko i ująwszy żonę za rękę, zapytał...

— Powiedz duszko, kiedy się to wszystko skończy? Kiedy odetchniemy? kiedy nareszcie przestaniemy ciągle grać w zielone?

Księżyc unosił się nad ziemią, chróściele odzywały na łąkach. nad moczarami wlokła się biała mgła.

Na jednéj biedce jechało trzech żydów. Na honorowém miejscu siedział Pinkus, obok niego przyczepił się Symcha, a szwagier Mordki — Joel, najszczuplejszy, najchudszy, a pod względem bogactw i uczoności najmniéj wśród tych pasażerów wybitny, zajął najniewygodniejszą pozycyę na przodzie ciasnéj biedki, i pół klęcząc, pół siedząc, poganiał wychudzoną szkapę...

Symcha i Joel rozmawiali o dokonanéj tranzakcyi, obliczali prawdopodobne zyski i śmieli się na całe gardło z radości, że udało im się zrobić doskonały interes.

— Wiecie, co reb Symcha — rzekł Joel — mnie się zdaje, że ten szlachcic zrobił wielkie głupstwo, spuszczając nam ziarno za tę cenę.

— Wielka rzecz, oni wszyscy tak robią!

— A dlaczego oni nie robią inaczéj?

— Dlatego, że mają ciężkie głowy do rachunku— rzekł Symcha...

Pinkus fajkę z ust wyjął...

— To nieprawda — rzekł — oni tak muszą robić, bo oni bardzo biedne i bardzo przyciśnięte są...

TAJEMNICZY CZŁOWIEK.

(WSPOMNIENIE.)

Był w Topolinie dom stary, wygodny i obszerny, a ogromem swoim tak dalece imponujący ubogim chatkom wioskowym, że go ludzie pałacem nazywali.

Dom ten, którego ganek tonął w zielonych festonach dzikiego wina, otoczony był drzewami.

Na pięknie ogrodzonym dziedzińcu rosły klomby bzów, berberysów i róż dzikich, z pośród których wznosiły czoła dorodne akacye, obsypane białém świeżém kwieciem, niby wypudrowane głowy zeszłowiecznych piękności.

Do dworu prowadziła droga wysadzona dwoma rzędami balsamicznych topoli; a po za domem, aż do saméj wioski, rozciągał się ogród.

Dzikie drzewa osłaniały go od burz i wiatrów. Białe brzozy, jesiony, klony i świérki, tworzyły tę naturalną ochronę, bawiąc oko rozmaitemi odcieniami zieleni, a dokoła ciągnął się szpaler z lip strzyżonych, nizkich, które splątawszy swe bujne gałązki, tworzyły aleję chłodną, cienistą, usposabiającą do rozmyślań...

Aleja ta podobną była do korytarza starego jakiegoś klasztoru, a kiedy w noc miesięczną wdarły się do niéj promienie księżyca i zarysowały na czarném tle liści, to mogłeś mniemać, że widzisz przed so-

bą poważnych mnichów w białych szatach, szepczących jakąś modlitwę smutną... Może „de profundis.”

To wiatr tak tajemniczo szumiał w gałęziach.

Była w tym ogrodzie oranżerya, trebhauzy, inspekta, drzewa owocowe w najpiękniejszych gatunkach, orzechy włoskie i tureckie, a pod jesień, wino na południowéj stronie dworu rozpięte, dźwigało na sobie ciężkie grona, szkliste i czarne, niby z wieńca bachantek.

Tu niegdyś, latem, na misternie zarysowanych kwietnikach, biały narcyz i róża patrzyły na wielkie aloesy, ustawione na kamiennych słupach, tulipany podnosiły dumnie głowy, a setki wyniesionych z oranżeryi kwiatów bawiły oko miłą grą kolorów i upajały balsamicznym zapachem.

Było to... niegdyś, było... ale się zmyło, jak wiele rzeczy na świecie...

Długi czas mieszkali w tym domu zamożni ludzie; ale późniéj, kiedy stary hrabia umarł, majątek poszedł na licytacyę, a potém z rąk do rąk przechodząc, dostał się w posiadanie umiejętnego parcelatora, który podzieliwszy go na drobne cząstki, zyskownie sprzedał.

Olbrzym upadł, a na jego miejscu rozsiadło się drobne lecz pracowite plemię pigmeów, które zapewne kiedyś, dorosłszy miary cywilizowanego człowieka, stanie się poważną siłą.

Rozkupili ziemię chłopi i szlachta drobna, podzielili się gruntem, inwentarzem, budowlami, ogrodem, ba! nawet płoty rozebrali na działki.

Jak się dzielić to już wszystkiem,—i z pięknéj pańskiéj rezydencyi stała się rudera.

Stare, kapitalne zabudowania padły pod ciosami siekier, na miejscu zaś spichrzów, stajen, stodół i owczarni walały się kupy wiórów i gruzu, sterczały wielkie głazy z fundamentów wyrwane, na dziedzińcu trzo-

da się pasła, a czarne kudłate owieczki swobodnie ogryzały najpiękniejsze krzewy...

Sic transit gloria...

Piękny ogród zniszczony został i upadł.

Drzewa poschły, oranżerya w gruzach. Żydzi szklarze zabrali z niéj szyby, z cegieł piece w chałupach porobiono. Inspekta zgniły, truskawki skoszono z trawą, szparagarnię szlachcic zaorał i marchwi nasiał w tém miejscu.

Z całéj dawnéj świetności pozostał tylko dwór zniszczony, obdrapany, że aż żal było patrzéć na niego i niedaleko stojący domek, młodszy nieco, rezydencya dawniejszych dziedziczek.

Tu dawniéj była łazienka, apteczka, ztąd drzwi oszklone prowadziły do oranżeryi, a okna zacienione przez drzewa i krzewy, dawały światło miłe, łagodne, chociaż przyćmione nieco.

Jeżeli promień słońca chciał się do tych pokoików dostać, to musiał się przedzierać przez gałęzie świerków starych i korzystać z momentu, w którym je wiatr odchyli, aby się prześliznąć po posadzce, lub téż przejrzéć się w oczach siedzącéj z robótką kobiety.

Domek ten ocalał od ogólnego zniszczenia, ale postanowiono go sprzedać, gdyż z dwóch aż powodów był dla nowych właścicieli nieużyteczny: raz, że coś w nim przeszkadzało, a powtóre, że stał na wysokiéj podmurówce i wchodziło się do niego po schodkach.

Pierwsza okoliczność przejmowała trwogą, druga czyniła dom do użytku niezdatnym, z przyczyny, że nowi dziedzice trzymali się staréj metody dawania trzodzie jeść w izbie, schodki więc narażałyby na szwank zdrowie opasłych wieprzów, przychodzących się pożywiać w mieszkaniu swoich „plewodawców.”

Dwie te okoliczności skłoniły właścicieli do jak najprędszego pozbycia się budowli.

Tam nawet mieszkać było niepodobieństwem...

Jakim sposobem?! kiedy wszystkie baby w Topolinie widziały na własne oczy, jak nieboszczyk hrabia zawsze o północy chodził po pokojach, z woskową świécą w ręku, oglądał wszystkie kąty i wzdychał, to znów jak cień ześlizgiwał się do ogrodu, oglądał każde drzewko, każdy krzaczek i znikał.

Potem światło zaraz gasło, a po wszystkich pokojach zaczynało się chodzenie, tupanie, szurganie papierami i brzękanie szkłem.

Coś chodziło wyraźnie.

Czasem znowuż, jakaś „osoba" biała właziła w komin i zawodziła tam płaczem takim wielkim i bolesnym, że aż się zimno od niego robiło.

Jak trzeci kur zapiał, ustawało wszystko i po dniu żadnych śladów nie było widać, tylko coraz to cegła z komina upadła, to kawał tynku odleciał ze ściany, to znów spaczona od wilgoci rama okienna wykrzywiła się i zgniotła szybę, która się z brzękiem na drobne kawałki rozbiła.

Za okienicami gnieździły się nietoperze, a co wieczór siadywały na dachu dwa puszczyki i mizdrzyły się do siebie, zawodząc żałosny duet, drapiący po nerwach jak nożem.

I na tę pustkę znalazł się amator, podobno aż z Warszawy.

Znałem go.

Trudnił się on specyalnie pisaniem wesołych głupstw, aż nagle zachciało mu się sielanki — i uciekł na wieś.

Instalacya odbyła się bez żadnych szczególnych uroczystości, bez mów powitalnych, bez uczty, ot tak sobie poprostu, jak najzwyczajniejsze przeprowadzenie się z domu do domu.

Wydobyto z kilku chłopskich furek lary i penaty

nowych mieszkańców, ustawiono je, zamknięto drzwi i przybysze zaczęli mieszkać w opuszczonym domku.

Mało gdzie wyjeżdżali, mało kto u nich bywał, trzymali się na uboczu.

W dzień prawie znać nie było, że w tym domu ktoś mieszka, tylko kiedy zmrok zapadł, blade światło lampy jaśniało w oknach do bardzo późnej nocy, często do dnia białego.

Oświetlało ono stare świérki, które w blasku tym, osobliwie na tle czarnéj pochmurnéj nocy, podobne były do olbrzymów z jakiéj ludowéj legendy.

Ktoby jednak chciał spojrzéć przez okno, widziałby sylwetki mężczyzny i kobiety siedzących przy stole. Czasem jedna z sylwetek podnosiła się i przechadzała po stancyi, w celu rozprostowania zgarbionego krzyża, to znów jeden cień ze światłem w ręku przechodził do drugiego pokoju, lub na górę i powracał, niosąc w ręku papier jaki lub książkę.

Z brzaskiem dnia światło gasło; a w domku, w którym „przeszkadzało" było jak zwykle cicho, tylko dym wychodzący z komina świadczył, że tam ludzie ogień palą, więc téż prawdopodobnie gotują i jedzą, jak wszyscy śmiertelni na świecie.

Wartownicy nocni uzbrojeni w odwagę i w pałki, ale w pałki dużo od odwagi większe, ciż sami dzielni wartownicy, którzy zamiast usnąć, tak walecznie wołają: „kto jedzie?" nie śmieli się podsuwać blizko domu, w którym płonęło światło, obawiając się zarówno nieboszczyka hrabiego, jak i żyjących tego domu mieszkańców.

Nawet zapóźnieni jarmarkowicze z innych wiosek, przejeżdżając przez Topolin, zwracali uwagę na to nocne światełko, które dawało pole do najrozmaitszych domysłów.

I przed kościołkiem parafialnym w niedzielę, za-

nim proboszcz rozpoczął 'kazanie, o tém tylko między ludźmi była gawęda.

— Ej, kumie, kumie, — mówił stary Onufry, częstując Jacentego tabaką, — żeby aby ten człowiek nieszczęścia jakiego na wieś niesprowadził.

— Wolać w tém Boga miłosiernego—odpowiadał nabożny Jacenty—tyle lat na świecie żyjemy i jeszcześmy takiego narodu nie zaznali...

— Pewnie, pewnie—albo to nie grzech i nie obraza boska, nocą świéczką świécić? a komu w nocy świéczka? juścić nie Panu Bogu!

— Albo jenszy by się nie bojał w takiém domostwie mieszkać? gdzie coś chodzi.

— Czekajcie! czekajcie!—ozwał się głos trzeci — ja wam coś powiem. Pisarka z gminy gadała co on za jeden; wiadoma rzec, sama praśport jego wójtowi czytała, toć tam musi coś stoić w tym praśporcie i prawdziwie stojało w nim, pisarka gadała, że on je taki... jakoś się po miemiecku nazywa.

— Jak? jak?

— Ale jak? kiedym zabacył, niby to kużden może takie paskudne przezwisko spamiętać?! Michałku! — rzekł, trącając wyrostka ciągnącego papierosa, nie pamiętasz to, jak pisarka gadała o tym nocnym Marku z Topolina?

— Pamiętam—powiedziała, że to taki „luternik."

— Luternik! a niechże go marności! a cóz to za stworzenie ten luternik?

— To pewnie będzie od luterskiéj wiary starszy poganin...

— Ej, nie bajalibyśta Janie, nie bajali — odezwał się jakiś gospodarz,—tać sam go widziałem, jak w kościele zeszłéj niedzieli na wotywie był, a potém na cmentarzu, ot tu w tém samém miejscu akuratnie, z księdzem stojał i tabakę zażywał...

— To niby on księdzu, czy ksiądz jemu?

— Wedle tabaki?

— A juści...

— Ksiądz jemu! jeszcze jak! w tabakierę puknął, sam poniuchał—a potém jemu mówi: naści dobrodzieju, francuzka!

— I nie bojał się?

— Rychtyk!? ksiądz by się go bojał? Wiadomo, że jakby było złe, toby się od księżéj tabaki we cztery smoły rozlało...

— O pewnie—ale dla tego on się nie rozlał?

— Zkąd zaś? Wsadził se cygar w gębę i poszedł gościńcem do Topolina, jeszcze se gwizdał cudacznie, dyć świadki na to są... ludzie widzieli...

— No, no... może to i tak, jak wy kumie powiedacie, może on i w kościele być i święconéj wody się nie boić, aleć zawdy, co nie po ludzku jego życie, to nie. Roli niema, nie sieje, ni orze i dlatego chleb je. Żeby choć jakie handle prowadził, jak nieprzymierzając żyd...

— Eh, widno, że nie żyd, moja kobieta była u nich w izbie, obrazy święte widziała...

— O! prawdziwie powiadają ludzie, że gdzie ciort nie da rady, tam babę posyła — a wasza kobieta tam po co chodziła?

— Jak zwyczajnie baba. Zębska ją zaboleli, aż jéj gęba het spuchła jak ćwierć, a że się dawniéj do dworu po różne maście chodziło, bo hrabina ludzi lekowała i miłosierna pani była, tak moja powiada, że pójdzie... a ja mówię: jak masz pójść to se idź, jeno mi tak nie lamentuj w chałupie, bo prawdziwie baba aż się wiła z bólu, niby nieprzymierzając piskorz w błocie.

— I poszła?

— A jakże... w takim bólu to by człowiek Bóg wie gdzie poszedł! Poszła, przeżegnała się na progu i powiada: „niech będzie pochwalony” a pani była

w kuchni, niby znowu jego kobieta, i mówi „na wieki“ i pyta się po ludzku: a co to chcecie, moja matko?... Tak moja kobieta skłoniła się jéj i powiada, proszę wielmożnéj pani, juz od rozumu odchodzę bez te zębska! Tak ta pani, niby znów jego kobieta, poszła do pokoju i przyniosła maleńką buteleczkę wody pachnącéj i mówi: weźcie to kobieto do gęby... Jak ci moja pociągnie, to jakby jéj kto węgli w gębę nasypał—ale od zębów zaraz odeszło. Moja baba daléj dziękować: a niech pani Pan Bóg wynagrodzi—a to, a owo—a ta pani powiada do niéj: idźcie z Bogiem, jakby na drugi raz wypadło, to możecie przyjść śmiało. Grzeczna pani, dobre słowo jéj rzekła, bólu ulżyła i czegóż wy ich za poganinów macie?

— Nie najgorsi ludzie — odezwał się stary jakiś gospodarz, ale czemu po ludzku nie żyją, czemu po nocy ogień świecą, jakby Bóg miłosierny nie dał nocy do wypoczynku i do spania, a jasnego słonka do roboty.

Dzwonek wzywający na sumę przerwał tę rozmowę. Gawędzący chłopi pozdejmowali czapki, i upadając na kolana w progu kościelnym, z ciężkiemi i głośnemi westchnieniami modlili się do Boga, może o odwrócenie od nich „luternika,“ który jakkolwiek nic im złego nie wyrządził... ale dla kogóż w nocy świeczkę pali?

Rozmaite wieści o tajemniczym człowieku rozeszły się po całym zaścianku.

Wiadomość o osiedleniu się w Topolinie jakiegoś luternika obiegła w prędce cały miejscowy światek, zawarty w dwumilowym promieniu.

Z czasem, gdy nieszczęście jakoś na wieś nie przychodziło, gdy w przeciągu roku całego nie oberwała się chmura, nie zapadła ziemia i deszcz siarczysty nie spadł na Topolin, zaczęto się przyzwyczajać do cało-

nocnego światła we dworku, a nawet nabożne a trwożliwe niewiasty były z tego poniekąd kontente.

— Bogu dzięki,—mówiły — przynajmniéj nieboszczyk hrabia odpocznie sobie krzynkę, skoro ten warsiawiak za niego po nocach kocołuje...

Pomiędzy dawnymi a nowymi mieszkańcami zawiązał się nawet pewien harmonijny i sympatyczny stosunek. Jedna strona potrzebowała zdrowych rąk do siekiery, do robót w ogródku i do innych zatrudnień;—druga nie gardziła zarobkiem, ani korzystną sprzedażą płodów ziemi. Pieniądze nocnego marka nie obracały się w węgiel, a żydzi w miasteczku brali je z takim samym apetytem, z jakim pochłaniają wszystko, co jest papierowe, srebrne, lub miedziane.

Przychodzono czasem do nowego sąsiada po poradę, rozmawiano z nim nieraz wieczorem przy święcie, o różnych sprawach bieżących wiejskiego żywota i zbliżono się nawzajem.

Zawsze jednak, pomimo kilkoletniego sąsiedztwa z wieśniakami, rodzaj zatrudnienia mego przyjaciela pozostał dla nich nieodgadnionym.

Słyszano to i owo, domyślano się, że ma on jakieś stosunki z piórem, z książką... a te domysły bywały niejednokrotnie przyczyną *qui pro quo* i nieporozumień.

Trzeba przyznać, że najprędzéj na zatrudnieniu mego kolegi zrozumieli się żydzi.

Ci przynajmniéj zapytywali: „co stoi na gazecie?“ albo „czy nie wiadomo, jak będzie stojała okowita w styczniu?“; gdy jednak nie mogli otrzymać pożądanych objaśnień, przyszli do przekonania, że kolega mój jest czemś w rodzaju kabalisty chrześciańskiego i, że trudni się obliczaniem dnia i godziny, w których ma nastąpić koniec świata. Ponieważ zaś takie obrachunki nie mają związku z przewidywaniem cen okowity przeto zaniechali dalszych interpelacyj.

Gorzéj było z chłopami.

Nieraz tłumaczył im ten nieszczęśliwy człowiek, że książkę naprzód ktoś „z głowy“ pisze na papierze piórem, że następnie już podług tego, jak jest napisane, w drukarni składają metalowe literki, z tych literek tworzą się wiersze i strony, że następnie te strony ściśnięte w jedną kolumnę kładą się w prasę i t. d.

Chłopi słuchali, wzdychali, kiwali głowami i nierozumieli jeszcze bardziéj... Napróżno tłumaczył im jak najprzystępniéj—ani rusz.

— No teraz już wiecie — pytał — jak się książka robi?

— A jużci wiemy...

— No, to opowiedzcież to, po prostu, swojemi słowami.

— Ha, dyć masyna taka je...

— No dobrze że maszyna, ale co się robi zanim się do maszyny przystąpi?

— Pewnie się ją jakimści smarowidłem smaruje, zeby nie piscała, i zeby się nie tarło.

— A no naturalnie, ale nie o to idzie, tylko jak się robi od początku.

— Toć pan mówił, że chłop kręci kołem i ju.

Jak przyszło do „chłopa z kołem,“ tak już z tego koła wyjść nie było sposobu.

Z całego obrazu sztuki drukarskiéj, tak pracowicie, przystępnie przedstawionego, w pamięci wieśniaka utkwił tylko ten szczegół, że chłop kołem kręci.

Nie pomogło nawet, naciągnięte co prawda, porównanie maszyny drukarskiéj z młocarnią, i praca mego przyjaciela była nadaremną.

Radziłem mu, żeby, jeżeli już tak koniecznie idzie o wytłumaczenie tego wieśniakowi, wziął garść zbitych czcionek i dostał zkąd rysunek maszyny. Czy to uczynił nie wiem; ale to mi wiadomo, że ów nieszczęsny druk przysparzał mu wiele kłopotów.

Raz z wielką nieśmiałością i zakłopotaniem przyszedł do niego wieśniak, a miętosząc w ręku czapkę i przestępując z nogi na nogę, jąkał:

— Chciałem wielmożnego pana prosić, żeby mi pan zrobił książkę pscelną...

— Jaką? pszczelną?



— Chciałem wielmożnego pana prosić, żeby mi pan zrobił książkę pscelną...

— Niby... bo to powiadali, że są na świecie takie książki, co cały obychód kiele pscołów pokazują.

— To wam prawdę mówili, — takie książki są; a umiecie czytać?

— Toć krzynkę umiem i według tego chciałem prosić, żeby mi wielmożny pan taką książkę zrobił.

— Kiedy ja, mój bracie, książek nie robię.

Chłop się uśmiechnął złośliwie.

— Czegóż się śmiejesz?

— Ja wiem, że pan książki robi... jeno się krzynkę wstyda... Czegój się panie wstydać? tak i to dobra robota—jak i druga i ludziom na pożytek i Panu Bogu na chwałę, a źreśtom tera i na panów ścisk duzy, jensze się poobierali to za kupców, to za doktorów — a jeden, nawet dużego pana syn, za szewca ostał i nie wstyda się dla tego. Albo to, przez urazy wielmożnego pana, książkę robić, to psy po jarmarku łapać? czego się wstydać?

Znowu długie i mozolne tłumaczenie o tém, jak się książka robi.

Kiedy kolega mój zasapany skończył, w tém przekonaniu, że już dobrze rzecz całą wytłumaczył, chłop wraca znów do kwestyi.

— Wsyćko to prawda—rzecze — ale zawdy jedna książeczka długo panu nie zabawi... Wiela tam, dwa dni pan posiedzi to i zrobi. Albo to, czyja robota? — rzekł wskazując na szafę z książkami—gdzieby pan tyle książków nazbierał, chybaby wsyćkie jarmarki wykupił...

Protestacye nie pomogły.

— Niech mnie pan poratuje — mówił chłop, już wpół z płaczem — bo to widzi pan, ja kupiłem dwa pieńki pscołów po umerlaku...

— Po jakim umerlaku znowuż?

— No, juści po takim umerlaku co pomarł. Gadali, że po takim pszczoły się nie wiodą, tymczasowie zara mi się w pierwszym roku przyroiło dwoje, obsadziłem— i na bezrok już miałem ośm. Dopiero jak przyszła wiosna, tak niewiadomo zkąd nieszczęście się wzieno i troje upadło, a! panie takie roje—było ci w każdym po jakie trzy garce muchów! i ot tak zmarniały. Po wiadają, że to dla tego, że po umerlaku—ale ja myślę, że może tam w książce co stoi na to.

— A prawda, stoi tam, stoi i nie jedno, zawsze się lepiéj dobréj książki poradzić — bo widzisz, książka to najlepszy przyjaciel. Jeść jéj dać nie trzeba, gdziebądź poleży—a radę ci da kiedy chcesz, w dzień czy w nocy, ona ci zawsze powie mądre słowo.

— To téż ja panie szukam już dawno takiéj książki do pszczołów... ale kiej pan nie chce nijak się podjąć.

Cóż było zrobić? koledze memu żal było chłopa, który chciał w książce rady szukać. Niewielu to takich jest jeszcze u nas, więc nie godzi się gardzić sposobnością do zachęty; poszedł więc do szafki, wyszukał „Pszczolnictwo“ Dolinowskiego i uszczęśliwił niem chłopa na całe życie.

Na pszczoły zagrożone chorobą pochodzącą z nieczystości ula, książka wskazywała prosty a skuteczny środek — przyszło lato, pszczółki się roiły; a chłop co niedziela wczytywał się w książkę i myślał o tém, żeby sobie na próbę chociaż jeden ramowy ulik sporządzić.

— No, z tego przynajmniéj — mówił mój kolega— miałem pociechę i mam. Ten już zapoznał się z książką—sprobował na pszczołach i zaręczam ci, że niedługo zacznie sadzić koło chałupy drzewka owocowe i że pomyśli o pewnych reformach w swojém piętnasto-morgowem gospodarstwie? Co zaś do dzieci, to sam powiada, ze chociażby miał krowę sprzedać, to uczyć je będzie. Ten da dobry przykład, — ale inni, urządzają mi skandale...

I tu, szanowny kolega zaczął mi opowiadać, że pewnego pięknego poranku, powiedziano mu, że przyszedł jakiś gospodarz z bardzo pilnym interesem.

Jakże tu odmówić gospodarzowi, który przychodzi w bardzo pilnym interesie?

Wyszedł więc, zatknąwszy pióro za ucho, na podwórze, gdzie oczekiwał poczciwy wieśniak, trzymając na plecach worek z prosięciem, które niezadowolone z téj sytuacyi, przeraźliwie kwiczało.

— Niech będzie pochwalony — rzekł pokornie chłop.

— Na wieki. Czegóż to żądacie? mój człowieku.

— O, panie! bieda na mnie—powiada,—jaż z trzeciej wsi przyleciałem i przyniosłem wielmożnemu panu tę prosięcinę na podarunek...

— Za co? Weźcie je sobie napowrót.

— Oj, wielmożny panie, niech pan mnie sierotę wysłucha. Chłopaka mam dobrego, 'taki śpekulantny, taki ciekawy do kuždéj roboty, aż się dusza śmieje. Czy za broną, czy za sochą, on se tak idzie jak stateczny gospodarz, żadnych kompanijów, żadnych muzyków, ani papierosów, jak to insze, on nie zna, a kole bydła to już lepiéj chodzi niż rodzona matka.

I folgując rodzicielskim uczuciom, chłop łzami się zalał.

— No i cóż temu chłopcu? zachorował, czy co się z nim stało?

— Wojsko na niego idzie—odrzekł chłop łkając— a cóż ja chudzina przez niego pocznę! a któż ze mną pójdzie łąkę kosić!? a komu ja przed śmiercią pole odpiszę?

— Żal mi was mój człowieku, ale cóż wam mogę poradzić? Ja do tego nic nie mam, a zresztą wiadomo wam, że teraz wszyscy muszą służyć,—a jak go wezmą to trudna rada, odsłuży swoje kilka lat i powróci. O wojnie żadnéj nie słychać, więc nie zginie. Pobiedujecie jakie parę lat i przyjdzie do was napowrót.

— Niech się pan ulituje, panie wielmożny.

— Ale mój bracie, ja na to nie doktor.

— Kiej mnie powiadali, że pan je pisorz...

— Masz tobie! Czemże wy mnie niedługo zrobicie?

— A nie kto pan jeno pisorz, a kiej pan za pisorza je, to niech se pisze gdzie chce i jak chce, byle ja swojego chłopaka nie stracił. A czy pan myśli, dodał

znacząco, że na tém biednem prosięciu będzie skutek!? To jeno tak dla smaku; jak będzie potrza, to jeszcze i groszowiny trochę człowiek zdybie za pańskie pisanie, żeby tylko tego chłopca jako odratować.

— Czy ty człowieku masz źle w głowie? Powiadam ci wyraźnie, że żal mi cię, ale ja nie mam do tego nic. Nie bałamuć sobie próżno czasu i idź; — niech cię Pan Bóg ma w swojéj opiece.

Chłop smutny powoli odszedł. Myślałem, że się już odczepi i znowu zasiadłem do przerwanéj roboty. Ale gdzieżtam. Za godzinę chłop wrócił—ale powrócił rozpromieniony, rezolutny—prosto z karczmy.

Na frasunek musiał sobie biedaczysko kropnąć parę półkwaterków, bo i czapkę na bakier przekręcił i zataczał się trochę i takie ewolucye z workiem wyprawiał, że uwięziona w nim ofiara najbardziéj przerażającym piskiem napełniała powietrze.

Kazałem drzwi zamknąć, — ale chłop trafił do okna, które było otwarte.

— Panie pisorzu! — bełkotał rezolutnie — pan je kwardy, ale Bóg Najwyższy nad nami miłosierny! On pana wynagrodzi i mnie wynagrodzi, a zaś skoro nie wynagrodzi, to dziéj się wola jego święta, bo kużden dnia swojego niepewny, jako ten robak, co se, na to mówiący, dziś łazi... a jutro kokosza go zdziobie i tyla...

— Idź-że ty sobie mój bracie, kiedyś się upił i idź spać.

— To i co? upiłem się, to za swoje i jutro się upiję i babę swoją wypiorę, że jaż Kraków zobaczy, kiej już taka markotność na mnie padła, bo co mam zrobić z biedy?

Siliłem się na morały.

— Jakżeż to? Skoro masz zmartwienie, to zamiast się poradzić kogo znającego się—to ty się upijasz jak bydlę i jeszcze kobietę chcesz bić?

— Albo ona nie żona?! Cierpię ja, to niech i ona cierpi, bo skoro Bóg Najwyższy złączył, to ju nic nie rozłączy, jeno rydel a motyka.

— Oj, żeby twoja baba miała rozum, wzięła dobrego dębczaka, a sprawiła ci uczciwe smarowanie, możeby ci sie po niem wódki odechciało.

Chłop rozrzewniać się zaczął.

— Oj, prawda panie, prawda! Ino przyjdę do domu, zaraz pleców nadstawię; powiem: „Jagóś moja, wal! wal jagodo kochana! pierz co wlezie, a synaczki, sierotki biedne, niech ci pomagają!

— A dużo masz jeszcze tych synaczków?

— Z najstarszym je ćtyrech.

— To nie becz i nie upijaj się, tylko się wytrzeźwij, idź do wójta, a on cię nauczy jak masz zrobić wybór; to ci najstarszego do wojska nie wezmą, a jak młodszy który dorośnie, to za niego pójdzie. Jest prawo takie, widzisz.

— A co?!—zawołał chłop tryumfująco — taki pan wielmożny są pisorz!

— Nie nudź już mój dobry człowieku. Naprzód się wyśpij, żebyś był przytomny i żebyś nie plótł jak na mękach, a jak się wyśpisz, to idź do gminy i powiedz wójtowi, co chcesz zrobić, a on cię nauczy gdzie masz iść dalej.

— Niech Bóg wielmożnemu panu za dobrą radę w dubelt nagrodzi. Gdzie zaś pan każe tę prosięcinę ostawić?

— Zabierz z sobą i chowaj na swój użytek...

Ale przekonaj pijanego!

— Albo to ja taki, żebym z gęby cholewę robił?! Ho! ho! skoro rzekłem, ze dom, to dom. Szkoda mi prosięcia, ale i dziecięcia szkoda... zreśtom ryzyk fizyk! co ma być, to będzie! albo prosię stracę i dziecko poratuję—a zaś jak nie—jak mam dziecko stracić, to niech i prosioka stracę! wzieni dyabli krowę, niech wezmą

i cielę, a kiej mam taki los zebym ginął, to juz niech ginę ze scętem! Niech będzie pochwalony!

I z temi słowy porzucił prosiaka z workiem na ziemię i uciekł.

— No i widzisz — mówił mój przyjaciel, jak to z nimi jest. Jak który sobie wbije co w głowę, to nietylko słowem ale i siekierą trudno z niéj wyrąbać. A radzić się lubią. Długom się napracował zanim zdołałem ich przekonać, że nie piszę żadnych skarg do sądu.

Opędzić się nie było można przed różnemi poradami prawnemi, a z drugiéj strony niepodobna było każdemu drzwi przed nosem zamykać, bo zdarzało się tak, że niektórzy przychodzili z prośbą o przeczytanie kontraktu, lub o radę w jaki sposób nabyć grunt, żeby być pewnym spokojnego posiadania i użytkowania.

Powiedz sam, kochany kolego, czy godzi się nawet odmawiać takiéj bagatelnéj przysługi człowiekowi, którego całém nieszczęściem jest to, że jest ciemny i nieoświecony, no, a przytem trafia się sposobność do wypowiedzenia kilku słów o konieczności i o potrzebie czytania i nauki dla dzieci.

Więc nie odmawiało się.

Tak to kilkakrotnie w cienistym lipowym szpalerze gawędziliśmy z moim przyjacielem, najczęściéj o ludzie i różnych jego potrzebach.

Świadkiem tych naszych gawęd był blady, pełny księżyc, zawieszony nad ogrodem, jak lampa, świadkiem szumiące lipy i świerki stare.

Ot te, żeby przemówić umiały, możeby już znalazły odrobinę postępu w przeciągu pół wieku, ale nam nie dano żyć tak długo jak lipom i świerkom, — my może nie doczekamy zbierać plonów naszéj pracy...

Ale czyżto ma nam przeszkadzać w siewie, nie my zbieramy, to dzieci nasze, nie one—to wnuki, ostatecznie zawsze ktoś zbierać będzie.

Przyjaciel mój jednak nie miał mieć téj pociechy, aby jego poczciwi sąsiedzi dowiedzieli się kiedy o prawdziwem jego zatrudnieniu.

Był on już dla nich starszym poganinem „od luterskiéj wiary“ z okazyi palenia światła w nocy, był czarownikiem potrosze — był mniemanym kapitalistą, pisarzem jakiegoś niewidzialnego urzędu, miał robić książki, jak szewc buty na warsztacie i wstydził się tego, jak mniemano, więc nocami robotę wykonywał i na jarmarki wysyłał, — nareszcie zrobiono go introligatorem.

Na ten ostatni urząd nominowała go szlachcianka...

A nie myśl sobie szanowny czytelniku, że z podobną szlachcianką żartować można.

To osoba, względem któréj należy zachowywać wszelkie rewerencye.

Miałby się z pyszna taki, ktoby się ośmielił nazwać ją „kobietą.“ Rozumie ona to dobrze, że co innego kobieta, a co innego szlachcianka!...

Ona wie, że u niéj w chałupie wisi, obok świętych obrazów, „Ostoja“ lub „Rogala“ namalowany na chropowatym papierze, opisany wierszem, którego już dziś z przyczyny zupełnego zblednięcia atramentu nikt nie zdoła przeczytać, że ten „Ostoja“ lub „Prawdzic“ oprawny w skromne ramki drewniane, droższym jest nad złoto.

Ona wie jeszcze więcéj.

Wie naprzykład, że w suchym dołku, pod podwaliną izby, jest garnek w siedm szmat owinięty, a w tym garnku znajdują się takie papiery, co od szwedów są starsze.

Tradycya rodzinna z pokolenia w pokolenie, nie bez pewnych waryantów przechodząca, nauczyła ją, że zacny jéj prapradziad kobyłę bardzo piękną ochwacił, jadąc na elekcyę pod Wolę.—Ba! a co procesów było

w téj rodzinie! Jest w kufrze zielonym dobrze okutym porządna porcya papierów, opiewających spory graniczne takich posiadłości, które już dziś może w dwudzieste ręce przeszły. Są pozwy, manifesta, wyroki zbutwiałe, przechowuje się to jako pamiątka—a do téj pamiątki coraz to nowe papiery przybywają, bo szlachcic bez procesu, jak ryba bez wody, żyćby nie mógł.

Nie myśl więc szanowny czytelniku, że z podlaską szlachcianką żartować można... O nie! osoba to, która czuje swą godność, która wie, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie—i wierzy w to, że Pan Bóg wszystkich ludzi ulepił z gliny, tylko, ma się rozumieć szlachcica... z najlepszéj.

Rewerencyi wszelkiéj i poszanowania wymaga, bo jak sama twierdzi, sroce z pod skrzydła nie wypadła, a przytém ta, o któréj mowa, miała jeszcze wiele osobistych przyczyn, które kazały jéj być dumną i wysoko cenić swą osobistą godność.

Nie mówiąc już o wysokiéj paranteli i o pochodzeniu ze wspaniałego rodu, wniosła ona mężowi w posagu sześćset rubli... ale jakich rubli! czystém srebrem, sztuka w sztukę okrągłe, białe! brzęczące!

Powtóre była panią fortuny w trzech działkach, nie nadto szerokich co prawda, ale strasznie za to długich—potrzecie miała w izbie kanapę, na któréj niegdyś siedziała jakaś bardzo wysoko położona osoba.

Nie koniec wszakże na tém. Pani Maciejowa była nabożną i uczoną niewiastą.

Co niedziela i święto silny jéj dyszkant, niby ostry świder, wiercił sklepienie kościelne i uszy wiernych parafian, i to nie wiercił zwyczajnie, po polsku — lecz po łacinie, wtórując basowi organisty.

Nie powiem, żeby pani Maciejowa rozumiała własną swoję łacinę — ale za to mogę z czystém sumieniem zaręczyć, że nie zrozumiałby jéj również najuczeń-

szy starożytnik i lingwista, gdyż tak starannie i pracowicie każdy wyraz psalmu był przekręcony.

Z taką to szanowną, zacną i uczoną matroną miał do czynienia mój kolega.

Weszła ona do jego mieszkania, a raczéj wtłoczyła się przez drzwi, z pewnym trudem, zaćmiewając światło dzienne przerażającą żółtością wielkiéj chustki, która przykrywała jéj głowę i spadała na potężne ramiona i barki.

— Dzień dobry panu—rzekła—kładąc na krzesełku duże zawiniątko.

— Dzień dobry, cóż panią Maciejową sprowadza?

— Ot zwyczajnie interes, bo już nie chwalący się, że ja jestem taka porządna, że nie mogę ścierpieć, jak mam co rozdartego... Niech co chce kosztuje, ale niech będzie jak się należy...

Kolega mój zastanowił się nad ciekawą dla niego zagadką, jaki mają związek rozdarte rzeczy pani Maciejowéj z tą niespodzianą wizytą; baba zaś trajkotała daléj:

— Jużem się dawno zbiérała raz z tą biedą skutek zrobić, ale jak to panu wiadomo, całe gospodarstwo na mojéj głowie! Męża, z przeproszeniem osoby pańskiéj i honoru, mam, ale takim mężem, to Panie odpuść, komin lepiéj zatkać... Dość, że ja wszystko, obsiać ja! dobytku dojrzéć ja! do sądu ja! wszystko na mnie, jak na burą sukę. Dziewek za pozwoleniem jest dużo—ale co to panie na terajszy czas dziewka? Dwadzieścia rubli daj—źre, z przeproszeniem osoby i honoru pańskiego, co wlezie—a do roboty ani kijem nie napędzisz. I jeszcze panie, na terajszy czas, co jak na kogo jeno palec zakrzywić, zara kara!! Ot, jakoś przed świętym Janem, mówię do jednéj: zrób tak i tak, ona swoje; mówię: zrób pókim dobra, ona swoje—i tylko Panie odpuść grzechy, ot tak, jak dusznego zbawienia pragnę, nicem jéj nie zrobiła, jeno co prawda trzasnę-



— Dzień dobry panu—rzekła—kładąc na krzesełku duże zawiniątko.

łam ją w gębę może cztery, może pięć razy i to panie, jak rany boskie kocham, lekko, nawet jéj nie zakrwawiłam, i co pan powie? ta szelma z przeproszeniem osoby pańskiéj, zara mnie do sądu... A sędzia powiada: Pani Maciejowo zagodź, bo to paskudny interes... Tak panie kochany, takie tera czasy, takie sądy — wyprać takiego wałkonia, to paskudny interes! Pięć rubli dałam i musiałam gębę zatkać, panie, musiałam! I to taki sąd! o! przy takim sądzie, od tych sług, gałganów, człowiek dzisiejszego dnia życia niepewny...

Odsapnęła trochę.

— Więc uważa pan dobrodziéj, do czego to ja mówię?! Aha, juścić trudno mi rozedrzéć się i dla tego oto tak schodziło—a już chciałam nawet zanieść do żyda... ale myślę sobie tak: ma ten z przeproszeniem niedowiarek zarobić, to lepiéj niech zarobi katolik, a po drugie, że takie znów świętości nie godzi się jakoś dawać żydowi... ot widzi pan, mówiła, „Złoty Ołtarz” oblazł całkiem, tu się kartki pozawijały, tu skórka wyrwana—na szczęt zniszczony;—albo o! „żywoty świętych” tak samo—ze „świętéj Genowefy” skóra het się starła, bo już to ją dzieci najwięcéj mordują. Takie panie do książki ciekawe, że czasem to i kijem nie odpędzi. O, tu, w „kantyczkach” dziura, tu znów w „pieśniach” to samo. To „Pielgrzymka na Jasną Górę” na nic... A widzi pan, choć to powiadają tak: „jak zwał tak zwał, aby co dał,” a znowuż proboszcz gada, że „miła Bogu modlitwa aby szczera, choćby i całkiem przez książki,” ale ja powiadam, że z takim obdrapańcem to i wstyd nawet chodzić do kościoła. Pan Jezus miłosierny na serce patrzy, ale zawszeć to chyba i Jemu ukrzyżowanemu miléj, jak się człowiek do Niego na porządnym statku pomodli.

Kolega mój wysłuchał téj tyrady, spojrzał na podarte książki, potém na panią Maciejową i zapytał sucho:

— I cóż pani Maciejowa każe z tém zrobić?

Baba zrobiła wielkie oczy.

— Co ja każę? gdzież ja mam takiemu porządnemu panu co kazać? ja tylko proszę, po somsiedzku i przez urazy, żeby mi pan te nabożne książki poładował. Gdzie trzeba skórkę dać, gdzie papierem załatać, jak wiadomo, przecież to panu nie pierwszyzna koło tego chodzić.

— Kochana pani Maciejowa, kiedyż ja tego nie potrafię...

— Pewnie się pan o zapłatę boi?! Ho, mój panie, chociaż ja prosta szlachcianka, alebym jeszcze inną dziedziczkę kupiła, z całym kramem. Niech się pan nie boi, zapłacę ja co się będzie należało, boć to przecie książki nie na zabawę, tylko dla chwały Bożéj.

— Dobrze to jest, ale powiadam pani, że ja tego nie umiem, nigdym się tém nie trudnił, jak żyję ani jednéj książki nie oprawiłem...

Baba powstała z godnością, wyprostowała się z wyrazem obrażonéj dumy...

— Cóż to? proszę pana za kpiny z ludzi? ja proszę jak kogo dobrego, grzecznie, przez urazy, po ludzku, a pan kpi ze mnie, jak z jakiego zapozwoleniem dzieciaka! Dla czego mi pan nie ma naładować książki, kiedy pan od tego majster?! Jak kto umie nowe robić, to powinien i stare ładować. Toż nowa moda! Jak u szewca kupię ciżmy, to jak się podrą, to on i podzeluje i łatkę przyczepi. Pan tak samo powinien, bo takie jest majsterskie prawo: zrobić, a jak się popsuje naładować! Ja téż nie dzisiejsza i po świecie bywałam. Mnie tu panie każdy mały dzieciak zna i wie co ja za osoba jestem!

— Moja pani, dajże mi święty pokój i odczep się odemnie...

— Tak... to! odczep się pani! odczep się pani, ha! skoro tak, to dobrze; ja się odczepię, ale swego nie da-

ruję. Tylko do domu przyjadę, zaraz pchnę swego niedojdę do sądu...

— Ha, jak sobie imość chce — wolna droga.

— A ma się rozumieć, że wolna, cóż to mi kto ma zastęp drogi zrobić? Ho! ho! panie, ja prosta szlachcianka, ale mnie byle kto w kaszy nie zje. Choć ja baba, ale prawo znam i do sądu trafię; mój tatko nieboszczyk nie takie interesa miał i wygrywał panie! jedna sprawa to aż w senacie była! A czy pan myśli, że ja swojego daruję! Po co ja tu darmo jeździłam, konia pędziłam, czas bałamuciłam, osobę swoją fatygowałam... czy to ma darmo być?! Będę ja wiedziała co mam sędziemu gadać.

Zapérzona jejmość wytoczyła się nareszcie ze stancyi, wraz ze swoją nieszczęśliwą biblioteką; z wielkim trudem wwindowała się na wózek i odjechała, rzucając przeróżne anathemy i spowiadając się ze swego zawodu topolom przydrożnym i brzozom.

— To wszystkie surdutowe takie — mówiła zapérzona—żeby przyjechała dziedziczka, toby jéj nie wiem co oprawił i jeszcze by ją w rękę pocałował, a na prostą szlachciankę to i patrzéć nie chce... A ja to co gorszego od jakiéj dziedziczki?!

I tak przemawiała do topól na gościńcu, do sosen w lesie, do kamieni na polu, aż zachrypła nieboga, kochana pani Maciejowa.

. . . .

Z rok czasu nie widziałem mego przyjaciela.

Wiosna była.

Pierś dopraszała się o świeże powietrze, oczy o zieloność — czoło pragnęło ochłody i orzeźwienia w powiewie cichego wiatru, biegnącego z ponad łąk i lasów.

Pojechałem na wieś,—a że mi droga przez Topolin wypadła, chciałem wstąpić do kolegi.

Eheu! Nec locus ubi fuit.

Dworek, w którym mieszkał, rozebrany, tylko zwalony komin i stos gruzu świadczy, że tam niegdyś była ludzka siedziba.

Ogródek zielskiem zarósł, tylko świerki stare szumią jak dawniéj i cichy szpaler lipowy odział się nową zielenią...

Kilka narcyzów zdołało wydobyć białe główki z pośród zagłuszających je pokrzyw; bez kwitł, a róże niedobitki dźwigały pączki na gałązkach.

Mało mu jeszcze sielanki, powlókł się więc daléj, w jeszcze bardziéj zapadły, jeszcze bardziéj zabity kąt Podlasia.

Po co?

Wdałem się w gawędę z kilkoma wieśniakami, którzy przyszli, zwabieni widokiem urzędowo zielonéj bryki i odgłosem trąbki pocztowéj.

— Gdzież się podział? — pytałem.

— Niewiadomo, wielmożny panie — odpowiedział wieśniak z westchnieniem;—jak niewiadomo zkąd przyszedł, tak niewiadomo gdzie poszedł... ot, zwyczajnie jak wiater, co se po polu chodzi... zkąd przyjdzie? gdzie pójdzie? Bóg wie.

— A gdzież dom?

— Kupili i zabrali. W innéj wsi teraz stoi.

— A na têm miejscu nikt się nie myśli budować? — spytałem.

— Eh! gdzieby zaś — odpowiedział, machając ręką niechętnie.

— Prawda—rzekłem, — jabym sam bał się tu budować, bo podobno coś przeszkadza w têm miejscu.

— Ah, tak niby gadają. Dawniéj to sam hrabia nieboszczyk chodził, tera nie ma już pokojów, to se chodzą we dwóch po ogrodzie i papierami rzucają.

— We dwóch? a z kimże drugim?

— Juści z nim.

— Z jakim znowuż?

— A z tym, co w onym domu siedział... pokutują oba biedaki.

Masz tobie! upiorem został za życia.

Wśród gruzu bieliła się jakaś kartka, dobrze już przez deszcz spłukana.

Podniosłem ją; było to pismo mego kolegi.

. . . „Biedny ludu, — kiedyż książka przestanie być dla ciebie niezrozumiałą zagadką?...”

NOWY DZIEDZIC.

WSTĘP.

Była noc czerwcowa — noc świętojańska.

Na wzgórzach płonęły rozpalone ogniska, rzucając blaski krwawe, a przy świetle płomieni czerwonych widać było zdaleka dziarskie postacie parobków i dziewoi, tańczących w koło ognia, zawodzących pieśni rozgłośne.

Coraz to wyrywała się z koła jakaś postać, aby skoczyć przez ogień, i przez chwilę wydawała się niby zawieszona w płomieniach.

Daleko, daleko, na najwyższém wzgórzu płonęła beczka smoły... czerwony płomień unosił się nad nią, a nad płomieniem słup dymu czarnego, niby wąż potworny, wił się w pierścienie i skręcał w powietrzu; rwał się do góry, do gwiazd może chciał dotrzéć, ale wiatr chwytał za łeb potwora i wlókł go ponad ziemią, do lasu.

Gdzie spojrzéć, wszędzie światła!—Na niebie gwiazd myriady, na ziemi w chatach światełka, na wzgórzach, jak okolica szeroka, ogniska gorejące, a na krzaczkach

rozrzuconych po łąkach i pod lasem, fosforyczne błyski robaczków świętojańskich.

I na wodach blaski—od gwiazd i od ognisk—a już z młyńskich kół całe kaskady pereł i brylantów spadają!... Jakiż bogacz ma skarby takie... jaki nabab może tyle klejnotów rozsypać, ile jedna rzeczułka polska podczas świętojańskiéj nocy?...

Ale bo téż to i noc wyjątkowa!

Dziś dziewczęta wianki puszczały na wodę, wróżby przyszłego szczęścia ztąd biorąc; dziś ognie palą i przez płomienie skaczą; dziś, zanim północ uderzy, niejeden człowiek, z włosem od strachu zjeżonym i źrenicami rozwartemi szeroko, wstrząsany dreszczem febrycznym, skradać się będzie w gęstwinie leśnéj, po kwiat paproci — po szczęście...

I przerażać go będzie każde chrupnięcie zeschłego badyla pod stopą, każdy głośniejszy szmer gałązek przejmować go strachem nieopisanym będzie; — ale on nie cofnie się, nie wróci, nie obejrzy się nawet; lecz zatrzymując oddech w piersi, z rękami wyciągniętemi naprzód, oczami w słup jak u szaleńca postawionemi, przezwycięży trwogę wrodzoną i pójdzie, aby rzekome szczęście pochwycić.

Pieśni brzmią w powietrzu, rozlegając się głośno— niesie je daleko woda rzeki i rosa drgająca na trawach; echo w lasach podchwytuje je skwapliwie i powtarza.

Pieśniom wtóruje monotonny, a jednak dziwnie melodyjny chór żab w bagnisku, co tak się smutnie zaczyna, a potém niespodzianie przechodzi w żywe, skoczne prawie allegro.

Na tle tych głosów pomięszanych w chór jeden, ozwie się czasem głos przebudzonéj ptaszyny, lub przykry okrzyk puhacza... a wszędzie światła, wszędzie pieśni... bo to najpiękniejsze święto wiosny—to noc świętojańska.

Są jednak ludzie, którzy powszechnéj radości nie dzielą — bo już dla nich ognisko szczęścia wygasło i spopielało na zawsze... tylko resztki dymu gryzą im oczy i łzy wyciskają. Są ludzie, którym ciężko na duszy w tę piękną, w blaski przystrojoną noc czerwcową...

Ich już nawet tajemniczy kwiat paproci nie nęci, bo wiarę w możność szczęścia stracili—i złamani, zgnębieni, zdają się nic nie widziéć, na nic nie patrzéć, oprócz na krzyż jedynie, z którego ramion rozciągniętych nad światem spływają krople pociechy... poczętéj w krwi i męce...

Smutno to żegnać ukochane kąty, w których urodziło się i wzrosło — smutno je porzucać na starość... Serce się rozdziera, opuszczając nizkie ściany domku, gdzie życie upłynęło całe, domku, w którym cieszyło się, radowało, cierpiało, a i kochało tak wiele. Przy rozstaniu się z temi martwemi ścianami, obrazy przeszłości przesuwają się jedne po drugich przed załzawionemi oczami, jak długa równianka z kwiatów przeplatanych cierniami, a raczéj jak korona z cierni, między które kwiatek gdzieniegdzie się wplątał...

Żal kątów starych, żal kwiatów, a może i za cierniami tęskno...

Lecz trudno płynąć pod wodę; nie każdemu dano sił tyle, by z prądem walczył skutecznie, by przebił się, gdy fale prze i porywa, i na piaszczyste a samotne wybrzeża rzuca... W takich zapasach młode nawet siły łamią się, a cóż dopiero gdy na grzbiecie siedm krzyżyków już ciąży, drżąca ręka na kiju się wspiera—gdy starość barki jak kamieniem przygniata.

Boleśnie więc bywa i w noc świętojańską, bo jestże choć jedna sekunda, któraby od smutków była wolną? jestże chociaż moment, w którym ustałby fatalny siew łez i nieszczęścia?

Na lekko pofalowanéj powierzchni okolicy są roz-

rzucone wzgórza. Na jednêm z nich, wyniesionêm po nad rzeką, w wieńcu drzew starych dwór się chowa.

Noc to — ale wszystkie okna oświetlone i na oścież otwarte; przed gankiem wózek chłopski, w dwa małe, tłuste koniki zaprzężony stoi; na wozie, do drogi gotów, chłop siedzi i ukradkiem łzy rękawem ociera.

W dworku pusto zupełnie, ani firanek w oknach, ani obrazków na ścianie, tłomoczków tylko parę na podłodze leży—stoliczek jeden, krzesełek kilka i samowar dymiący...

Szklanki pełne, ale nikt ich nie rusza... komuż-bo do jedzenia w têj chwili?

Ekonom, starêj daty człowiek, przy drzwiach stoi, namarszczony, pochmurny. Na twarzy jego maluje się boleść ciężka — po białych wąsach cicha łza się toczy...

On tu do tego dworku przez lat trzydzieści codzień po dyspozycye przychodził — i dziś przyszedł także, ale już raz ostatni. To têż zdaje mu się, że go na pogrzeb wezwano, że już wszystko co kochał umarło, że wobec grobu otwartego stoi.

Tłumi łkania, za siwe wąsy dłonią kurczowo zaciśniętą szarpie—radby łzy powstrzymać, ale nie da rady nieborak... płyną one...

Stoi tak już przy drzwiach z kwadrans może— i czeka.

Z drugiego pokoju dochodzi go szmer rozmowy, lecz tam stary ekonom wejść nie śmie... bo słyszy jakieś westchnienia, coś niby płacz, niby odmawianą półgłosem modlitwę, więc pocóż wejdzie? Czy przemieni co — pomoże?

Nareszcie drzwi otwierają się z cicha, i ukazuje się w nich para posiwiałych staruszków. Spokojni są oboje — milczący — pocieszyli się nawzajem, pocieszyli tą słodką nadzieją, że cierpieć będą niedługo, że wkrótce uspokojenie się znajdzie...

Boć grób to także pocieszyciel strapionych, a najnieszczęśliwszym nawet, najbardziéj złamanym i zgnębionym, daje tak upragniony, a niezamącony niczém spoczynek.

Ta myśl musiała uspokajać dwoje siwowłosych, których nieubłagana konieczność i los przeciwny wypędzały z pod rodzinnéj strzechy na zawsze. Jeszcze zatrzymali się na środku pokoju, rzucili okiem po ścianach, jak gdyby spojrzeniem pożegnać je pragnąc i zabierali się do wyjścia.

Ekonom przy drzwiach stał. Czerwone jego, ogorzałe od wiatru i słońca policzki drgały nerwowo, białe wąsy poruszały się także, potém powieki zaczęły drgać szybko, bardzo szybko, i dwa strumienie łez trysnęły z oczu szarych.

Nie jęknął, ale ryknął rozdzierającym głosem, rozkrzyżował ręce i padł na kolana.

— Oj! sierota ja teraz! sierota! zawołał — czyż was jeszcze kiedy zobaczę?

Całował pomarszczone dłonie staruszków, i zdawało się, że mu ciężkie jęki pierś szeroką rozsadzą, że pęknie w niéj to serce prostacze, a tak kochające, tak przywiązane i wierne...

— Wstań, wstań, Józefie — mówił starzec, głowę jego całując — wstań, Bóg niech będzie nad tobą...

— Nie zakrwawiajże nam serca — poczciwy, bo i tak ciężko stare kąty opuszczać — dodała cicho staruszka. Tam, w naszym pokoju, obraz jeden pozostał— Bolesna Matka jest na nim, weź go dla siebie na pamiątkę, Józefie, a pomódl się za nas niekiedy... jak za umarłych.

Ekonom z ciężkością podniósł się z ziemi, twarz chustką kraciastą ocierał, i milczał, tłumiąc łkania w sobie.

— A nam już czas! — rzekł staruszek — do kolei daleko, droga piaszczysta. Każ-no, Józefie, te tłómoczki

wynieść, i jedźmy już, przez Boga żywego, jedźmy, bo skonam tu z żalu na progu!...

— Tyle lat!... tyle lat!... — szeptała półgłosem staruszka — i naraz... Dotknęłaś Panie sługi Twoje - ale Twoja bądź wola... tylko siły do cierpień użycz.

Wyszedł ekonom z pokoju, i wnet nieliczna czeladka przed ganek się zbiegła. Tłómoczki na wózek rzucono, płacz i jęk powstał taki, jakby trumnę składano do grobu, jak gdyby ciężkie bryły ziemi z głuchym łoskotem spaść miały niebawem na wieko.

Myli się ten, kto mniema, że w sercach pod grubą sukmaną bijących szlachetne uczucie nie mieszka. Istnieje ono, jakby uśpione, ale gdy się przebudzi, to z taką siłą na zewnątrz wybucha, z taką się potęgą prostoty dobywa, że kamień nawet poruszyć może.

Ciężka była chwila rozstania z tymi ludźmi—bardzo ciężka, to też sędziwy dziedzic przynaglał swą towarzyszkę by prędzéj na wózek siadała.

Gdy na wózku już byli, kilkanaście rąk wzniosło się do góry, znak krzyża czyniąc nad nimi.

— Niech was Bóg miłosierny prowadzi, drogie państwo! Niech najświętsza Panienka was nie opuści w téj drodze...

I jeszcze błogosławieństwa, jeszcze pożegnania, jeszcze płacz i lament...

— Bądźta zdrowe państwo — Bóg prowadź!...

— Żegnajcie, dobrzy, poczciwi ludziska. Bądź zdrów Józefie, niech wam się szczęści wszystkim.

Małe koniki ruszyły żwawo, i wózek potoczył się po szerokim gościńcu.

A dokoła, jak okiem zasięgnąć, na wszystkich wyniosłościach, na wzgórzach krwawe ognie goreją, słupy czarnego dymu w fantastyczne wiją się pierścienie, pieśni brzmią rozgłośnie; a rzeka, pieniąc się i szumiąc, przelewa wody srebrne, odblyskami niebieskich i ziemskich świateł bogate.

Bo też to noc świętojańska—najpiękniejsze święto wiosny.

Koniki zwalniają biegu, koła chłopskiego wózka ciężko obracają się po piaszczystym gościńcu, Grzela wzdycha, a staruszkowie spoglądają smutnie.

Tu ich każdy kamień, każde przydrożne drzewo żegna... zieleniejące żyto, lekko przez figlarny wietrzyk kołysane, kłania im się nizko, i rosochata, wypróchniała wierzba przy gościńcu, gałązkami chwieje.

Po kilku chwilach jazdy wózek z cmentarzem wiejskim się zrównał.

Ten niewielki, kamiennym murem otoczony przybytek zmarłych, na pochyłem położony wzgórzu, dźwigał na sobie grupy drzew szumiących.

Ze środka kilka świerków o piramidalnych kształtach strzelało do góry; trwożna osina trzęsła białemi listkami, a brzoza z wierzbą, trącając się gałązkami długiemi, zdawały się cichym szeptem rozmawiać.

Wśród drzew krzyże wysokie stały, a nieco dalej w samym prawie rogu cmentarza, bieliła się maleńka kaplica. Filigranowa, w gotyckim stylu wieżyczka wznosiła się nad nią, zakończona krzyżykiem złoconym, który teraz w blaskach gorejących ognisk jaśniał nad całym cmentarzem...

Właśnie wózek cmentarną bramę mijał, gdy staruszek Grzelę trącił, i cichym, ledwie dosłyszanym głosem szepnął:

— Stań-no tu jeszcze...

Poczem na żonę spojrzał. Zrozumiała go odrazu i zeszła z wózka. — Brama niezamknięta była, i powoli, oboje, trzymając się za ręce, poszli do kaplicy.

W milczeniu uklękli na zimnej płycie żelaznej, przykrywającej wejście do rodzinnego grobu, i gorąco modlić się zaczęli. Gwiazdy liczyły łzy padające na ciężkie drzwi żelazne, wiatr chwytał westchnienia i niósł

je daleko, wraz z dymem wesołych ognisk, z echem pieśni rozochoconéj młodzi wiejskiéj.

Zmięszało się to wszystko razem, i pobiegło w tajemnicze, wiecznych zagadek pełne, przestrzenie.

Długo modlili się staruszkowie na grobie...

Grzela z wozu zszedł, koniom po kłaczku siana rzucił, a sam, rozmarzony widokiem cmentarza i krzyżów, zapatrzony w te dwie postacie starców, co nad grobem stojąc, nad grobem się modlą w téj chwili, ukląkł także i pacierze za zmarłych odmawiał.

Z gór okolicznych dolatywały odgłosy pieśni, w bagnisku żwawo rechotał chór żab, a księżyc wypłynął wysoko na niebo i złotawym promieniem całował rozmarzone oczy zakochanych, główki kwiatów rozrzuconych po łące i nagą czaszkę starca, nad grobem dzieci schyloną.

. . . .

Zmówili staruszkowie na cmentarzu modlitwy gorące, łzy ich gorzkie potoczyły się po płycie grobowéj, spadły na zieloną murawę i kwiatki wśród niéj rosnące. Potém, raz jeszcze wejrzeniem załzawionych oczu pożegnali ten przybytek śmierci i wsiedli na wózek, który potoczył się zwolna po szerokim i piaszczystym gościńcu.

Przyświecały im w téj podróży świętojańskie ogniska, towarzyszyły westchnienia niewielkiéj gromadki ludzi, co się przed dworkiem została.

Ci ludzie gwarzyli jeszcze czas jakiś.

— Dobre państwo byli — mówił Kacper, parobek wiekiem najstarszy — szkoda, że się tak zmizerowali na starość.

— Niema co, że dobre byli — wtrąciła stara Wincentowa, niegdyś gospodyni i klucznica — ale panowie, to wiadomo, jak koty; choć i, na to mówiący, na łeb



Długo modlili się staruszkowie na grobie. Str. 128.

9

upadną, to zawdy na pazury staną, źle im nie będzie, ale nam, nam sierotom, gorsza przez nich je bieda.

— Ot nie pletlibyśta lepiéj — rzekł Kacper — gadacie, że im niby to nic... bogaćtam nic, jak kto musi z rodzonéj chałupy uciekać.

— No, to co? to co? — mówiła nieprzekonana Wincentowa — do Warsiawy se pojadą, stancyję najmą, i będą se siedzieli, jak u Pana Boga za piecem. Zawdy trochę grosowiny im pozostało, jadła se kupią, drew se kupią — co tam takim starym ludziom potrzeba? Będą spokojnie siedzieli, Pana Boga chwalili, a wiadomo że w Warsiawie co trzecia chałupa to kościół, a co trzeci dzień odpust.

— Ale?... — wtrąciła z powątpiewaniem Magda.

— A co? może nie wiem? możem nie widziała? cóż to ty głupia myślisz, że ja w Warsiawie nie byłam? widzis ją! jaka mądrala, — jesce ty nie żyła, jak ja jużem z państwem pół świata objechała!

— Tośta musieli śkaradnie daleko wędrować, bo za Warsiawą to juz podobno jeno jeden Kraków, a za Krakowem jeno woda...

— Juści wiadomo ze daleko, bo za Warsiawą jesce coś ze dwie mile byłam, jak nieboscyk syn starych nasych państwa zył jesce na świecie — ale co ty tam się, głupia, na tem znasz!!

— Cichojta, cichojta, baby — rzekł Kacper — nie pora przekomarzać się tero... straciliśmy dobrych państwa...

— Oj! pewnie ze dobrych — ozwał się jakiś głos z gromady.

— On krzynkę nudny był czasem, to prawda, ale jak bywało, przyszło się po co do dwora, to z próżnemi ręcami nie puścił; coś chciał, toś dostał.

— Może i zmarnieli bez to — rzekła Wincentowa.

— Ot, takze gadanie! — a gdzie to zaś kto widział zeby pan zginął bez chłopa, albo chłop beze dwór? Choć

siak czy tak bywało, zawdy jeden drugiemu je pomoc. Nie bez to oni zginęli, nie bez to... Jeno zydy ich zmarnowały, a i poprzody jesce różna bieda...

Ekonom się zbliżył do gromadki.

— I cóż stoicie ludzie — taż noc przecie?

— Ot, gwarzymy, prosę pana, o nasem państwie co odjechali tera... gadamy, że dobre ludzie z nich byli, miłosierne...

— Ta, i co to pomoże! — rzekł machnąwszy ręką ekonom — już się nie wróci... przepadło! Podobno niezadługo nowy dziedzic przyjedzie.

— I pewnie — bo Berek, pachciarz, jeszcze w południe gdzieś pojechał, musi, żeby dać znać, że stare państwo dzisiaj wyjezdzają. Tera on bedzie wielga osoba ten Berek, bo podobno nowy dziedzic to mu jakoś w krewności je...

— Toć uni wszystkie we familii som.

— Kto?

— A no... niby zydy.

— Oj! docekał się nas Stasin, docekał...

— Hm! — wtrącił ekonom — słychać, że to bogacz wielki ten nowy, na to mówiąc, dziedzic. Kupiec porządny, a pieniędzy to ci ma jak lodu w zimie.

— To i co?

— I żydowskiego odzienia nie nosi — jeno tak sobie chodzi jak jaki pan, co i nie poznać nawet...

— Bogać ta nie poznać! — wtrącił Kacper — zawdy go pozna.

— A to jak?

— Ano — wiadomo — jušci do kościoła nie pójdzie, capki przed figurą nie zdejmie, a w piątek to się lepiéj mięsiska obeźre, niż jensy człowiek we Wielgą Niedzielę.

— Ot, gadasz! jakżeś chciał żeby żyd siabasu swego nie znał? Na to on żyd je, żeby się swojego żydowskiego zakonu trzymał — ale powiadają, że tak się po pańsku nosi, że go jenszy człowiek sprawiedliwie nie pozna

— A pan okumon widział go kiedy?

— Nie — jeno jego rządca, co tu był, to gadał, żebym się tu ostał na starych śmieciach tymczasowie — powiada że zapłaci rzetelnie.

— To i pewnie pan ostanie?

— Ja? a to mnie to po têm? Z łaski Boga i przez służby będę miał jeszcze co jeść — a zresztą, mam przecież edukacyą, na zakrystyana iść mogę, będę przy kościele Panu Bogu służył i z głodu nie zdechnę! Alboż to dziś człowiek z nauką chleba nie najdzie? a chociaż co prawda na organach nie zagram, ale względem śpiewu tobym inszego dławidudę w barani róg zapędził!

— Oj! pewno, pewno, wiadomo ze jak pon okumon zaśpiewa, to jeno hucy w kościele, jak nieprzymierzając, w gorzelni...

— No, tak — dopóki tu dawne państwo byli, tom, na to mówiąc, wisiał przy folwarku, charował i ujadał się z wami, moi ludzie, nie przykładając jak pies; ale teraz — co mi to potêm? dla kogo? po co? na co? za jakie trzy grosze? Ot, posiedzę tu z wami jaki tydzień — krowiny sprzedam — ta i w świat... O pięć mil się wyniosę, żeby już na te kąty nie patrzéć...

— Toć i my także pójdziemy — dodał smutnie Kacper.

— Pójdziemy! pójdziemy! — wtrącili drudzy. Chwalić Boga my wszystkie tutejse, rodzone, a tera roboty nie braknie. Już łąki koszą — żniwa tylko co patrzéć.

— Pójdę i ja za wami — rzekła Wincentowa — gdzie niebądź za komornicę u chłopa będę, to także na łyżkę barszczu i kawałek chleba zarobię — do żniwa się jeszcze powlokę.

Ekonom milczał, nareszcie po chwili rzekł:

— Tak — ja pójdę, wy pójdziecie, a jakże tu się folwark ostanie?

— O la Boga! a dyć go przecie wilcy nie zjedzą.

— A juści! Cego tu pilnować? Chyba tego wiatru co po stodole chodzi?—bydło przedane,—kunie przedane, z całego lewentarza tylo co jedne psiska ostali...

— Ta i chodźmy — bo i te zeniate parobki i fornale, co na ornalii byli, już powynosili się także.

— Chodźmy, chodźmy — zawołali wszyscy.

Gromadka ruszyła ku wsi. Dziewczyny pobiegły prędzéj; gdyż nęciły je jeszcze ognie płonące na wzgórzach, a Kacper, Wincentowa i stary ekonom poszli powoli, rozmawiając o tych, u których pracowali tak niedawno jeszcze.

Wincentowéj znów się na płacz zbierało, lamentować po swojemu zaczęła, dobroć dawnéj pani wychwalać...

— Płacze kobieta—szepnął ekonom do Kacpra.

— Nie dziwota, panie, dyć nie tylo babie, ale i chłopu, co przecie kwardziejszy jest, markotno na duszy się zrobi, jak widzi ludzką zgubę...

— A zguba, zguba szelmowska! — mówił jakby do siebie ekonom.

— Panie?... — zapytał nieśmiało Kacper.

— A co?

— Zawdy mnie we łbie jedna karkulacya świdruje... tylo ze nie mogę sobie tak aktualnie zmiarkować.

— Niby według czego?

— A według tych państwa... Bo jak się, niby, na to mówiący, chłop, gospodarz zmarnuje, to wiadomo bez co; a nabardziéj z tego skoro pijok je i o gospodarstwo nie stoi, ale państwo?... Toć siedzieli se staruszki spokojnie, jak dwa siwe grzyby pod dębem, kiele gospodarstwa łazili jak mogący, no i tak oto im na zły koniec przyszło! Co w tém za śtuka siedzi, zmiarkować nie mogę. Zwycajnie chłopisko durne, dziwuje się, dziwuje, a z cego ten dziwunek je — to i nie wie.

— Hm! — mruknął ekonom — masz ty Kacprze racyę. Bez co oni zginęli? a bez co inne panowie zgi-

nęli? bez co tyla ziemi wykupiły niemce niemce różniakie i zydy?...

— To właśnie, panie, chciałbym ja wiedzieć. Może pon okumon to lepiéj zmiarkuje, co i po jarmarkach tyla jeździł i z organistami się zna, i nabozne pieśnie śpiewać umie.

Ekonom wąsami ruszył z dumą i namyślił się trochę, a potém zwrócił się z powagą do Kacpra i rzekł:

— Gadajmy tedy „per questiones" mój bracie.

— A jakze ja mam tak gadać cudacnie, kiej po miemiecku nie rozumiem!

— To téż widzisz, będziemy gadali po prostemu, po polsku. Czyś ty kiedy widział las?

— O to! Albo się mało człek po lesie bydła napasł zamłodu, mało się to drzewa nawiozło, kloców nadźwigało?

— A... widziałeś kiedy jak to się burza porwie — ale taka co to, panie ...dzieju, z piorunami — z gradem!

— Oj! oj! nieraz sprało po plecach siarczyście.

— To téż pewnie i to widziałeś, że jak burza wielka jest, to co największe drzewa obala, a maluśkie krzaczki, jałowce spokojnie se siedzą przy ziemi, i nic im. To widzisz, mój bracie, dobrze sobie w głowie rozkarkuluj, a dowiesz się czego chciałeś wiedzieć...—Tera bywaj zdrów, bo ja tu do organisty wstąpię.

Z temi słowy ekonom ku kościołowi zawrócił, a Kacper z Wincentową na wieś poszli.

Baba płakała i zawodziła głośno, a chłop rozważał słowa ekonoma.

Nareszcie stuknął się palcem w czoło, i rzekł sam do siebie:

— Miarkuję tera i ja!—i kiwał głową ze smutkiem, wzdychając nad ludźmi i losem, który nimi rzuca...

Na wzgórzach płonęły jeszcze ognie, pieśni brzmiały w powietrzu, młyn klekotał.

Może niejeden zabobonny wieśniak wybierał się teraz po kwiat paproci, do lasu, szczęścia szukać— i trwożnie patrzył przed siebie, czy z wody, trawy, krzaków, kwiatów, nie zaczną się wychylać strzygi, wiedźmy, topielice, upiory i cała ta ludność fantastyczna, w wyobraźni prostaczéj wylęgła... ten tajemniczy, zaczarowany świat duchów, co grozi i straszy, przeszkadza—pod mostami się gnieździ, na bagnach i topieliskach blademi światełkami migoce, lub w suchą wierzbę zaklęty, piszczy żałobliwie, przejmując trwogą nawet śmiałków odważnych.

Na niebie, od zachodu, wychyliła się chmura czarna, grożna, i z drugą, ku niéj płynącą, skrzyżowała błyskawice, niby dwa miecze ogniste. Potém, obie te chmury, jak dwa byki, gdy się do walki rzucić mają, zaczęły mruczéć głucho, i zbliżając się ku sobie, błyskać ślepiami krwawemi...

Umilkły pieśni... Pląsająca młodzież, usłyszawszy ryki powietrznych olbrzymów, biegła ze wzgórzy ku wioskom, szukać pod strzechami schronienia, a wiatr chłodny zerwał się nagle i miotał piaskiem na wsze strony, zasypywał oczy ludziom, mącił wody spokojne i szarpał się z drzewami, listki im zrywając z gałęzi.

Uciekali ludzie pospiesznie, popychali, potrącali się, staczali ze wzgórzy — śmiech żwawych chłopaków mięszał się z okrzykami przerażenia dziewcząt, a gdy oślepiająca błyskawica rozdarła obłoki, to wszystkie ręce machinalnie podnosiły się w górę, każdy żegnał się trwożnie.

Na wysokościach, w eterycznéj przestrzeni, w któréj jaśniała jeszcze część gwiazd nie zakrytych przez chmury — dwa potwory ogniem ziejące, rycząc groźnie zbliżały się coraz bardziéj ku sobie, zmieniając kształty, przybierając coraz fantastyczniejsze, coraz groźniejsze postacie.

Wreszcie — nagle potwory przyskoczyły do siebie i ugryzły się ognistym pocałunkiem piorunów. Zdawało się wtedy, że ziemia drży, że sklepienie niebios się wali. Głuchy, przytłumiony łoskot rozlegał się w górze, powtarzało go echo lasów — roznosiło daleko. Listki na drzewach drżały, ptaszęta tuliły się wśród gałęzi, lis do nory się skrył, a człowiek chował się pod strzechę, modląc się żarliwie by ją ogień niebieski ominął.

Potoki ulewnego deszczu spadły nagle i zalały w jednéj chwili świętojańskie ogniska, niebo całe pokryło się chmurami; czarna, nieprzenikniona okiem ciemność objęła okolicę, która pogrążyła się w niéj niby w jakim odmęcie piekielnym. Ryk gromów, szum wiatru, plusk grubych kropel deszczu uderzających o ziemię, trzask łamiących się gałęzi, mięszały się w jakiś nieopisany a przerażający chaos. Wszystkie szmery ziemi, wód i lasów ucichły, przestraszone ogromem i potęgą burzy—zwierzęta, ptaki, ludzie — wszystko, jednem słowem, kryło się jak mogło, przed szalejącym żywiołem.

Od czasu do czasu tylko, rozdzierająca niebo błyskawica mignęła oślepiającém światłem i na jedno mgnienie oka oblewała jasnością całą okolicę i roślinność przestraszoną, zmokniętą, zagrożoną w istnieniu swojém.

Może godzinę szalał uragan z ulewą. Potoki wezbrały, bagna zamieniły się w jeziora, owdzie zerwany mostek popłynął, a na samym skraju lasu, wielki stary dąb, na dwoje przez piorun rozdarty, szemrał gałęźmi z bólu.

Potém deszcz coraz rzadszy już był, gromy oddalały się, pomiędzy chmurami tu i owdzie błysnęła gwiazdka, niby pomyślna zwiastunka ciszy i uspokojenia.

A w miarę jak oddalały się chmury, w miarę jak więcéj gwiazd jaśniało, ziemia jakby uradowana, że klęska już przeszła, przesyłała niebu najwonniejsze kadzi-

dła z róż, niezapominajek, lilij wodnych, wydawała z siebie cały aromat łąk, cały oddech tego drobniutkiego roślinnego świata, co zamieszkał nad brzegami rzeczułek i strumieni. — I czarne lasy, lasy sosnowe, do aromatu kwiecia mięszały balsamiczny zapach żywicy, a ziemia odnowiona, odświeżona, po obfitéj kąpieli, uśmiechać się zdawała, jak rusałka, gdy z fal rzecznych wyjdzie i perliste wód krople dźwiga jeszcze na sobie.

Ciemności zmniejszyły się, od wschodu już się i zorza rysować zaczęła, widać było niewyraźnie kontury chat wieśniaczych i dworek, w odosobnieniu, na górze stojący.

Dworek wyglądał malowniczo, otaczały go wieńcem drzewa stare i klomby bzów tureckich, jaśminów, śniegułek i róż dzikich.

Z têm wszystkiêm, czuć tu było pustkę i nieobecność ludzi.

Puhacz wielki, o głowie dziwnie do kociéj podobnéj, z uszami stojącemi ostremi, z oczami których szeroko otwarte źrenice fosforycznym blaskiem jaśniały, usiadł na dachu i odzywał się smutnie, a z zewnątrz domu, zamknięte w kuchni dwa brytany, o których ludzie zapomnieli odchodząc, wtórowały mu wyciem żałosnem.

Biedne psiska, czuły że są samotne, opuszczone przez ludzi... Może byłyby wybiły szybę i wyskoczyły przez okno, lecz oba okna téj izby, niegdyś za spiżarnię, czy téż za skład jakiś służącéj, opatrzone były silnemi żelaznemi kratami.

Wyły więc żałośnie psiska, huczał smutnie puszczyk, i to były jedyne głosy przerywające uroczystą ciszę nocy letniéj — po burzy.

I.

Od chwili, w której po ukończeniu sprzedaży w drodze subhastacyi, Stasin utracił dawnych swych właścicieli, imć pan Berek Szczupak, dotychczasowy pachciarz, wyrażając się językiem pana pisarza gminnego, „przepadł bez wieści.”

Emigracya ta przecież odbyła się w sposób nader legalny, bo za pasportem i z zachowaniem wszelkich formalności wymaganych przez odnośne przepisy. Berek zaprzągł swego konika do dwukołowéj biedki, przywdział odświętny żupan, aksamitną czapkę, a wziąwszy zapas owsa i siana na drogę, puścił się w podróż długą i nużącą, bo aż do Warszawy.

Ponieważ od Stasina do Warszawy było coś około piętnastu mil drogi, a koleją Berek nie miał zamiaru jechać, gdyż chciał, jak zobaczymy niżéj, dwie pieczenie przy jednym ogniu upiec — przeto puściwszy się w podróż biedką, miał aż nadto czasu do zastanowienia się, w jaki sposób wziąć się do nowego dziedzica.

Na szczęście swoje, na spryt także coś liczył.

Najgorzéj to go przejmowało trwogą, że nowy dziedzic jest również żydem jak on.

— Żyd, jako żyd, myślał sobie Berek, to bardzo dobry jest, niech go Pan Bóg błogosławi i rozmnoży w potomstwie, jak piasek morski, ale żyd jako dziedzic, to gorzéj — i co prawda, co jemu po tém dziedzictwie? Na co? po co? Nie lepiéj w sklepie siedziéć — geszefciki obrabiać?... lub jeżeli już Pan Bóg takie szczęście daje i bogactwo, akcyj dużo trzymać, karetą jeździć, dyrektorem jakiego geszeftu zostać. Ale majątek kupować to głupstwo jest, to wcale nie żydowski interes! — Jak żydzi kupią wszystkie majątki, to z czego będziemy żyli, my, ci żydzi, którzy nie mają za co majątków kupić.

To delikatna kwestya — nawet okpić go, to już trochę nieporządnie, to nawet grzech poniekąd żeby swego brata okpiwać — a jak znów nie okpić, to z czego żyć?

— No — ale Berek wie także z boku, że ten nowy dziedzic, chociaż żyd, ale przecież nie taki jak wszyscy żydzi. Berek nawet słyszał, że to jest całkiem paskudny żyd! — po żydowsku nie lubi mówić, w chałacie długim nie chodzi, a podobno nawet w sobotę jeździ i cygaro pali! Żeby to była prawda, to Berek bardzoby się zmartwił i bardzo ucieszył zarazem. Zmartwiłby się, jako syn Abrahama, jako nieodrodny prawnuk jednego z dwunastu synów Jakóba — ale natomiast ucieszyłby się jako pachciarz, bo naturalnie z takim dziedzicem nie miałby już żadnego skrupułu, mógłby go na każdym kroku z czystém sumieniem wyzyskiwać i okpiwać, bo przecież nie godzi się nawet postępować inaczéj z człowiekiem, który się takich brzydkich uczynków dopuszcza...

Berek zbierze najdoskonalsze informacye o samym dziedzicu, wprzód nim się z nim zapozna, bo Berek jest człowiek bardzo rozumny i nie lubi kota w worku targować.

Od wszelkiego wypadku, jadąc do Warszawy, wstąpi jeszcze do kilku folwarków i traktować będzie

o zadzierżawienie pachtu, bo jak się z nowym dziedzicem nie uda, to trzeba będzie emigrować ze Stasina.

Zatopiony w myślach, Berek jechał powoli ku Warszawie, układając w mózgu kombinacye rozmaite. Dwa razy nocował w drodze, aż trzeciego dnia o wschodzie słońca, dostrzegł zlekka zarysowane na horyzoncie wieżyce Warszawy, i charakterystyczny obłok dymu unoszący się nad miastem.

Wtenczas popędził szkapę, a minąwszy Grochów i liczne domki za rogatkami rozrzucone, dostał się na Pragę, i wraz z ekwipażem swoim zniknął w otwartéj bramie żydowskiego zajazdu.

Tam zmęczonéj szkapie zafundował dwie wiązeczki siana, a sam w gościnnéj izbie umył ręce, odmówił pacierze i posilił się kieliszkiem anyżówki. Żupan odświętny z kurzu otrzepał, piękny aksamitny kaszkiet rękawem ogładził, przyprowadził do porządku szeroką brodę, i tak wyświeżony, wyelegantowany już, puścił się ku miastu.

Dla pośpiechu ulokował się w czerwonym omnibusie, który dowiózł go aż na Zjazd, a ztąd przewędrował pieszo do ulicy Franciszkańskiéj, to jest do właściwego punktu, gdzie się spodziewał znaléźć obszerne, dokładne informacye.

Na Franciszkańskiéj już ruch wrzał w całéj pełni, na ciężkie wozy ładowano paki towarów, tragarze uwijali się po trotuarach, w sklepach gwar panował nieopisany, żydzi w cylindrach i eleganckich paltotach ocierali się o zacofanych chałaciarzy z prowincyi, a populacya słabszego zdrowia dążyła do ogrodu Krasińskich na wody... Obok delikatnych mam i cioci, cierpiących na zbyteczną otyłość, szły córunie i siostrzenice wyelegantowane, postrojone według ostatniéj mody... Berek spoglądał z rozkoszą na ruch uliczny, na towary, na nieustającą defiladę bogactw i ludzi; cieszył się w duchu, i obliczał, jakie to ogromne kapitały reprezentują

te kilka ulic wyłącznie prawie przez jego współbraci zamieszkałych... Marzył, że kiedyś, kiedyś synowie jego, lub wnuki, znajdą tu miejsca dla siebie, że może który z tych sklepów będzie ich sklepem, a takie piękne panie jak te co na wody spieszą, ich żonami; a takie delikatne, wystrojone w aksamit dzieci, ich dziećmi.

Ale co prawda, wiele czasu na marzenia nie było, więc wnet Berek przywołał swe myśli do porządku, i wszedł do izby zakopconéj, brudnéj, na któréj szybkach wymalowany był żółty samowar, pąsowe kufelki i cynamonowa gęś, otoczona wieńcem liter hebrajskich. Dziś tego wieńca już niema, ale téż i dzieje powieści naszéj nie dzisiejsze, sięgają one czasów minionych niezbyt wprawdzie dawno, ale minionych...

Nie potrzebuję dodawać, że ów przybytek był czemś w rodzaju resursy, w któréj można było załatwić rozmaite interesa, pokrzepić ducha rozmową o najciekawszych kwestyach handlowych, a ciało pożywieniem przyrządzoném podług wszelkich przepisów obowiązujących prawego izraelitę.

Gwar tu panował wielki, to téż dyskutowano jednocześnie o licznych a różnorodnych kwestyach. Berek chwytał chciwie oderwane frazesy téj ogólnéj rozmowy, zachwycał się niemi, i podziwiał bogactwo najświeższych wiadomości i ostry, gryzący dowcip obecnych, którzy przyczepiali łatki najpoważniejszym firmom; jak prorokowie przepowiadali bankructwa, wymówienia, lub zmniejszenia kredytu; opowiadali o dziwnie skombinowanych operacyach finansowych; o figlach kupieckich, o tém jak zleżały towar poszedł za najświeższy, jak zagraniczny omijając komorę, udawał z powodzeniem krajowy, jak ktoś urządził idealnie mądrą wyprzedaż, ile ten lub ów zarobił na pożyczkach sprzedawanych na raty...

Berek poznał, że to była prawdziwa akademia han-

dlowa, niewyczerpana i niewysychająca nigdy krynica geszefciarskiéj mądrości.

Cóż wobec niéj znaczy inteligencya małego miasteczka, co znaczą prowincyonalni szynkarze i faktorzy zbożowi, o których rozumie Berek tak wysokie wyobrażenie posiadał!...

Butów czyścić nie warci tym, którzy tu siedzą, nie warci, bo o takich świetnych interesach wyobrażenia nie mają.

Nasyciwszy się tym pełnym mądrości gwarem, Berek rozejrzał się po stancyi, miarkując, od kogoby potrzebnych informacyj zasięgnąć. W tłumie zalegającym izbę dostrzegł twarz znajomą. Był to faktor od koni, z którym spotykali się kilkakrotnie na jarmarkach. Temu jegomości objawił Berek co sobie życzy.

Faktor wysłuchał pilnie, kiwnął kilkakrotnie głową, a potém udał się w sam kąt stancyi, i przyprowadził młodego żydka w dość krótkim paltocie i okrągłym kapelusiku na głowie. Poczém wszyscy trzej zasiedli przy oddzielnym stoliku i przy kufelku piwa półgłosem prowadzili rozmowę.

Rozumie się, że naprzód ułożyli się, ile ma dostać faktor za to, że znalazł porządnego informatora, i w jaki sposób wynagrodzone zostaną informacye. Po dość żwawym targu przyszło jednak do porozumienia. Berek obrzucił młodego żydka gradem lakonicznych zapytań, na które również lakoniczne otrzymywał odpowiedzi.

Widocznie, że odpowiedzi te bardzo musiały przypadać Berkowi do gustu, gdyż oprócz umówionego honoraryum, kupił jeszcze swym towarzyszom po kufelku piwa, i wyszedł z szynkowni uradowany, rozpromieniony nadzieją.

Teraz już wiedział czego ma się trzymać i jak z nowym dziedzicem mówić; poznał albowiem dokładnie jego przeszłość, stan zamożności, stosunki rodzinne, cha-

rakter, usposobienie, i szedł z tém przekonaniem, że nie będzie targował kota w worku,

Niezadługo Berek znalazł się na jednéj z pryncypalnych ulic miasta, odszukał kamienicę, i po marmurowych schodach dostał się na pierwsze piętro.

Tu na drzwiach rzeźbionych bogato, przybita była błyszcząca metalowa tabliczka z napisem „Samuel Stein.”

Berek przekonał się więc, że pod względem adresu, informacya udzielona przez młodego żydka odznaczała się najdokładniejszą ścisłością.

Berek starannie buty o słomiankę wytarł, brodę kilkakrotnie przygładził, i nieśmiało za dzwonek pociągnął.

W drzwiach ukazał się po chwili wygalonowany lokaj w liberyi.

Zobaczywszy Berka, krzyknął na niego ostro:

— Czego? tu nie puszczają handlarzy!...

— Przepraszam bardzo wielmożnego pana nacielnika, mówił kłaniając się aż do ziemi Berek, niech wielmożny pan sobie nie gniewa, bo ja nie jestem żaden handlarz, tylko przyjechałem od bardzo dalekie okolice...

— No to gadaj, łapserdaku, czego chcesz, i wynoś się do kroć sto tysięcy!

Berek jeszcze niżéj się ukłonil.

— Przez urazy godne osobe wielmożnego pana, ja mam interes do jaśnie pana Samuel Stein, bardzo gwałtowne, co potrzebuje sobie z niego pogadać...

— Patrzcieno! a cóżeś ty za jeden?

— Ja jestem główny pachciarz z dobrów jasnego pana Steina, co un sobie niedawno kupił na licytacye i co ma tam sobie ze swoje godne familie przyjechać, i na zamieszkanie w tych pałaców sobie obsiedlić.

— A to zapewne ze Stasina?

— Akuratnie ze Staszyna, ja nazywam sobie Berek Szczupak, i jestem znany pomiędzy wszystkie szlachte i chrabie, co są w całego powiatu.

— No, kiedy tak, to poczekaj trochę, zamelduję cię panu, tylko nie ukradnij czego przez ten czas.

— Pfe! za co pan takie paskudne słowo powiada? co to ja mam być złodziej? czy co?

— Ja tam nie wiem, czy ty taki, czy inny, siedź i czekaj.

Berek oglądał się w koło—przedpokój był ładny.— W rogu wielki wypchany niedźwiedź trzymał wieszadła do rzeczy, i patrzył groźnie szklannemi oczami.

Biedny pachciarz miał wielką ochotę krzyknąć „gwałtu"! lecz nie śmiał, słowa zamarły mu na ustach, bo oto z drzwi, które lokaj nieprzymknięte zostawił, wyszedł ogromny pies kudłaty, spojrzał na Berka, ziewnął i położył się na podłodze, tuż prawie przy jego nogach.

W pachciarzu duch zamarł—co to za pies? czy to pies wreszcie, czy jaki inny zwierz? może wilk zagraniczny?

Nie warczy, nie szczeka, tylko patrzy, ale jak patrzy! Sam anioł śmierci, co ma całe ciało pokryte oczami a w ręku wielki miecz, na którego końcu wiszą trzy krople trucizny, nie patrzy chyba tak przerażająco i groźnie... Żeby choć szczeknął, toby kto na ratunek przybiegł, ale on tylko patrzy, tak okropnie patrzy!

Bodaj to szlacheckie psy na wsi, nie patrzą, nie gryzą, a jak pachciarz przyjedzie to takiego gwałtu narobią, że gdyby nawet szlachcic spał jak zabity, to go przebudzą.

A ten tylko patrzy... tak przerażająco patrzy!

Krótka chwila oczekiwania wiekiem się Berkowi wydała, trząsł się i drżał jak listek osinowy, żałując w duszy że tu przyszedł—że nie wziął pachtu w innéj wiosce.

Lokaj powrócił i oświadczył, że pan Stein życzy sobie widzieć Berka, i że czeka na niego w swym gabinecie.

Przeprowadzony przez lokaja, pachciarz znalazł się niebawem w eleganckim, bogato umeblowanym pokoju.

Pan Stein siedział przy biurku założoném stosami papierów i dzienników. Był to człowiek w średnim wieku, o spojrzeniu dość ostrém, kościach policzkowych wystających, rysach wyrazistych, typowych. Czarny, siwiejący już potrosze zarost otaczał mu twarz, a wysokie czoło miało cechę inteligencyi.

Berek skłonił się do samej ziemi w milczeniu, nie wiedział bowiem jak tytułować tego pana: czy pochlebić mu „jasną wielmożnością,” czy téż uderzyć w strunę czulszą, głębszą, i rzec po prostu „szolemalajchem,” jak każe dawny wschodni obyczaj.

Berek przypomniał sobie, że kiedy pewien rabin z małego miasteczka, będąc zagranicą, odwiedził sławnego Rotszylda w Frankfurcie nad Menem, takiego potentata i pana! to w rozmowie z nim używał żargonu, i został doskonale przyjęty. Ale Berek nie rabin, Stein nie Rotszyld, a Warszawa nie Frankfurt nad Menem. Co kraj to obyczaj. Pachciarska dyplomacya nakazywała więc czekać, w jaki sposób gospodarz się odezwie i zastosować się do tego.

Stein pierwszy odezwał się po polsku.

— Więc to pan byłeś pachciarzem u poprzedniego właściciela w Stasinie?

— Z wielkiem pszeproszeniem jaśnie wielmożnego pana, po pierwszego, ja nie jestem żaden pan, ani obuwatel, tylo prosty żyd i nazywam sobie Berek Sczupak, a po drugiego, to ja bułem pachciarzem, i przyjechałem powinszować jasnego pana kupno tego majątek.

— Bardzo dobrze, mój panie Berku, kontent jestem, że cię widzę—proszę cię, usiądź sobie.

Berek skłonił się kilkakrotnie i usiadł, a raczéj uczepił się na samym brzeżku krzesełka.

Stein odezwał się znowu.

— Tam musi być spustoszenie wielkie w tym folwarku.

— Co prawda, jaśnie panie, niema tam wielkiego wesołoszciów; wszystko już poprzedawane, a te dawne państwo co uni tam buli, to pewnie już sobie pojechali w świat, do cztery wiatry.

— A powiedz mi, proszę, jaka tam ziemia, donoszono mi, że podobno niezła.

— Rarytne ziemie! bogate ziemie! prosze jasnego pana! gdzie miejscami jest krzynkę mokro, to uno bywa sapowate, a gdzie znowu krzynkę sucho, to jest piasek, bardzo fajn, żółty jak kwiatek.

— To nieszczególnie—a łąki są?

— Oj! oj! żebym ja miał tyle szerokie szczęście, jak tam długiego łąków jest!

— A jakież to te łąki? rządca mi mówił, że podobno kwaśne.

— Przepraszam jasnego pana, ja tego łąki nie brałem z przeproszeniem do gęby—ale co uni mają być kwaśne?—uni zwyczajne są jak łąki—zielone; bydło je tego siana z wielkiego smakiem, jak krowa złapie kłaczek w gębę, to aż się jej uszy ruchają, tak gryzie.

— A las?

— Jak do miejsca — gdzieindziej to un trochę już pokaleczony jest, ale w drugie miejsce to się budulcu zdybie; można mu jeszcze sprzedać za dobre pieniądze—ja mogę zara jasnego pana kupca nastręczyć. U nas w miasteczku jest wielki amator do drzewo—siwy Mendel, aj! aj! wielki kupiec! Un już trzy razy pływał do samego Gdańska.

— Nie będę sprzedawał...

— Jakto?—zapytał zdumiony Berek—nie sprzedać lasu?... to nie dobrze jest, to, przez urazy, nie warto buło wieś kupić.

— Tak sądzisz, panie Berku?

— Ny—a jak ma być?—u nas to jest bardzo prosty interes. Kupi się folwark i zara się sprzedaje lasu, to za tego lasu jest ziemia, potem się tego ziemie puści pomiędzy chłopy, albo pomiędzy niemce kolonisty, to za tego ziemie jest znowu w dubelt pieniądzów!... To taka mechanika jest... a samemu siedzieć, gospodarstwo zrobić—to nie interes.

— Dlaczego?

— Dlatego nie warto jest, że raz to się uno urodzi, a trzy razy to się nie urodzi; po drugiego co cene kiepskie jest na zboże, po trzeciego, co te chłopy, to bardzo paskudne grubijany się teraz zrobili, żadnego posłuszeństwo nie znają, a przytem, nawet takie głupie bydło jak krowa, albo kuń, to lubi zrobić głupstwo i zdechnąć — a co się po nim zostanie — cała sukcesya kawałek skóry i ogon! — to zysk! bardzo ładny zysk!

Stein rozśmiał się.

— A właśnie — rzekł — ja kupiłem folwark na to, żeby gospodarować, żeby tam mieszkać.

— To nie może być! jaśnie pan potrzebuje to nie zrobić.

— A to dlaczego?

Berek zawahał się—Stein nastawał.

— No, dlaczego? powiedzże otwarcie — bardzo proszę.

— Dlaczego?... dlaczego? ny, ja powiem... przepraszam, bardzo grzecznie przepraszam, co przez urazy, takie słowo powiem, ale... ja nie wiem, ja tak słyszałem... może tamte łajdaki zełgali bez złość?...

— Ależ co?—o co idzie?

— Ny, ja bardzo przepraszam jasnego pana, ale tamte drugie łapserdaki gadali co jaśnie pan jest... z naszych.

— Więc cóż tego?

— Ny — co? to jasnemu panu nie warto gospo-

darować, bo to jest interes z przeproszeniem wcale nie żydowski.

— Proszę cię, mój panie Berku, nie przepraszaj mnie tak ciągle za żyda, przecież to nikogo nie hańbi.

— Aj! waj! jaśnie pan złote słowo powiedział, wielkie słowo!—u nas między proste żydy, to jest wielkiego honoru — ale między te wielkie państwo co uni z naszych są, to uni sobie wstydzą od taki dziadek co wódkę sprzedawał, albo od biedne ciotke, co za straganem siedziała.

— Mniejsza o to, ja się nie wstydzę i właśnie chcę być gospodarzem.

— Do woli jasnego pana, ale mnie bardzo jasnego pana żal, mnie się już serce ściska, co takie godne osobe, taki pan, idzie na wieś.

— Co za szkoda?

— Jaśnie pan tam sobie zmarnuje.

— Z powodu?

— Ny, ja już jaśnie pana mówiłem, co to nie żydowski interes. Po pańskiego honoru ja widzę, co uni jasnego pana zjedzą galop!

— Kto oni?

— Wiadomo — nasze żydki.

— Mnie?

— Tak jest.

— No, nie żartuj...

— To nie jest żarty — to bardzo prosty interes. Jaśnie pan w delikatnego rozumu skalkuluje sobie, co jak, przez urazy, jest kilka psy, to uni gonią zając w wielkie przyjacielstwo, ale jak jeden pies trzyma w gębie gnat, to tamte drugie nie mają dla niemu przyjacielstwo, bo uni sami też lubią gnatów jeść—ny, ale kiedy taka wola jasnego pana...

— Przepraszam cię, mój Berku, lecz się nie znasz— nie rozumiesz ani ducha czasu, ani interesów społecznych.

— Aj! aj! żeby ja tyle zdrowia miał, wiele ja już interesów we spółkę zrobiałem!

— Tak, to ci wierzę, ale mniejsza o to—chciałem skorzystać z twojéj bytności, i spytać wiele krów pomieścić może obora w Stasinie?

— Oj! oj! tam wlezie choć pięćdziesiąt.

— To dobrze, bo właśnie kupiłem czterdzieści krów holenderskich, bardzo mlecznych, i za kilka dni! jak się spodziewam, będą już na miejscu.

— Ny — a jak z pachtem będzie? — ja tyle lat już tam siedzę, ja sobie myślę, co jaśnie pan nie będzie mnie teraz opuścić z dzieciami—ja za tych krów dobrze zapłacę

— No—to trudno—bo ja mam inne zamiary.

— Jakich to zamiarów?

— Chciałbym sam prowadzić gospodarstwo.

— Aj! proszę pana, przez urazy, to jaśnie pan tera dziedzicem jest, tak jak każdy szlachcic, a gdzie kto widział, żeby szlachcic przez pachciarza buł. Kto to słuchał?

— Ja nie szlachcic — wiesz przecie.

— Ny, to jeszcze lepiéj — ryba to sobie trzyma w kompanii z rybem, a ptak z ptakiem; czy jaśnie pan widział coby szczupak miał spółke z gęsiem, albo z kogutem? Jak swój swojemu nie będzie dopomódz, to w co sobie świat obróci?

— Bądź co bądź, mój Berku, nie martw się — tymczasem załatwisz mi kilka interesów—co będzie nadal zobaczymy—nie skrzywdzę cię.

— Trzymam godne słowo jasnego pana, a to już tak znaczy jakbym miał pełne garściów szczęścia.

— No, dobrze, mój Berku, ale zanim ci dam niektóre zlecenia, to chciałbym jeszcze wypytać o tamtą okolicę—zapewne znasz ją, bo powiadają, że wy pachciarze macie dyabelny spryt.

— Jakby my mogli sprytu nie mieć—przecie cały nasz majątek... to głowa!

— Powiedzże mi tedy przedewszystkiém, kto tam blizko mieszka—czy to ludzie porządni, czy można z nimi żyć?

— Różne uni jest, ale żyć z nich można;—pierwéj to uni dużo lepsze buli, ale tera już sobie zmądrowali krzynkę.

— Nie rozumiesz mnie—idzie o to, jakie tam jest towarzystwo?

— Jest tém tego towarzystwo do dyabła! — uno siedzi na kuždego folwarku, jak bocian na stare stodołe, toć i jaśnie pan sam przez tego towarzystwo folwark kupił!

— Mój Berku — przechwalono was — myślałem że pachciarze są sprytni, a tu widzę, że trudno się z tobą dogadać...

— Za co trudno? Ja jasznie pana powiem, co jeszcze tamtego tygodnia, to ja miałem wielkie sprawe w sądzie, o jednego nosatego kunia, co ja go chłopowi sprzedałem. No, to choć tamte świadki gadali, to ja dałem takie świadki co znowu inaczéj gadali, a jak sam zaczynałem gadać, to się całe sprawe całkiem do góry nogami przewróciło; z tamtego nosatego kunia to sze zrobił dychawiczny kobuła, a z tego co ja miałem zapłacić chłopowi za kunia, to chłop mnie jeszcze kosztów zapłacił. Tak moje świadki gadali, tak ja dobrze gadałem, a jaśnie pan znowu gada, co ze mną nie można się dogadać.

— No, dobrze — dobrze — ale już nie mów mi o sprawach, tylko odpowiadaj na moje zapytania, a naprzód, kto z obywateli mieszka najbliżéj Stasina?

— Oj! oj! uni wszystkie są najbliżéj — we Złotkowie, w Czarnewode, w Jeszonowke, w Grzibów—teraz w Majdanie to sam hrabia jest. Jasne pan pewno sobie pyta o kompanije, o goszczów?

— Tak...

— Ny, tego to dosyć jest — tylko co uni tera tak nie balują jak wprzódy. Bez to i w nasze miasto biedność jest—sklepów upadło, ruch mały—dla nasze żydy to bardzo nieprzyjemne jest...

— Ale—ale — a jacyż to ci żydzi wasi — porządni ludzie?

— Bardzo porządne—mądre kupce i obywatele—tylko mnie się widzi, jak uważam po godne osobe jasnego pana, to nie będzie dla niego z takich żydów wielkie przyjemnościów.

— Dlaczego?

— Bo uni bardzo stare mode trzymają, do pańskie pokojów to niezdatne jest.

W téj chwili do drzwi zapukano.

— Proszę wejść—rzekł Stein.

Do pokoju wbiegła młoda, elegancko ubrana osoba. — Mogła mieć szesnaście, siedmnaście lat najwyżéj, była szczupła, wysmukła, a twarz jéj przedstawiała typ wschodniéj piękności. Panna Regina dopiero skończyła pensyę, a obecnie przepędzała czas pomiędzy fortepianem a książką. Zobaczywszy Berka, zatrzymała się na progu.

— Ach! przepraszam — rzekła — nie wiedziałam że tatko zajęty...

— Ależ nie — rzekł Stein — owszem, dobrze żeś przyszła... ten żydek, widzisz, jest właśnie z naszego majątku...

— Jak to dobrze żeś pan przyszedł — rzekła do Berka, który do saméj ziemi się kłaniał — muszę panu zadać mnóstwo pytań—najprzód, czy tam ładnie? czy są malownicze widoki?

— Proszę jasne panienki, widok jest, bo oknów są wielkie, na ośm szybów; tylko mnie się zdaje, co uni wcale malowane nie jest.

— Nie dogadasz się z nim—wtrącił Stein.

— Za co nie? proszę jasnego pana, przecież ja ztamtąd jestem, wszystkiego wiem.

— Więc czy jest woda, drzewa, kwiaty, ptaszki?

— Oj! oj! jasne panienko, żeby ja tyle szczęścia miałem, co tam tego jest! Wode pełne dwa studnie i całkie jezioro, a jak deszcz pada, to jeszcze więcéj jest. Drzewo cały las, i krzaków nie brakuje — różne ziele i badylów pełno — a ptaków! oj! oj! żeby ja tyle złotówków miał, co tam się zdybie kurów, kaczków, gęsiów! a wrony to tak łażą po polu jak muchy.

— Nie wystarcza ci to?—zapytał Stein.

Panna rozśmiała się, Berek wciąż prawił.

— To ja powiedziałem jasne panienke wszystko, co w nasze Stasin buło i jest, ale nie mówiłem jeszcze tego co tam nie było a będzie.

— Czy i to pan wiész?—zapytała.

— A jakże—to wiem proszę jasne panienki, co jak nasza wieś i nasz folwark stoi, to jeszcze takie piękne, takie adukowane, takie delikatne dziedziczke w niéj nie buło!

Nie będziemy powtarzali dalszéj rozmowy Berka z nowym dziedzicem, tém bardziéj, że dotyczyła ona wyłącznie zleceń, jakie Berek podjął się załatwić.

Ex-pachciarz opuścił mieszkanie Steina rozpromieniony, w jak najlepszem usposobieniu, i tegoż dnia na noc puścił się w podróż z powrotem.

Przez drogę rozmyślał o różnych interesach, plany i kombinacye układał—nie musiały one być bardzo dla Steina korzystne, bo Berek skrupuły sumienia miał jakieś, i mówiąc sam do siebie półgłosem, usiłował je zwalczać.

— Un jest żyd, szeptał do siebie — trochę jego szkoda—ale jaki to żyd?!—Paskudny pies leży u niego pod progiem, un sam po żydowsku nie gada, gospodarować chce! Co komu z takiego żyda? jaka z niego pociecha? Jest jedzenie koszerne, są interesa koszerne,

dlaczego jemu się chce interesów trefnych? po co un głupi jest? a przez to że głupi, to zginie, a choć zginie to mała szkoda—jego pieniądze zawsze w żydowskich rękach zostaną, a zresztą czy ja temu co winien?

Tak myślał sobie Berek, kiwając się na biedce, której koła obracały się powoli, po piaszczystym gościńcu.

III.

Onufry Bolibrzuch, w przeciągu długiéj gospodarskiéj i życiowéj praktyki, miał doświadczenia wiele, a sąsiedzi lubili go słuchać.

To też nazajutrz po odjeździe naszych staruszków, przed chatą Onufrego zebrała się gromadka spora. Nie dziw, wyjazd ten bowiem był w dziejach wioski epoką, bo rodzina dawnych właścicieli od Bóg wie jakich czasów w téj wiosce siedziała, i nikt z najstarszych ludzi zmian takich nie pamiętał.

Onufry przed chałupą stał i kosę klepiąc, w milczeniu przysłuchiwał się gwarnéj rozmowie.

— A co to Onufry nie gadają nic? zapytał go jakiś młodszy chłop.

— Bo lepiéj nie gadać, niż pleść jeno trzy po trzy, co się kupy nie trzyma! odparł ostro stary.

— Cośta bardzo markotni, moi złoci, odezwał się gospodarz Walenty.

— A juści tańcować mam? Wam to jeno zawdy wesołość w głowie! chocieśta stare kiej grzyb, nieprzymierzając.

— Ta i co—płakać będę?—Chleb, Bogu dzięka je—ziemia święta rodzi.

— Ha — no, juści tak—jak se gębe napchata, to

już wam dość. Toć i moja łysa kobyła to samo potrafi, i ona taka mądra!... I insze ludzie także, najeść się—wyspać się i skutek...

— A cóż mamy robić? my proste chłopy, do nijakiéj tam mądrości nam nie pasuje sięgać.

Onufry ręką machnął.

— Patrzyta oczami i nie widzita—rzekł—dyć tera przewrót świata nastaje. Ot i naszych starych dobrych państwa niema, a kto je wie, kto tu przyjedzie? jaki tu nowy nastanie?

— Pono zyd.

— Ano juści zyd, — tera oni do wszystkiego najpierwsze—jak jeno co do sprzedania, to wnet kupią, bo u nich pieniędzy jak lodu...

— Ale gadają — ozwał się jakiś chłop—że to zyd nie prosty—jeno taki miemiecki—aligant...

— Bóg go tam wie—toć go przecie nikt z nas nie oglądał.

— Dowiemy się wnet.

— A zkąd?

— O! patrzajta na drogę, jaki kurz śkaradny od Przewalinki, musi ktoś jedzie ztamtela.

Onufry oczy ręką od słońca zasłaniając, wpatrywał się w punkt czarny na drodze. Punkt ten powoli posuwał się ku wsi, a nad nim duży tuman kurzu się wznosił.

Zdawało się chłopu, że jakiś znajomy ekwipaż poznaje.

— To je nasz pachciorz!—zawołał—Berek jedzie!

Chłopi wytężyli wzrok.

— A dyć Berek; sprawiedliwie że Berek i jakoś mu musi być pilno do chałupy, bo okrutecnie śkapę pogania.

— Berek! Berek!—zawołali chłopi.

Po chwilce ekwipaż pana Berka we wsi się znalazł. — Chłopi otoczyli go kołem i pytaniami obrzucać zaczęli.

— A gdzieżeś to bywał, Berku, tak długo?—gdzieś to wędrował po świecie?

— Co wy się pytacie, moje ludzie, gdzie ja buwałem? wy się lepiéj pytajcie, gdzie ja nie buwałem?

— Oho! widzis go—jaki bywalec!

— Ny! ny, dobrze wam gadać!—ja pół świata objechałem—aż mnie wątroba kiele serca ściska. Ja już nowego dziedzica widziałem.

— Widziałeś?

— Oj! oj! żebym ja tak swoje szczęście widział.

— No i co? spodobał ci się?

— Obaczyta! Aj! waj! dus a grojse purec! to jest z pełnem gębem pan—u niego to lokaj porządniéj chodzi niźli u nas sam hrabia — a jakie u niego pokoje! — jakie bogactwo! to aż oczy bolą patrzyć, samo złoto, aż kapie, a brylantów to u niego jak śmieciów, mnie się zdaje, co un na obiad jada kaszę z brylantami, a kartofle z perłem, co jeden sto rubli stoi.

— To i co nam z tego?—zagadnął Onufry.

— Ny? jakto—co z tego? co z tego? Wiadomo, jak dziedzic bogaty, to i chłopy bogate, a jak dziedzic kapcan, to i chłopy nic z niego nie mają — i żydy téż nie mają.

— Nie bójta się — zydy zawdy mają, a jesce przy zydzie...

— Oj, nie gadajcie wy tego mój kochany Onufry, bo przy szlachcicu zawsze lepsze życie jest, ale co tam o tém gadać, ja wam lepiéj co powiem, że nowy dziedzic kazał wam się wszystkim kłaniać.

— Kiej on nas nie zna.

— Ny, widzicie jaki un delikatny! un was nie zna a już się wam kłania, a co to będzie jak was pozna?

jak wy sobie pokochacie?! co to będzie? aj! waj! moje kochane ludzie, co to będzie?

Chłopi milczeli, Berek wciąż perorował.

— Un będzie dla was taki dobry, jak malina z miodem, bo to pan, to wielki pan!

— Jakże pan, kiej zyd?—zapytał chłop z powątpiewaniem.

— Ny, to un właśnie bez to jeszcze większy pan, wy w swoje chłopskie głowe powinniśta przecie zmiarkować. Jak wam się widzi, co to jest pan?

— No—wiadomo—pan to je... pan.

— Aj! wa! jakie wy mądre! pan to je pan! krowe to jest krowe, a pies to jest pies! to takie wasze gadanie!?

— Ano — tedy jak?

— Ja wam co powiem, moje ludzie... ja wam powiem co to jest pan! Jak pan niema pieniądzów, to un wcale nie jest pan, choćby jego ojciec był najgłówniejszy pan i hrabia w całe gubernie, tak samo jak kuń, żeby nie miał czterech nogów toby nie buł kuń... ale jak żyd ma pieniądze, to un jest pan! Un jest pan lepszy od wszystkich hrabiów na świecie, bo za jego pieniądze, to i hrabie przyjdą się jemu ukłonić, uni będą jego w brodę całować, uni będą jego prosić za wielkiego honoru, żeby im pozwolić jaśniego hrabicza z jego Ruchlą obżenić! Co myślita—może tak nie jest?

Chłopi, jakby uznając słuszność argumentu, milczeli—Berek zaś tłumaczył im swoje teorye.

— Co to znaczy pan? to znaczy jedno głupstwo, nic więcéj! największy i najprawdziwszy pan na świecie, to wiecie wy kto?

— A bo my ta możemy wsyćkich panów znać?

— Głupieśta wy, moje ludzie... — Największy pan na świecie to jest rubel. Bankocetel to jest pan! jak kto ma rubla to jest pan; kto ma dwa to już jest w dubelt pan, jak ta strzelba co ma dwa dziurów do

strzelnięcia; kto ma sto, to jeszcze większy, a kto ma sto tysięcy, aj! waj! kto ma sto tysięcy, to może sobie śmiać ze wszystkie hrabiów na świecie, a nas nowy pan dużo pieniędzy ma... bo to bardzo wielki pan — bardzo bogaty pan!!

— I jakże do takiego pana gadać? — zapytał Onufry.

— Jak gadać, wiadomo—jak do pana, trzeba jemu gadać, jaśnie wielmożny panie.

— Zydowi?—zapytał z niedowierzaniem chłop.

— Ny, to co? co wy myślita, że żyd to już jasności nie stoi, wy myślita, że żyd to nie człowiek? Wieta wy, że jest takie żydy na świecie, co ich sam turecki król prosi, żeby uni jemu pieniądzów pożyczyli?

— No, wiadomo że zyd je człowiek, bo i księża tak powiadają, jeno zawdy...

— Jeno co?

— Ano, zawdy zyd... Ale czy choć gospodarz z niego?

— Aj! waj! rarytny gospodarz! Obaczyta wy, co un tu porobi, to się cały Stasin do góry nogami przewróci...

— No — no!...

— Tu będzie pełny plenipotent, rządca, ekunom, karbowy, gumienne, stajenne, stangret, lokaj, pokojówka, kucharz, aj! waj! czego tu nie będzie!.. Ogrodnik też będzie — jeszcze lepszy niż u wszystkich panów w całe okolice.

Onufry roześmiał się, i zapytał Berka.

— Słuchajno Berku, a co oni będą jedli, te tam wase plepotenty, rządce, lokaje, ogrodniki?

— Nie frasujta się — nie zabraknie im nic.

— Nie wiem—bo nasze stare państwo tyla słuzby nie trzymali, i to nie tęgo im szło, a choć tera ziemia zydowska, dla zyda lepiej nie urodzi jak rodziła.

— No to nie wielki ambaras! jak w Stasinie zabraknie, to u pana w kieszeni dość, a nasze żydki postarają się jemu choć z końca świata sprowadzić.

— Chyba że...

— Ny, jak pieniądz jest, to bajki! wszystko za niego można dostać. Ale ja gadam tu z wami, a tymczasem, moje ludzie, pierwszy interes. Ja chciałbym między wami furmanków najmować do kolei.

Chłopi zaczęli się skrobać po głowach.

— Gdzie zaś tera na taki czas by kto jechał, sam sianokos, każdy radby siano złapać, póki słonko przyświeca.

Tłumaczenie wszakże niewiele pomogło, poczęstunek i doświadczona, wypraktykowana elokwencya Berka sprawiły, że chłopi zdecydowali się dać odpowiednią ilość furmanek i przywieźć rzeczy z kolei.

A potrzeba było tych furmanek niemało, gdyż pan zajeżdżał dworno; fortepian z sobą wiózł, masę mebli, a prócz tego, w oddzielnym wagonie, sprowadzał pełno najrozmaitszych maszyn i narzędzi rolniczych, które w zacofanym Stasinie miały dokonać różnych zmian i reform, w duchu ostatnich wymagań agronomicznego postępu.

Pełny tedy wagon był zapchany przez brony, pługi, siewniki, ekstyrpatory, kultywatory, obsypniki, a niezależnie od tego, miały jeszcze przybyć dwie żniwiarki i ogromna, ulepszona młocarnia.

Gdy tak koleją dążył inwentarz martwy do celu swego przeznaczenia, wynajęci ludzie pędzili powoli gościńcem piękne holenderskie krowy, a pan plenipotent uwijał się po jarmarkach, szukając koni, któreby mogły służyć za wzór siły i wzrostu.

Pan Stein ex-kupiec, po kupiecku interes traktował, i pragnął odrazu, nie żałując pieniędzy, rzucić w gospodarstwo nakład znaczny, w nadziei, że mu się to w niedługim czasie opłaci. Pan rządca, niemiec,

utrzymywał go jeszcze w tém przekonaniu i coraz to nowe wynajdywał potrzeby, a że sprawunki te sam załatwiał, więc, naturalnie, źle mu się nie działo.

Rzeczywiście, dzięki hojności dziedzica i zabiegliwości rządcy, folwark zaopatrzony został w odpowiedni komplet untensyliów nowych, malowanych, błyszczących, oraz w inwentarz odpowiedni do kompletu. Konie fornalskie paradowały w pięknych, nowiutkich chomontach, woły przyczyniały niemało kłopotu parobkom, a stadko rambouilletów imponowało obfitością wełny.

Co ta przyjemność kosztowała, sam Stein nawet mówić nie lubił, bo nie przyjechawszy jeszcze i nie obejrzawszy nowonabytéj fortuny, mógł słusznie mniemać, że kupił studnię, w któréj Bóg wié jakie kapitały można utopić.

Berek patrząc na te nakłady, uśmiechał się w duchu, lecz nie oponował, ani odradzał, trzymał się z daleka, grzecznie, kłaniał się nizko, rządcę jaśnie panem nazywał, a przytem faktorował, nadskakiwał, czapkował, gdzie się co dało urwał, i tak żył z dnia na dzień, czekając rychło się jego i pachtu losy rozstrzygną.

Stein czekając aż wszystko będzie już urządzone, dom umeblowany, służba przyjęta, zakupił trochę dzieł rolniczych i studyował agronomię, do któréj nagle nabrał szczególnego zamiłowania. Naczytawszy się o wysokiéj kulturze gospodarstw niemieckich, postanowił téż ze Stasina uczynić coś w rodzaju niemieckiéj fermy, w któréj byłoby wszystko, co tylko w gospodarstwie być może, a że był przekonany, iż przy pieniądzach, wszystko da się do skutku doprowadzić, więc nie zrażały go wydatki.

Czytał Stein książki rolnicze, a zarazem chcąc wiadomości z nich poczerpnięte illustrować sobie widokami przyrody, wyjeżdżał często w stronę Wilanowa, za rogatki, i tu, dzięki erudycyi stangreta, uczył się

rozróżniać żyto od owsa, pszenicę od jęczmienia, a groch od kartofli.

Panna Regina towarzyszyła ojcu w tych wycieczkach, zachwycała się bławatkami w zbożu i barwnemi motylami, kołyszącemi się na różowych kwiatkach ostu.

Panna szczególnie z wyjazdu na wieś czuła się szczęśliwą... Cały poetyczny świat, znany jéj dotychczas z książek tylko, nęcił ją i wabił ku sobie. Zdawało jéj się, że szumiące bory pełne są sylfów i nimf leśnych, że z fali wód srebrnych ujrzy wychylające się uśmiechnięte rusałki, że podpatrzy romans motyla z różą, zrozumie tajemnicę śpiewów słowiczych. O rozczarowaniu, o prozaicznéj stronie życia nie myślała nigdy, bo i czasu i sposobności po temu nie było.—Jedynaczka, wypieszczona przez ojca, wychowana w dostatku, nie miała czasu spojrzéć przykréj stronie życia oko w oko, ani téż poznać ją bliżéj.

Chowała się w domu, miała guwernantki, potém na pensyę chodziła, a że lubiła czytać wiele i kochała się w poetycznych utworach, przeto świat książkowy stał się jéj światem poniekąd, i po za granice tego świata nie wychylała się prawie.

Wpływ matki bardzo małą rolę w jéj życiu odgrywał, bo państwo Stein, po kilku latach pożycia, rozłączyli się z sobą.

Nie wiem czy sercowe, czy téż finansowe sprawy rozłączyły tę parę, lecz pani, niedługo po rozwodzie przeniosła się do lepszego życia, już jako małżonka właściciela bankierskiego kantoru, pan zaś nowych związków, pomimo nalegań familii, zawrzéć nie probował.

Stein, który się do gospodarstwa zapalił, wertował czasopisma specyalne, przeważnie niemieckie, wyciągi z nich robił, notatki, i wszystko co tylko przeczytał miał zamiar zaraz w swoim nowonabytym folwarku stosować. Czytanie zabierało mu prawie całe dnie, reszta zaś czasu upływała na konferencyi z rządcą, który po-

znawszy zaraz, że pracodawca jego wcale o gospodarstwie wyobrażenia nie ma, umiał zręcznie sytuacyę na swoję korzyść wyzyskiwać—i zanim jeszcze faktycznie obowiązki sprawować zaczął, już sobie potrafił „uczciwym sposobem” jakąś sumkę na „czarną godzinę” do kieszeni schować!

Liczne, a kosztowne sprawunki, kupna i nakłady nastręczały po temu aż nadto sposobności.

Co się tyczy panny Reginy, to ta również z wielką chęcią garnęła się na wieś. Obiecywała sobie wiele przyjemności, spacerów, konnéj jazdy, wycieczek wodnych po sąsiedniem jeziorze — i ażeby być na to przygotowaną, kazała sobie sporządzić kilka odpowiednich kostiumów, oraz kapeluszy.

Dzień wyjazdu jeszcze oznaczonym nie był. W starym, przez dawnych dziedziców opuszczonym dworku, rozlegał się stuk młotków, i kilkunastu rzemieślników pracowało nad tém, aby zatrzéć w nim wszelką cechę starości.

Odnawiano sufity, a ściany pokrywano obiciami nowemi, w kolorach jaskrawych, wyrywano stare podłogi, aby je zastąpić eleganckiemi taflami posadzki.

Jednem słowem, stary, nieco przygarbiony dworek, miał się pozbyć wszystkich cech swoich dawnych, i przybrać zupełnie inne pozory.

W ogrodzie pracowano również. Uliczki zarośnięte czyszczono, budowano altanki nowe i mostki.

I wjazd i brama i dziedziniec miały być odświeżone i odnowione zupełnie.

Chłopi patrząc na to głowami kiwali, a Berek przyglądał się z uśmiechem i obliczał, co ten interes kosztuje; gładził okazałą swą brodę, i dziwił się w duszy, jak można było w taki nieprodukcyjny sposób, tyle pieniędzy utopić!

Berkowi bardzo żal było tego nakładu.

Niezadługo też, kilkanaście furmanek przywiozło ze stacyi kolei liczne bagaże, paki i meble, z któremi przyjechał również ów lokaj, znajomy Berka z poprzedniego rozdziału — i pies, ten wielki straszny pies, na sam widok którego Berek Szczupak, pomimo wielkiéj odwagi, doznawał dreszczów śmiertelnych.

Z tego też powodu, od owéj chwili Berek rzadziéj do dworku zaglądał, gdyż pies od rana do wieczora leżał na ganku nieruchomo, milczący jak sfinks, i tém milczeniem jeszcze bardziéj straszny.

Nareszcie, przygotowania się skończyły, w odświeżonym domku ustawiono meble, bogate lustra i obrazy zawisnęły na ścianach, i oczekiwano przyjazdu nowych właścicieli.

Nadszedł dzień, w którym nowy dziedzic miał objąć Stasin w posiadanie, a raczéj zamieszkać już na swojém własném terytoryum.

Panna Regina klaskała w ręce radości, jak dziecko, na samą myśl, że niedługo ujrzy tak upragniony ogród, pola, łąki i las, a ojciec jéj snuł plany reform agronomicznych. On właśnie miał pokazać zacofanéj szlachcie co to można zrobić! miał jéj zaimponować swoim folwarkiem, który będzie najpiękniejszą, wzorową formą na całą okolicę, na cały kraj nawet.

Dlaczego nie? kiedy właściciel zamierza tu wprowadzić wszelkie innowacye, wszelkie ulepszenia i zdobycze postępu.

Wprawdzie ten właściciel sam, osobiście, nie wiele się zna na gospodarstwie, i oprócz luźnych wiadomości poczerpniętych z książek i pism specyalnych, gorączkowo i w obfitości czytanych, innych informacyi nie posiada, ale silnie wierzy w przysłowie że „nie święci garnki lepią"—a powtóre, ma przecież przy sobie fachowego agronoma, w osobie pana rządcy.

Ten pan rządca, to w swoim rodzaju był geniusz,

i uczyniłbym wielką krzywdę czytelnikom, gdybym ich z owym właśnie feniksem agronomii nie zapoznał.

Agronom jest to mąż czysto teutońskiéj rasy, o czém świadczą i jasne oczy i rudawe włosy i takież faworytki, otaczające pyzate i pulchne jego oblicze.

Nazywa się Bernard von Knoch, z dumą nosi to nazwisko i twierdzi, że pochodzi w jak najprostszéj linii od jakiegoś krzyżackiego rycerza Guntza von Knocha, który byłby został niezawodnie wielkim mistrzem zakonu, gdyby nie ta drobna okoliczność, że go gdzieś na Litwie, podczas gdy między dzikim ludem „apostolstwo" czynił, sromotnie na suchéj wierzbie powieszono. — Wprawdzie tradycye rodzinne twierdzą, że ów protoplasta Knochów, wielce szlachetny Guntz von Knoch, powieszony był właściwie nietyle za apostolstwo, ile za rozboje i grabieże, ale czegóż źli ludzie nie wymyślą!?— Wszak znaleźli plamy i na słońcu nawet.

Potomek tedy przesławnego Guntza von Knoch, który tak niefortunnie zginął wśród dzikich barbarzyńców, przyszedł znów po latach bardzo wielu do téj przeklętéj pół-Azyi—aby tu zasiewać ziarna nowéj kultury i cywilizować dzikich ludzi.

Wprawdzie szanowny imci pan Bernard von Knoch za poświęcenie się dla słowiańszczyzny i za pełną uczoności i doświadczenia swą pracę miał brać od Steina piękną pensyę i tantyemę od dochodu z majątku, wprawdzie tenże sam imćpan Bernard von Knoch liczył także na to, że przy wrodzonym sprycie, zdoła zarobić jeszcze coś extra umówionéj zapłaty — niemniéj jednak miał to przekonanie, że się dla dzikich ludzi poświęca i że zasługuje, aby za życia obsypywano go złotem, a po śmierci wzniesiono mu pomnik z karraryjskiego marmuru, jeżeli nie z bronzu.

Pan Bernard przez lat kilka praktykował w Poznańskiém i tam nauczył się cokolwiek wstrętnéj zawsze dla niego mowy polskiéj, używał jéj jednak wyłącznie



Bernard von Knoch.—Str. 164.

do rozmowy z chłopami, z pracodawcą zaś swoim zawsze porozumiewał się po niemiecku.

Obecnie pan Knoch poczynił już wszystkie przygotowania przedwstępne, ażeby postawić na odpowiedniéj stopie folwark swego pracodawcy. W oborze znajdowało się już kilkadziesiąt krów, czystéj holenderskiéj rasy, w stajni objadały się kosztownie nabytym owsem tłuste meklemburgi, w owczarni beczały rambouillety, a umyślnie wystawiona szopa, ledwie mogła pomieścić wszystkie narzędzia, nabyte w celu udoskonalonéj uprawy ziemi — i zastąpienia pracy ręcznéj. — Te wszystkie sprawunki kosztowały wprawdzie bardzo drogo, tak dalece drogo, że nawet rozentuzyazmowany do gospodarstwa Stein stękać już zaczął, lecz pan von Knoch umiał w wymownych słowach przedstawić konieczność nakładów i przyrzekał, że w przeciągu lat kilku wyłożony kapitał wróci się z sowitym procentem. Stein wierzył tym obietnicom i szkatuły nie zamknął, więc téż pracowity potomek teutońskiego rycerza przeprowadzał reformę w całéj rozciągłości, a ponieważ głupi kowal wiejski, naturalnie istota ograniczona i prawie pół-bydlęca, nie znał się na sekretach skombinowanéj mechaniki, przeto okazała się konieczna potrzeba sprowadzenia specyalnego maszynisty. — Naturalnie pan rządca sprowadził tego feniksa z Niemiec, podobno nawet ze swéj wioski rodzinnéj. Zawistni mówili, że mechanik jest blizkim krewnym rządcy i że w swéj ojczyźnie pełnił obowiązki stangreta—ale któż dojdzie prawdy w takich familijnych kombinacyach!

Równie jak porządny mechanik, potrzebnym był porządny ekonom, któryby plany wielkiego agronoma mógł przyzwoicie wykonać i co najważniejsza, potrafił je dokładnie zrozumiéć. Ma się rozumiéć, że jeżeli kto, to nasz chłop, zaledwie pół człowiek, a w większéj połowie bydlę, byłby do takiego celu najmniéj odpowiednim, przeto pan rządca sprowadził także pożądane-

go geniusza z Niemiec; — a że las domagał się również urządzenia prawidłowego i reformy, przeto potrzeba było znowuż sprowadzić uzdolnionego leśnika, ma się rozumiéć także z Niemiec.

Tym więc sposobem, w krótkim stosunkowo czasie, oprócz głównego rządcy pana von Knocha, znalazł się w Stasinie mechanik pan Windt, ekonom pan Feld i leśniczy pan Sturm, którzy naturalnie przywieźli z sobą panią Windt, panią Feld i panią Sturm, oraz ilość dzieci, illustrującą wymownie statystykę przyrostu ludności rasy germańskiéj.

Żydkowie z miasteczka zawistném na tę inwazyę spoglądali okiem. Czuli się oni pokrzywdzonymi w swych prawach i przywilejach, tak naturalnych przecież. Jakto?—wołali—dziedzic żyd, a rządca nie żyd, ekonom nie żyd, leśniczy nie żyd, pachciarz na stanowisku swém zachwiany! ogród żydowi nie wydzierżawiony, a podobno i zboże bezpośrednio ma być sprzedawane!! I to jest żyd — to jest dziedzic starozakonny! to prawe dziecię Judy, prawnuk patryarchów?!

Takie pytania zadawali sobie żydzi najbliższego miasteczka. Stein był przedmiotem ciągłéj ich rozmowy. Zastanawiała ich kwestya jak się zachowywać będzie, czy zakupi pierwsze miejsce w synagodze, czy spełniać będzie religijne przepisy, czy zechce należéć do różnych składek na cele ogólne zbieranych.

Naturalnie były głosy pro i contra, lecz trudno było coś stanowczego przepowiedziéć.—Berek Szczupak, który jako pachciarz, mógł miéć względnie najlepsze informacye, dyskretnie milczał i półsłówkami tylko odpowiadał, gdyż szczegółowo wytkniętego planu miéć nie mógł; dotychczas kombinował jeszcze i wyczekiwał, co mu okoliczności czynić każą.

Berek oportunistą był w swéj polityce i dobrze zazwyczaj na tém wychodził—a przytém, kiedy potrzeba gadatliwy—w innych okolicznościach umiał język za zę-

bami trzymać. — Żydkowie z miasteczka nic się téż pewnego od Berka dowiedzieć nie mogli.

Bądź co bądź, przyjazd Steina do Stasina był dla całéj okolicy wypadkiem pierwszorzędnéj doniosłości.— Przedewszystkiém chłopi ciekawi byli zobaczyć takiego dziedzica, co to niby żyd, a nie żyd, wyglądać ma z pozoru jak pan, a nie pan. Żydzi znowuż ciekawi byli co na swoim współwyznawcy zarobią—a sąsiedzi, także radzi byli poznać nowego sąsiada, tém więcéj, że poprzedziła go stugębna prowincyonalna fama opiewająca o nim niestworzone rzeczy. Nawet żeńska połowa „towarzystwa" zainteresowana była nie na żarty i odbywała długie konferencye na temat, w jaki się sposób zachować, jeżeli żyd z żydóweczką zechce składać wizyty i bywać. Na zapadłéj prowincyi, gdzie innego żyda, prócz zwykłego, brudnego Mośka, w zabłoconych butach i obdartym żupanie nie widzą, przybycie jakichś innych żydów było fenomenem niezwykłym.

Nareszcie stało się! — Stein z córką sprowadzili się do Stasina.

On zajęty był konferencyami z panem Knochem, panna Regina zaś z zapałem właściwym młodości, korzystała ze świeżego powietrza i wiejskiéj swobody.— A trzeba téż przyznać, że wioska zaprezentowała się jéj w całym blasku swych pełnych prostoty i wspaniałości wdzięków. Słońce świeciło wspaniale, na niebie nie było ani jednéj chmurki, ciepły, pogodny wietrzyk muskał delikatnie barwne główki kwiatów kołyszących się na łąkach, szumiał wśród trzcin nad jeziorem rosnących, noszących z dumą swe piękne czarne, aksamitne kity.

Przy drodze, będącéj głównym traktem, do powiatowego miasta wiodącym, był młody, ładny lasek brzozowy, rozrzucony na wzgórzach, wśród których mały, ale wartki, strumyk przepływał. Śliczne to ustronie, nęciło ciszą, spokojem, wonią balsamiczną i słodkim szme-

rem wody. Nic téż dziwnego, że panna Regina polubiła to miejsce. Przyjeżdżała téż tutaj codzień prawie: lekki powozik zostawał na gościńcu, a ona, sama wchodziła do lasku, siadała na murawie, przypatrywała się strumieniowi, kwiatom, śledziła ruchy pracowitych mrówek, jak do mrowiska ciągnęły—i zachwycona była tym drobnym, cichym, spokojnym a dotąd nieznanym jéj światem. To co wyczytała w książkach, w natchnionych pieśniach wieszczów, to właśnie miała przed sobą jako żywe, naturalne, prawdziwe.

To téż czuła się w tym nowym dla niéj świecie dziwnie swobodną i szczęśliwą. Radaby przesiadywać dzień cały w tym ustronnym lasku, zapatrzona w ruch srebrnéj fali strumyka, zasłuchana w melodyjny śpiew ptasząt kołyszących się na delikatnych gałązkach.

Wszystko miało dla niéj urok niewysławionego powabu i... nowości.

Gdy tak już po raz trzeci, czy czwarty, chciała ulubione swoje ustronie odwiedzić, i gdy już prawie dojeżdżała do lasku, boczną dróżką pędziło co koń wyskoczy dwóch jeźdźców, jak gdyby umyślnie pragnąc się spotkać z powozem.

Jeźdźcy ci byli to dwaj bracia, młodzi ludzie z sąsiedztwa, panowie znani pod pieszczotliwemi imionami Zdzisia i Zbisia, którzy przyrzekli znajomym paniom, że koniecznie żydóweczkę wytropią i opowiedzą jak wygląda.

Dziś właśnie wybrali się na tę wyprawę konno i postanowili dotąd krążyć w okolicach Stasina, dopóki nie ujrzą téj, o któréj relacyę zdać mieli. Przyrzekli to solennie pani sędzinie i pani radczyni, które zawsze najpierwsze i z najlepszego źródła lubiły miewać informacye.

Eklererom naszym posłużyło widocznie szczęście; zapragnęli téż z niego skorzystać i ujrzawszy zdaleka powozik, puścili konie w cwał, aby miéć czas dopaść

gościńca, zanim powóz do lasku wjedzie. Udało im się to w zupełności, bo przybyli nawet cokolwiek zawcześnie.—Zatrzymali spienione konie i patrzyli.

Po chwili elegancki powozik przesunął się tuż koło nich i wjechał w las. W powoziku siedziała panna Regina, ubrana w sukienkę skromną, kretonową, lecz uszytą zgrabnie i elegancko; słomkowy kapelusik dopełniał tego letniego kostiumu.

Gdy powozik zniknął już w lesie, panowie Zdzisio i Zbisio milcząc przez chwilę spoglądali na siebie.

Potém starszy głos zabrał.

— No i cóż, — zapytał — jak ty uważasz?

— Hm... niech ją psy zjedzą, jaka ładna! — mruknął Zdziś — skąpy dosyć na słowa.

— Niema co gadać... prześliczna, dyabli wiedzą nawet jak to sędzinie powiedziéć.

— Jak? co się widziało.

— Powie, że przesada.

— Niech powie — ja wiem, że niejeden pachciarzowi swemu pozazdrości.

— Czego znowuż?

— Ano czego? że żyd — Jabym sam chętnie Mośkiem został, żebym taką Ruchlę, czy Gitlę mógł dostać dla siebie.

Rozśmiał się brat.

— No, gust masz — rzekł — ale nicby z tego nie było — żydzi by cię nie przyjęli do swego kahału.

— A to dlaczego?

— Boś zagłupi na żyda, mój bracie...

— No, proszę cię, tylko bez żartów.

— Przecież nikt nie słyszy — ale dajmy pokój sprzeczce — oto lepiéj spełnijmy nasze zadanie, jedź ty bracie na wschód — a ja na zachód, ty do radczyni — a ja do sędziny i głośmy sławę téj Ruchli, która, niech mnie dyabli wezmą, warta jest tego honoru!

— A to jedźmy — rzekł Zbinio, i bracia podawszy sobie ręce, rozjechali się w przeciwne strony, aby głosić piękność panny Stein.

Jeden popędził na wschód, drugi na zachód, a konie wzbijały tumany kurzu kopytami.

Tego samego wieczora o pięknéj pannie Stein już cała okolica była poinformowana.

V.

Ile panie okoliczne pragnęły poznać elegancką żydówkę — tyle znów poważni członkowie kahału i nabożni obywatele z sąsiedniego miasteczka chcieli zabrać bliższą znajomość z jéj ojcem.

Odbyło się nawet kilka narad, na których debatowano, w jaki sposób wciągnąć do swego grona żyda, właściciela ładnego folwarku, jeżdżącego powozem i niebardzo liczącego się z groszem. Bądź co bądź, na tém zbliżeniu się fundusze bóżniczne i szpitalne mogły coś zyskać, mogły nawet poważnie się wzmocnić.

Berek, który, jak wiadomo, co do osoby nowego dziedzica miał najlepsze informacye, oznajmił starszyźnie miasteczka, że Stein nie wstydzi się swego pochodzenia — lecz dodał również, że w sprawach wyznania zdaje się być zupełnie indyferentnym. Naturalnie indyferentyzm nie przeszkadza miłosierdziu i dobroczynności, a gdy idzie o interes ogólny, spróbować warto.

Ułożono zatém, ażeby wyprawić deputacyę złożoną z najpoważniejszych obywateli miasteczka, do któréjto deputacyi miał się także przyłączyć i Berek, jako świadomy miejsca i mający wstęp do dworu.

Jakoż w dniu oznaczonym, na wynajętéj furze, któréj tył zaopatrzony był budą płócienną, rozpiętą na kilku obręczach, poważni mężowie, w towarzystwie gadatliwego Berka, puścili się w drogę.

Właściwych deputatów było trzech, wszyscy „morejne,” ubrani w odświętne racimorowe żupany, jedwabne pasy i czapki futrzane, pomimo nieznośnego upału. Mieli na nogach względnie białe pończochy i trzewiki o tyle o ile obtarte z błota, które codziennie na rynku miasteczka, w interesach handlowych, deptali.

Jeden z delegatów, najstarszy wiekiem, dzierżawca propinacyi w miasteczku, wielce biegły w piśmie, mąż z długą i białą jak mleko brodą, był niejako prezesem zgromadzenia. Znać to było po nim, gdyż przez całą prawie drogę zachowywał uroczyste milczenie i z pod białych wąsów wypuszczał niebieskawy dymek z wielkiéj porcelanowéj fajki, w któréj tlił się niezbyt przyjemnie woniejący tytuń.

Dwaj inni delegaci, młodsi znacznie, byli to bracia Feinsilber, utrzymujący do spółki wielki handel towarów kolonialnych i łokciowych — generalni dostawcy cukru i perkalu na całą okolicę, oraz fabrykanci starego wina węgierskiego ze świeżych rodzynków, jakotéż niezrównanego bordeaux i lafittu z czarnych jagód, rosnących bardzo obficie w sąsiednich lasach.

Jedném słowem co miasteczko miało najbardziéj uczonego, światłego, inteligentnego, a obytego w świecie, to w charakterze deputatów posłało do Steina.

Powiadają, że nawet rabin tamtejszy, wysoce mądry człowiek, który bardzo rzadko, ale to bardzo rzadko przemawiał, gdy mu doniesiono o tym wyborze, pogładził szeroką brodę i kiwnął głową po trzykroć, co znaczyło: akceptuję, zgadzam się, pochwalam.

Bardzo powoli toczyła się ciężka fura po piaszczystym gościńcu, delegaci drzemali kiwając się komicznie, furman drzemał także, koniska szły jakby śpiące, a na-

wet Berek Szczupak, dał chwilową folgę spracowanemu językowi i utonął w marzeniach.

Nareszcie po kilku godzinach jazdy, koła wozu zadudniły po nierównym mostku i siedziba nowego dziedzica ukazała się oczom podróżnych. Berek trącił silnie furmana w łokieć i zalecił mu, aby zajechał przed dwór z energią i szykiem stosownym do okoliczności. Furman wiedząc kogo wiezie i do jakiéj osoby przyjeżdża, zajechał istotnie z takim strasznym łoskotem, że o mało budy nie rozbił i szanownych członków deputacyi na ganek nie wysypał.

W oknie mignęła się sylwetka panny Reginy — a potém zaraz ukazał się Stein.

Pierwszy wszedł do przedpokoju Berek i cel przybycia szanownych mężów oznajmił, a gdy oświadczono mu, że deputacya z należnym honorem będzie przyjętą, wprowadził ojców miasteczka.

Gdy weszli do pokoju, stary żyd brodaty, ów uczony wielce i w piśmie biegły, kłaniając się bardzo grzecznie, przemówił po żydowsku, a w przemówieniu tém starał się odmalować radość z powodu przebycia i osiedlenia się tak szanownéj osoby, która rzuci nowy splendor na ród izraelski — a do pewnego stopnia i na miasteczko, szczycące się od wielu pokoleń z posiadania bardzo uczonych rabinów i nabożnych, a wielce obrotnych, kupców i spekulantów.

Stein wysłuchał uważnie téj oracyi, a po skończeniu rzekł po polsku.

— Jeżeli mamy się dobrze rozumieć, to mówcie panowie po polsku, po niemiecku albowiem mówicie tak fatalnie, że was bardzo trudno zrozumiéć.

— Przepraszam jasznie pana — rzekł stary żyd — ja nie gadałem po niemiecku... ja po naszemu gadałem, po żydowsku — myślałem co pan rozumie taki mowe. To bardzo piękne mowe jest, każdy mały bachur u nas ją rozumie.

— Być może, moi panowie; dla was ona piękna, dla całego świata szkaradna, powiem wam nawet więcéj, znam różne kraje na świecie, w każdym prawie kraju są żydzi, ale we Francyi mówią po francuzku, w Anglii po angielsku, tylko u nas szwargoczą nie takim językiem jak cała ludność mówi. Może przez to nas tak ludzie nie lubią?

Odpowiedział na to z ukłonem starszy z braci Feinsilber.

— Jasznie pan gada jak pan, a my proste żydy, gadamy jak żydy. Wiadomo co koza nie krzyczy jak kura, a kura nie beczy jak krowa. My te mowe nie zrobili, my nie będziemy jéj popsuli. Una nawet bardzo potrzebna jest do każdego użytek. Na ten przykład, jak jest jaki interes z panem, czy z chłopem, czy choćby nawet z samego burmistrzem, a jest przy tém pare kilka żydki, to my powiemy sobie tylko dwa, trzy słowa-i już siojn! My sobie rozumiemy, my zrobimy interes, a jakby nasze mowe nie buło, to coby buło? toby nas lada chłop rozumiał!...

— A jednak powinniśmy koniecznie dojść do tego, żeby ten obcy żargon zarzucić.

— Proszę jaszniego pana — odezwał się stary Abram — za co jasznie pan kpi sobie od nas, czy my co przeciw jaszniego pana zgrzeszyli?

— Ależ, moi panowie, ja sobie wcale z was nie żartuję — przyjechaliście do mnie, więc proszę, siadajcie, odpocznijcie i powiedzcie mi czém wam mogę służyć?

Żydzi, kłaniając się nizko, usiedli, Berek tylko zatrzymał się przy drzwiach.

— My przyjechali — rzekł Abram — jaszniego pana się kłaniać, a że my coś słuchali co jasznie pan jest od naszego zakonu, to my przyjechali powiedzieć, co u nas jest bardzo porządne szkołe, łaźnie, rzeźnik, niech Pan Bóg zabroni, kierkut—i wszystko co dla żyda może być

potrzebne. My przyjechali powiedziéć, co kużda rzecz koszerna u nas się w miasteczku zdybie i kużdy z wielgiem chęciem taki interes sprzedaje — my przyjechali powiedziéć, co u nas jest wielki rabin, bardzo uczony w biblii i nabożny, a jak na człowieka przyjdzie słabość, to un tylko jedno słowo powie, a już to słabościów niema! — Un wielkie mądrości ma, do niego się husyty zjeżdżają o dwanaście, o piętnaście mil drogi! My przyjechali powiedziéć, co u nas kahał swój jest, co my bierzemy podatek od sól, od mięso, od drożdżów, przez to co nam potrzeba pieniądzów na bardzo biedne żydki i na różnych interesów. To my przyjechali powiedziéć...

Stein zamyślił się; młodszy Feinsilber rzekł pokornie.

— Niech my usłyszymy jedno słowo jaszniego pana, wielka biedność tera między naszemi jest...

— Hm... jabym wam dużo słów chciał powiedziéć — ale czy posłuchacie mojéj rady... wy jesteście...

— Wiem, wiem, my jesteśmy wielkie grubiany i zabobonniki — odezwał się stary Abram — wszystkie żydy warszawskie, co niosą kapelusz na głowę i tryfne mięso jadają, to o nas tak mówią. Niech Berek powie, przecie on nieraz do Warszawy jeździł!

— Nie, moi panowie, tylko wy jesteście zacofani...

— Zacofane! sy git, niech my będziemy zacofane, kiedy w biblii stoi źeby my takie byli... Panowie nie są zacofane to prawda — ale czy panowie są prawdziwe żydy, to ja nie wiem czy prawda; czy panowie są katoliki? to ja wiem, że nie prawda; a co panowie są po prawdzie? to ja wcale nie wiem. Przepraszam jasznie pana, co ja takie słowo powiedziałem, ale stary Abram już ma siedmdziesiąt lat i dwanaście delikatnych prawnuczków, moje syny już mają siwe brodów, to ja rachowałem co mi jasznie pan moje śmiałości daruje.

Trudno, panie Abramie, każdy ma swoje przekonania, widzę, że dziś to co mógłbym powiedzieć wydałoby się może bardzo dziwném, zostawmy to czasowi, jeszcze kiedy porozmawiamy sobie, tymczasem co do owych biednych... powiadacie, że ich dużo jest?

— Aj! aj! drugi taki się zdybie co niema chleba codzień, niema za co lekarstwo dla dziecko kupić, takie jest kapcany!

— Poczekajcież więc, dam wam coś na początek dla waszych biedaków.

To mówiąc Stein wyszedł do drugiego pokoju, zkąd powrócił niebawem, niosąc w ręku świeżutki, storublowy banknot.

— Oto masz, panie Abramie, weź to tymczasem dla tych, co chleba nie mają.

Żydzi powstali.

— Jaśnie panie, taki początek, to jest pański początek, to jest wielka ofiara! Uni będą płakać te nasze kapcany, co takie spaniałe osobe się zdybało koło nas!

— Nie dziękujcie, mam, więc daję wedle możności... ale ponieważ jesteście z drogi, więc możebyście co zjedli?

Żydzi spojrzeli po sobie, lecz żaden na zaproszenie nie odpowiedział.

— Boicie się?

— Ny, wiadomo, pan lubi jeść po pańsku, my żydy po żydowsku...

— No, jak chcecie — ale możecie przecież napić się wódki i zjeść trochę świeżych owoców.

— Jak łaska wielmożnego pana — wtrącił młodszy Feinsilber.

Po chwili członkowie deputacyi uraczyli się doskonałym koniakiem i soczystemi wiśniami z ogrodu.

Rozmowa nie schodziła z kwestyi reform. Stein dowodził koniecznej potrzeby zmian, i to zmian grunto-

wnych.—Żydzi odpierali argumenta sarkazmem i zjadliwym dowcipem.

— A wiecie wy dlaczego wasze miasteczko takie biedne? — dlaczego, oprócz kilkunastu kupców lub kramarzy, reszta ludności znajduje się w strasznéj nędzy, nie umie pracować, głód cierpi i najnieuczciwszych sposobów się chwyta, aby wydrzéć komu kawałek chleba z ręki...

— Zawsze uno tak było — rzekł Abram.

— Było i będzie, jeźli się nie zmienicie, jeźli nie będziecie dzieci inaczéj chowali... Dziś co jest? Bachor roboty żadnéj się nie uczy, lecz przez lat sześć lub ośm siedzi w chederze, zmizerowany, wątły; zaledwie szesnaście lat mając żeni się, ma dużo dzieci, a utrzymać ich nie potrafi; tymczasem jeść trzeba, mieszkać trzeba, nago chodzić nie można, więc téż puszcza się na drogi nierzetelne, oszukuje drugich, kradzione rzeczy kupuje, a jak dzisiaj — to i sam kradnie, albo rozbija. Czy nie tak, moi panowie?

— Trochę tak, a trochę nie tak — rzekł Abram. Pana dobrodzieja wiadomo tylko jedno, że on powinien być naprzykład szewcem i zarobić na życie — a nam wiadomo, że un powinien być naprzód żydem — a potém szewcem; a jak un się uczy na żyda, to już niema czasu uczyć się na szewca, a na szynkarza uczyć się nie trzeba, na faktora i handlarza także się nie terminuje, no—to on jest szynkarzem, handlarzem albo, faktorem. My żydy tak sobie tych interesów miarkujemy i tak zawdy było, za co tera ma być inaczéj?

— Przecież i ja jestem żyd — i jabym chciał żeby wam dobrze było na świecie.

— Ny... ny... My znamy już takie żydy—dużo ich tera jest w Warszawie, w wielkie miastów. Uni są bardzo nabożne, bardzo sprawiedliwe ludzie!

— Jakto?

— Nie chciałbym wielmożnemu panu przykre słowo powiedzieć.

— Ależ mów pan co myślisz, bardzo proszę.

— Ny, ja powiem. — Uni powiadają co są żydy, a jak Pan Bóg dał szabas, to uni jeżdżą w karetę, choć to nie wolno. Objedzą się na obiad tryfne mięso, a to wielki grzech; potém położą sobie na kanapie, zapalą cygaro, choć się nie godzi ogień palić w szabas, i tak sobie myślą: jak ta żydowska wiara sobie popsuła! aj waj! jak una sobie popsuła!

Stein rozśmiał się.

— Wiara na tém nie stoi — rzekł.

— Pfe! co pan dobrodziéj mówi? Drzewo stoi sobie na korzeń, człowiek stoi na nogi, a wiara stoi na księgi, podetnij pan korzeń, to drzewo sobie przewróci, zabierz pan człowieka nogi — to będzie leżał jak kamień i wcale sobie nie ruszy, odbierz pan od żyda biblie, w co się jego wiara obróci?

— Źle pan dowodzisz, ja o czém inném mówiłem.

— Przepraszam jaszniego pana, — z te gadanie to jest bardzo mały pożytek, bo z piasku nie można chleba upiec, a po drugie, nam nawet nie wypada o takim interesie gadać. My już musimy jechać, my jaszniego pana bardzo dziękujemy za te sto rubli, co pan na nasze biedne ofiarował; — bardzo, bardzo jaszniego pana dziękujemy.

— Zgłoście się kiedy jeszcze—rzekł Stein—w miarę możności zawsze służyć będę.

— Dziękujemy za obietnicę — rzekli wychodząc z pokoju.

Stein został sam. Rozmowa, którą miał z żydami, zajęła go bardzo, pomyśléć nad nią pragnął...

VI.

Była to pora gorąca, czas żniw, najważniejsza chwila dla każdego gospodarstwa. Chociaż od czasu do czasu przepadywały deszcze, jednak ogólnie biorąc, pogoda sprzyjała—i ludzie, korzystając z niéj, uwijali się po zagonach gromadnie, nie bacząc że żar słoneczny piecze im zgięte grzbiety jak rozpaloném żelazem. Chłopi przedewszystkiém z własnemi sprzętami spieszyli, dworom wiec o najemnika było trudno. Co rano ekonomowie i karbowi jeździli po wioskach, starając się o ludzi; przyczém, naturalnie, jak przy każdéj konkurencyi, nie obywało się bez sposobików różnych.

Kwestya robotnika była kwestyą bytu, przepłacano go téż, przepłacano tembardziéj, że i kalendarz astronomiczno-popularno-ziemiański długotrwałe deszcze zapowiadał... więc perspektywa zgnojenia na polu owoców całorocznéj pracy nie uśmiechała się bardzo...

Przezorniejsi o kosiarzy postarali się zawczasu i dojrzewające żyto na „ścianę" kładli, wszyscy zaś żęli całą forsą.

Gdzie jaka żywa dusza była w folwarku musiała na pole pośpieszać, nawet panienki ze dworów do dozoru dążyły, ochraniając od opalenia buziaki... Wozy naładowane ciężkiemi snopami śpieszyły do stodół, nawet spaśnym cugowcom nie przebaczano tym razem

i one musiały pracować, a zwozić snopki co prędzéj bo żniwa to nie żarty. Rolnik w tym czasie kraść musi z pola przed deszczem, którego się wówczas lęka jak ognia.

Stawiano na polach sterty, a że urodzaj w ogóle nie był zły, więc też i stert znalazło się sporo. Wyrastały one jak grzyby po deszczu.

Stein tylko jeden nie bardzo się śpieszył. Pan rządca—agronom zapewniał, że niema czego gwałtować, o robotnika wiele nie dbano, boć przecież świeżuteczkie maszyny, ostatni wyraz mechaniki, stały pod szopą, do obsługi swoi ludzie folwarczni wystarczą. Niech ziarno dojrzeje lepiéj, niech się ostatecznie wykształci, a rezultat będzie lepszy niż wszędzie. Tak zapewniał pan rządca, a dziedzic naturalnie zdaniu wszechstronnie wykształconego agronoma przeczyć nie mógł i nie śmiał. Sam, pomimo że się w książki specyalne wczytywał i wyciągi z nich robił, czuł się jednakże profanem. Ze zdaniem stanowczem odezwać się obawiał, żeby w obec oficyalisty, nad którym pewną wyższość mieć pragnął, nonsensu jakiego nie powiedziéć.

Chłopi dziwili się temu opóźnieniu, przebąkiwali coś o „żydowskiém gospodarstwie" i śmieli się potroszę, ale kwestya ta nie obchodziła ich bliżéj—swojego kłopotu mieli dosyć.

Nareszcie trzy żniwiarki wyruszyły w pole. Prezentowały się bardzo pięknie. Nowiuteńkie, polakierowane świeżo, zaprzężone w doskonałe konie, na pozór obiecywały dużo, lecz mechanizm był w nich skomplikowany nadto, konie przytém za ostre, do roboty powolnéj a ciężkiéj nie przywykłe i trwożliwe — o czem niemiecki agronom zapomniał się zawczasu przekonać, pola były dość kamieniste, dla tego rodzaju maszyn najmniéj sprzyjające.

Z tych powodów, nim jeszcze słońce ku południowi się wzbiło, maszyny uszkodzone musiały z pola ustą-

pić. Zaciągnięto je wprost przed kuźnię, i kowal z mechanikiem niemcem do reperacyi się wzięli.

Jakoś im jednak to nie szło, a przynajmniéj szło o tyle ciężko, że jeszcze na drugi dzień robota skończona nie była. Tymczasem już od południa zaczęły się drobne, jakby wpół przezroczyste chmurki na niebie gromadzić; jedna przypływała do drugiéj, druga do trzeciéj, łączyły się w jednę całość, a przed zachodem słońca cały widnokrąg powlókł się barwą ołowianą, szarą, brudną, i deszcz padać zaczął drobniutki a gęsty.

Był to najszkaradniejszy deszcz ze wszystkich deszczów, tak zwany „kapuśniaczek," co to mży i mży bez końca, bez miary, i niepodobna przewidziéć, czy na trzy dni, czy na dziewięć się zabiera.

Starzy gospodarze utrzymują, że w żniwa zabiera on się zwykle na dziewięć, zwłaszcza gdy równocześnie ze zmianą lunacyi się rozpoczyna.

Stein na widok deszczu skrzywił się, lecz pan rządca pocieszał, że to chmurki przelotne, wiatr je rozpędzi, a wyreperowane maszyny wynagrodzą czas stracony.

Tymczasem przepowiednia ani myślała się sprawdzać. Upłynął jeden dzień, drugi, trzeci, a każdy nieskończenie długi i smutny.

Panna Regina odcięta od ogrodu i lasu, ziewała po kątach, przerzucając machinalnie kurtki jakiejś powieści, ojciec zaś jéj przyznawał w duchu, że nie masz nic głupszego pod słońcem nad wieś, kiedy deszcz pada i kiedy, jak to mówią, nosa za drzwi wychylić nie sposób.

Zamknięty w nizkich ścianach dworku, nowo kreowany obywatel uczuwał w sobie wszelkie zarody angielskiego spleenu i czuł, że się znajduje jakby na wygnaniu, jakby w jakim średniowiecznym klasztorze, na medytacye i rozpamiętywania skazany.

Medytował téż — a przedmiotem jego rozmyślań było pytanie, po co właściwie folwark kupował? na co tyle pieniędzy wydał, po co się wreszcie w téj głuszy wiejskiéj osiedlił?

No—dla idei! Prawda, ale w idee można się bawić jak w kręgle—a i te, gdy niepogoda, przyjemności nie czynią. — Najpiękniejsza idea w teoryi, wydaje się znacznie mniéj ponętną w praktyce.—Pewnik ten stwierdza się na każdym kroku, a w danym razie znajduje aż zawiele na poparcie swoje dowodów.

Wszakże kupił wieś, chciał folwark swój urządzić jak wzorową fermę—no i urządził... Chciał zostać wzorowym agronomem, przyjął doskonałego rządcę i kupił maszyny—jakiż z tego rezultat? Maszyny się psują, mechanik rady sobie z niemi dać nie może, a pieniądze płyną jak woda. Wtém przychodzi jeszcze głupi deszcz i powiada: stój!—Całe gospodarstwo słucha tego rozkazu, a żyto tymczasem zaczyna w najlepsze porastać, pomimo, że przeznaczono je nie na słód, lecz na chleb.

Czegóż więcéj chciał Stein wyjeżdżając na wieś?—Chciał może obywatelem zostać, w życiu społecznem udział jakiś przyjąć?—lecz siedzi tu już przecie miesiąc przeszło, a jeszcze się z sąsiadami nie poznał, jeszcze żadnego objawu życia społecznego nie dostrzegł.

Nareszcie może myślał o tém, że wpływem swoim ucywilizuje, do pewnego stopnia przynajmniéj, zacofanych żydów z miasteczka.

W teoryi nic łatwiejszego! Należy im tylko przemówić dobitnie i przekonywająco do rozumu:

— Kochani współwyznawcy, uczciwszy wasze uszy, jesteście wielce naiwni i postępując tak jak dotąd staliście się przyczyną wielu nieszczęść, tak dla siebie jak i dla ludzi, obok których żyjecie. Konserwatyzm wasz niema sensu, trzymacie się uparcie pewnych form zewnętrznych i przestarzałych zwyczajów, w których za-

schliście jak mumie egipskie. Jesteście poprostu ludźmi średnich wieków. Co wam po takim interesie? jaki procent macie od chałata, żargonu i drobiazgowéj kazuistyki talmudycznéj? Zreformujcie się moi przyjaciele, a będzie wam tak dobrze jak w raju, jeżeli nawet nie lepiéj!

Zdaje się że taki argument powinienby im trafić do przekonania, logika w nim albowiem jest i praktyczna strona wytrzymuje wszelką krytykę.

— W teoryi — tak.

Jak to wygląda w praktyce przekonał się dokładnie, podczas wizyty jaką mu złożyła szanowna deputacya z miasteczka. Na argumenta odpowiedziano sarkazmem, na wywody logiczne stereotypowym frazesem „że tak zawsze buwało.” Tak więc z jednéj strony o deszcz, z drugiéj zaś o obskurantyzm rozbijają się najpiękniejsze idee...

Tak rozmyślał Stein, a deszczyk tymczasem wciąż kropił a kropił, cały horyzont pokrył się barwą ołowianą, szarą, brudną.

Drzewa, krzaki, kwiaty i listki zmokłe, dźwigały na sobie krople wody, dróżki w ogrodzie rozmiękły, przed domem uformowały się kałuże.

I stan taki, pomimo codziennych zapewnień pana rządcy, że pogoda się zmieni, trwał już cały tydzień,— tydzień, którego dzień każdy miesiącem się wydawał.

Nawet poetycznéj pannie Reginie wieś zaczynała się już przykrzyć i młoda osoba, chociaż przed sobą samą tylko, chociaż w wielkim sekrecie, przyznawała jednak, że już ma téj wsi, kwiatów i czystego oddechu natury, aż nadto!

Już sprawdziła to o czem pisali poeci, przekonała się dowodnie, że ptaszki mile śpiewają, kwiatki pachną i strumień szumi, tocząc po kamykach swe kryształowe fale.

To wszystko prawda — myślała — ale oprócz ptaszków, kwiatów i strumyka, potrzeba czegoś więcéj jeszcze... przedewszystkiém zaś potrzeba ludzi.

W Warszawie miała towarzystwo, koleżanki, przyjaciółki nawet, miała niekiedy teatr, koncerty, wreszcie spacer, lub przejażdżkę powozem po cienistym parku łazienkowskim. W braku lepszego zajęcia lubiła siadać na balkonie, lub przy oknie, i przyglądać się téj żywéj fali ruchu ulicznego, téj rzece ekwipaży i ludzi, która ciągle, bez końca prawie, przez ulice miejskie przepływa, zaledwie na kilka godzin tylko w nocy ustając.

I to ją także bawiło.

Bywała z ojcem w bogatych salonach plutokracyi, gdzie uroda jéj robiła wrażenie i niejedna czarna głowa, o kręconych nieco włosach, schylała się przed nią.

Tu na wsi odrazu wszystko ustało. Ani koleżanek, ani koncertu, teatru, towarzystwa, lub choćby wreszcie ruchu ulicznego. Jeszcze pół biedy gdy pogoda, gdy słońce świeci, ale ten deszcz, ten deszcz fatalny!

Pannie Reginie zdaje się, że ją jakaś wróżka, czarodziejskim sposobem osadziła na bezludnéj wyspie i skazała na dożywotnie więzienie.

Nie mając wypowiedzieć przed kim swych smutków, nieśmiało weszła do gabinetu ojca.

Stein w wygodnym fotelu rozparty, ziewał na potęgę.

Córka wchodząc, również tłumiła ziewanie.

Zrozumieli się odrazu.

— Nieźle bawimy się tutaj — rzekł ojciec.

— Hm... nie powiem żeby zbyt wesoło — odpowiedziała córka.

— Widzisz, bo... deszcz.

— Niestety, już od tygodnia nic innego nie widzę...

— Rządca powiada...

— Słyszałam to już przez sześć wieczorów z rzędu.

— Ależ, przecież kiedyś to ustanie, nie przypuszczam możności drugiego potopu.

— Zapewne... ale, proszę papy, co nam to będzie szkodziło, gdy wyobrazimy sobie, że już ten szkaradny deszcz ustał?

— A co nam z tego przyjdzie?—zapytał—czy to pomoże mi co na gnijące żyto w polu?

— Na żyto — nie, ale...

— Więc?

— Ale będziemy mogli mówić o pogodzie, jako o fakcie spełnionym.

— Nie rozumiem cię...

— Wytłumaczę. Czy papa pozwoli mi usiąść i zechce poświęcić dla mnie kwadrans czasu?

— Ależ co za pytanie?! owszem proszę cię, siadaj i mów, słucham cię.

— A zatem przypuszczamy, że jest w tej chwili najśliczniejsza pogoda, i że już trwa od sześciu tygodni...

— Cóż nam z tego?

— Nic—ale przypuśćmy że tak jest, otóż pozwoli papa zapytać co będziemy robili? Proszę mi odpowiedzieć na pytanie: co my tu podczas najpiękniejszéj pogody będziemy robili?

— Nie wiem — odpowiedział wymijająco Stein — zobaczylibyśmy przecież.

— Ja zaś wiem, proszę papy...

— Cóż ty wiesz?

— Wiem to, że jak podczas tego fatalnego deszczu nudzimy się śmiertelnie w czterech ścianach pokoju, tak podczas pogody nudzilibyśmy się również fatalnie na świeżem powietrzu...

— Wiesz co, Reginko, że jak w tym razie twoje

przypuszczenie nie pozbawione jest pewnéj dozy trafnéj obserwacyi. .

— Pochlebiam sobie, że jestem twoją rodzoną córką, papo.

— No—tak, i winszuję sobie tego, ale wracając do kwestyi—do czego twoja rozmowa prowadzi?

— Do jednego tylko zapytania, proszę papy.



— Niezłe bawimy się tutaj — rzekł ojciec. (Str. 185.)

— Mianowicie...

— Po co myśmy tu przyjechali właściwie?

— Jak to po co? cóż to za pytanie?

— Bardzo proste — w jakim celu?

— No... żeby na wsi mieszkać, gospodarować... wreszcie to daje przecież jakieś stanowisko.

Panna Regina ramionami ruszyła.

— Ja nie znam się na tem — rzekła — przyjmuję więc oświadczenie papy do wiadomości, dodając od siebie nawiasowo, że tu są śmiertelne nudy...

— Po części masz słuszność — ale w obec przedsięwziętych zamiarów, w obec tylu poniesionych nakładów, niepodobna się przecież tak wycofać odrazu... Powiedzieliby żeśmy uciekli...

— Nie znam się na tem — rzekła z grymasem.

— Ale, moje dziecko — odpowiedział nie bez pewnego rozdrażnienia Stein—czegóż ty właściwie chcesz?

— Nic. Pragnęłabym się dowiedzieć, czy tu w tej okolicy, oprócz chłopów, bab, bosych dzieci, głupiego Berka, i tych obrzydliwych żydów z miasteczka, niema jeszcze innych ludzi?

— Dlaczego mówisz obrzydliwych, przecież to, bądź co bądź, nasi bracia...

— Nie przeczę — ale to są bracia strasznie brudni.

— Właśnie naszem zadaniem jest tych brudnych cywilizować.

— Nie moja to rzecz — ale zdaje mi się, że papa wspominał mi o pierwszej, nader niefortunnej podobno, próbie pod tym względem.

Stein rzekł po namyśle.

— No... widzisz, początek zawsze jest trudny.

— Być może że uda się papie odrobić to, co jak nas uczą, tysiące lat robiły... winszuję z góry tryumfu.—Co do mnie, przyznaję, że nie podjęłabym się tej misyi — ale wracam do mego pytania, czy tu więc w okolicy niema innych cywilizowanych ludzi?

— O, są...

— Dlaczegóż więc ich nie poznajemy, nie zawiążemy z nimi stosunków?

— Przyjdzie czas i na to. Będę się starał, gdyż to było również moim zamiarem — tymczasem, moje dziecko, zostaw mnie samego, muszę się z rządcą rozmówić—później, wieczorem, będę ci służył do rozmowy.

Panna Regina zrobiła grymas mający niezadowolenie oznaczać i, ani słowa nie rzekłszy, wyszła z pokoju.

Co prawda, Stein pozoru tylko szukał, żeby przerwać rozmowę, która przyjemną dla niego nie była. Z rządcą rozmawiać wcale nie miał zamiaru, lecz córeczka zrozumiawszy delikatną odprawę, postanowiła również delikatnie odpłacić pięknem za nadobne i nie miała nic pilniejszego do zrobienia, jak natychmiast posłać służącego po rządcę.

Nie upłynęło dziesięć minut, a gruby niemiec wszedł do gabinetu.

Stein skrzywił się na swego plenipotenta po raz pierwszy.

— Ach! to pan — rzekł po niemiecku.

— Byłem wołany—odpowiedział rządca—barometr idzie w górę.

— To prawda, on idzie w górę, zupełnie tak samo jak nasze gospodarstwo!

Niemiec spojrzał na pryncypała nie bez pewnego zdumienia, dotychczas bowiem Stein wierzył mu zupełnie i nigdy działalności jego nie krytykował.

— Mnie się zdaje — rzekł rządca — że co do tego czy majątek pański idzie w górę, czy nie, może wypowiedzieć zdanie jedynie człowiek kompetentny.

— Sądzisz pan zatem, że ja się na tém nie znam?

— Ja nic nie sądzę — ale wiem to napewno, że kompetencyi w tym względzie panu brak.

— Żałuję mocno, że nie kończyłem jakiéj wyższéj akademii rolniczéj — gdyż w takim razie wiedziałbym, że cały nasz sprzęt tegoroczny gnijący obecnie na polach znakomicie podnosi nam dochód i gospodarstwo...

Niemiec wargi przygryzł.

— Ja wiem—rzekł—jak gospodarować na ziemi— co się tyczy nieba, to raczy pan przyjąć innego plenipotenta, żeby deszczami i pogodą kierował.

— Jednak w sąsiedztwie już żyta sprzątnięto.

— To nie dowód; głupie, barbarzyńskie gospodarstwo! Zielone zboże zwieźli do stodół i cieszą się, że cóś mają; zobaczymy późniéj jaka będzie waga tego mokrego zboża!

— O bezwątpienia, zobaczymy proces gnicia zboża na polu.

Niemiec znów wargi przykrzył, Stein szykanował go daléj. Co prawda, już mu się wydatki trochę przykrzyć zaczęły, już go nudziła wieś — a przytém deszcz ciągły, wreszcie rozmowa z córką, wprowadziły go w najfatalniejszy humor.

Niemiec sam nie wiedział co myśléć o tak nagłéj zmianie.

— Więc pan nie przyznajesz mi kompetencyi nawet w tym wypadku, na którym się pozna lada chłop ze wsi?

— Co to ma do kompetencyi? — deszcz pada, cóż wielkiego! co rok tak bywa przecie, przepada, obeschnie i znów będzie pogoda, — ja nie wiem o co panu właściwie idzie? Niech pan krytykuje podstawowe rzeczy, grunt gospodarstwa, i owszem, bardzo proszę, jeżeli...

— Jeżeli znam się na tém? chciałeś pan powiedziéć.

— No... zapewne.

— Otóż ja przyznaję, że się nie znam na tém, i w to się wdawać nie będę—ale jest inna specyalność, w któréj mi pan prawdopodobnie nie zaprzeczysz pewnéj kompetencyi?

— O cóż idzie?

— Tą specyalnością jest rachunkowa strona przedsiębierstwa. Trzeba panu wiedziéć, że cyfry to moja wrodzona słabość; z buchalteryą, z księgami obchodzić się umiem doskonale, i mogę pana zapewnić, że pod tym względem nie ustąpię żadnemu najbardziéj nawet specyalnemu agronomowi...

— Cóż więc pan żąda?

— O małą rzecz mi idzie, niech pan tylko będzie łaskaw, każe przynieść tu książki i zrobimy na poczekaniu maleńki bilansik; przekonam pana że umiem rachować i że właśnie pańska specyalność—dopiéro w świetle mojéj specyalności, wydać się będzie mogła jak należy.

— Ach, pan już zysków chce szukać?! W gospodarstwie to nie zaraz; ziemia to nie bankierska operacya, codzień przynosząca zarobek!

— Ta uwaga nie jest na miejscu, moj panie—odezwał się Stein ostro—ja pana proszę przynieść rachunki, a co daléj będzie, zobaczymy.

Rządca wyszedł mrucząc coś pod nosem i niebawem powrócił niosąc z sobą pęk książek, papierów różnych i listów. Zamknęli się w gabinecie i Stein rozpoczął wertowanie rachunków i przeglądanie wykazów. W miarę rozczytywania się w tych dowodach, twarz mu się przeciągać zaczęła.

Konferencya trwała dość długo, była ona ożywiona bardzo, prawie gwałtowna. Skończyła się na tém, że po kilku godzinach rządca wybiegł jak oparzony z pokoju, trzasnął drzwiami, aż się szyby zatrzęsły i zawołał.

— Ach, verfluchter Jude!!

Usłyszawszy niezwykły łoskot, pana Regina wbiegła do pokoju ojca.

— Co się tu stało?—spytała trwożnie.

— Nic, nic,—odrzekł Stein—tylko pan rządca ma nas dzisiaj opuścić, i widocznie tak z żalu, zamknął głośno drzwi za sobą. Obliczaliśmy właśnie co kosztuje sielanka i, wiész co kochanie, że nie należy ona do tanich przyjemności.

VII.

Kiedy po dwutygodniowym deszczu, słońce namyśliło się nareszcie i wyjrzało z za chmur, które się już rozpraszać zaczęły, żyto Steina było jak najpiękniéj porośnięte i zgnojone. Pan rządca już swe stanowisko opuścił i w sąsiedniém mieście osiadłszy, chodził od prawnika do prawnika, z zamiarem wytoczenia byłemu pracodawcy swemu procesu o stracone korzyści z powodu zerwania kontraktu.

Szkód, strat, jakie z tego powodu poniósł, wypisał całą litanię, a gdyby mu chociaż połowę tych pretensyj jakie sobie rościł, przysądzono, to mógłby bezpiecznie jaki taki folwarczek za ten kapitalik kupić.

Stein niepomiernie zdumiony został, otrzymawszy naraz dwa wezwania do sądu, pierwsze w większéj sprawie cywilnéj, o wynagrodzenie krzywd rządcy uczynionych, drugie do sądu gminnego o obelgi słowne wyrządzone temuż rządcy.

Na domiar złego, dwa najpiękniejsze woły objadły się świeżéj koniczyny i zdechły, koń paradyer złamał nogę na mostku, a do zebrania zrośniętego żyta ludzi nie można było dostać.

Sielanka zaczynała się przykrzyć. Należało jednak, bądź co bądź, przez jakiś czas przynajmniéj majątek przetrzymać i późniéj z honorem się wycofać.

Nagląca była również rata towarzystwa kredytowego, zaległe podatki skarbowe i gminne — oraz jakiś wierzyciel wymówił sumę hypoteczną i żądał wypłaty.

Wprawdzie Stein do ludzi zamożnych się liczył — ale w téj chwili ruchomego kapitału, gotowizny tyle nie posiadał. Załatwił większe interesa, towarzystwo, nagłego wierzyciela zaspokoił — a na drobniejsze potrzeby chwilowo funduszów mu zabrakło. Trzeba było dostać natychmiast i w tym celu posłano po Berka.

Berek był szczególnie jakoś uśmiechnięty.

— Winszuje jasznie pana—rzekł—bardzo winszuję.

— Czego u dyabła?

— Teraz jasznie pan będzie miał pełne gębie echt szlacheckiego smaku, teraz jasznie pan zacznie sobie oglądać jaki ten wieś jest przyjemny.

Stein przerwał.

— Mój Berku — rzekł — ja potrzebuję pieniędzy pilno.

— Pfe! jasznie pan sobie kpi chyba od Berka.

— Ale mówię bez żartów, że potrzebuję, i to dziś, zaraz, bo akurat gotówki niemam w domu.

— A wiele panu potrzeba?

— Bagatelka — tysiąc rubli.

Berek aż podskoczył.

— Aj waj... dus ys a siajne bagatelke! cały dziesięć sto rubli!

— Cóż cię tak przeraża?

— Nie wiem czy u wszystkie nasze żydy, żeby ich złożył do kupe, może się zdobywać taki majątek!

— Nie gadaj długo — rzekł Stein stanowczo,—tylko siadaj na moją bryczkę i jedź, żebym dziś pieniądze miał... No — krótko mówiąc, podejmujesz się czy nie? bo jeżeli nie — to sobie inaczéj poradzę.

Berek podrapał się w głowę.

— Ny siojn — za dwa godziny, tylko...

— Co?

— Tylko, przepraszam jasznie pana, to będzie drogo kosztowało.

— Niech kosztuje jak chce, tylko jedź zaraz i nie gadaj długo.

— Ny, ny — rzekł Berek wychodząc, a w sieni dodał półgłosem...

— Dus yst a siajne początek, bałd er wird a echter ślachcic zajn... sy git!...

W pięć minut potém ładna bryczka polowa, zaprzężona we dwa tęgie kasztany, unosiła Berka ku miasteczku.

Stein z niecierpliwością powrotu pachciarza wyglądał, chociaż prawie pewnym był, że ten z próżnemi rękami nie wróci...

Jakoż przewidywania sprawdziły się, gdyż Berek po kilku godzinach przyjechał, nietylko że nie z próżnemi rękami, lecz nawet z dość liczném towarzystwem; przywiózł albowiem z sobą czterech wielkich kupców zbożowych, którzy wspólnemi siłami chcieli panu dziedzicowi w potrzebie wygodzić.

Berek należał również w małéj cząstce do owéj spółki, ale się z tém nie wydawał. — On tylko przez grzeczność działał, jak tamci przez wrodzoną dobroć serca.

W pierwszéj chwili, gdy zmiarkował na jakich warunkach może żądaną sumę otrzymać, Stein miał wielką ochotę wszystkich pięciu razem wyrzucić za drzwi. Rozmyślił się jednak.

Wściekając się w duszy, widział, że jest w téj chwili w położeniu bez wyjścia, i że pozostaje na łasce i niełasce tych panów.

W Warszawie potrzebował także nieraz kredytu, wystawiał i dyskontował weksle, bez targów, krzyków,

bez ceremonii i gawęd niepotrzebnych, tu zaś był badany jak na najściślejszém śledztwie. Gdy trzech gadało, i przysięgało się na wszystkie świętości, że na proponowanym interesie tracą, że oddają ostatni grosz, tylko przez dobroć i życzliwość; dwaj pozostali mieli już czas oblecieć cały folwark, zajrzeć do każdéj obory, stajni, budynku, i ocenić okiem biegłych znawców wszystko, co tylko mogło mieć jakąś choćby najmniejszą wartość nawet.

Stein wyobrażenia nie miał o takich stosunkach kredytowych i o kosztach bajecznych, jakie ten uproszony kredyt za sobą pociąga.

Wszystkie argumentacye i dowodzenia nic nie pomogły, bo panowie kupcy, doskonale poinformowani przez Berka, że pieniądze są zaraz potrzebne, pragnęli, o ile można wyzyskać sytuacyę, i ani jednego grosza ustąpić nie chcieli.

Dobre dwie godziny trwał targ, aż nareszcie, z czterech brudnych pugilaresów dobyto pieniędzy, Stein kontrakt na sprzedaż zboża podpisał, i interes niby to został ukończony, chociaż właściwie zaczął się dopiero...

Każdy z czterech wspólników wnosił prośbę o zaopatrzenie jego śpiżarni, o prezencik dla delikatnych dzieci, potrzeba im było kilka ćwiartek zboża, drzewa na opał, okowity na szabas, oświadczyli również że nie pogardzą drobiem, owocami, a nawet warzywem z ogrodu. Dowodzili, że żaden prawdziwy obywatel nie pozwoli żydkowi odjechać z folwarku z próżnemi rękami.

Zmęczony i zdenerwowany do najwyższego stopnia tém całém przejściem, Stein natychmiast kazał zaprządz do drabiniastego wozu, aby jak najprędzéj pozbyć się szanownych gości.

Żydzi z miasteczka wywieźli na drabiniastym wozie, oprócz wszelkiéj prowizyi — i humor Steina także

Panna Regina poszła trochę do ogrodu, przypatrzeć się ukąpanéj w długotrwałym deszczu przyrodzie,

która, prawdę powiedziawszy, zaczynała już ją nudzić na dobre, sam zaś pan domu udał się do swego gabinetu, zasiadł w fotelu i pogrążył się w niewesołych dumaniach.

Na biurku leżały świeżo z poczty przywiezione gazety i listy.

Z nudów, a może chcąc myśli nieco rozerwać, Stein wziął się do przerzucania świeżo nadeszłych z Warszawy dzienników. Rzucił okiem na nowinki miejskie, na depesze polityczne, aż wzrok jego zatrzymał się na ciężkim artykule wstępnym, w którym jakiś bezimienny autor zastanawiał się nad brakiem kredytu rolnego i uciążliwością stosunków z małomiasteczkowymi kapitalistami.

Dawniéj nie lubił Stein takich artykułów czytywać, a gdy zdarzyło się, że w towarzystwie była o nich mowa, ruszał pogardliwie ramionami, lub téż odzywał się o ich autorach z politowaniem, że nie mają najmniejszego wyobrażenia o potrzebach kraju, i że występując w sprawie podobnéj przeciw pacanowskim Rotszyldom, kierują się tendencyjną stronnością.

Kilkakrotnie nawet, zdarzyło mu się ze znajomymi dziennikarzami prowadzić dość zarliwe na ten temat dysputy.

Dziś jednakże, dostrzegłszy artykuł w kwestyi kredytu, którego sam w téj chwili potrzebował, zaczął czytać gazetę powoli i uważnie.

Przeczytał do samego końca, i znowuż po raz drugi czytać zaczął, na twarzy jego malowało się zniecierpliwienie i gniew.

Nareszcie, szybkim ruchem ręki zmiął gazetę, rzucił ją na podłogę i zdeptał nogami.

— Co to? co się stało, ojcze? — zapytała panna Regina, która właśnie w téj chwili do gabinetu weszła.

— Nic się nie stało właściwie, tylko zżymam się na samą myśl, że ci ludzie, których zadaniem przecież

jest służenie interesom krajowym, nie mają o przedmiocie najmniejszego wyobrażenia!!

— Ale jacy ludzie? o kim ojciec mówi?

— A ci — ci panowie, jak ich tam nazywają, dziennikarze, ci — fabrykanci gazet!

— Być może — ale o co właśnie idzie ojcu?

— O kredyt rolny.

— Hm — nie znam się na tém.

— Wyobraź że sobie, ci panowie dowodzą, że kredyt rolny jest w ciężkich warunkach...

— Być może...

— Ha! ha! być może!... w ciężkich! — zabawna delikatność! Ten kredyt jest w warunkach barbarzyńskich! niemożliwych, niegodnych kraju, który ma pretensyę żeby go za cywilizowany uważano.

— Z jakiego powodu tak się unosisz, ojcze?

— Bom zły, bom wściekły, bom się przekonał osobiście co to jest ten „nieco uciążliwy kredyt”...

— Ojciec się przekonał? kiedy?

— Dziś—niedawno—widziałaś zapewne tych czterech naszych współwyznawców, których przywiózł z miasteczka Berek.

— Widziałam.

— Otóż ci panowie przed kilkoma godzinami stali się wierzycielami moimi.

— Czyż ojciec potrzebuje kredytu od nich? oni sami mają miny żebraków!

— Dość, że potrzebowałem niewielkiego kredytu, i obdarli mnie tak, że wyobrażenia o tém nigdy nie miałem i mieć nie mogłem.

— Ileż im ojciec zapłacił za to procentu?

— Ile?... nie, moje dziecko — ile? tego ani tobie, ani nikomu na świecie nie mógłbym powiedzieć.

— Dlaczego?

— Wstydziłbym się poprostu...

VIII.

Przeszedł czas żniw, na polach nie było nic już prawie, tylko gdzieniegdzie jeszcze koszono tatarkę, i kartoflane łęciny poczerniałe, zwiędłe, sterczały nad ziemią.

Siewy jesienne już rozpoczynano; na polach uwijały się brony i ludzie śpieszyli z robotą, bo ranki coraz chłodniejsze zdawały się ostrą jesień i wczesną zimę zapowiadać.

Nowy dziedzic z biedą i z wielkim trudem zgromadził swe zboże w stodołach. Bardzo ładna, jeszcze przez rządcę niemca kupiona młocarnia, warczała przez dzień cały, żeby ziarna do siewu namłócić, ale ziarno to było nędzne i liche, poczerniałe na deszczach.

Po wykwintnym agronomie, który tylko pieniądze na gospodarstwo wydawać umiał, ale gospodarować wcale nie potrafił, przyjętym został jakiś ekonom z pod ciemnéj gwiazdy, pijak, nigdzie miejsca zagrzać nie mogący, rutynista ostatniego gatunku, któremu się zdawało, że bez krzyku i wrzasku gospodarować na tym biednym padole płaczu nie można.

Stein przyjąć go musiał, bo innego kandydata w owéj chwili nie było, i trzymał też go w nadziei, że wynajdzie później jakiegoś odpowiedniego człowieka.

Szpagaciński nazywał się ten „rządca.”

Rano, chociaż nie codzień, można się z nim było jeszcze jako tako rozmówić — o dziesiątéj zaś był już porządnie pijany, a potém tylko ciągle, do samego wieczora, dolewał, a im dolewał więcéj, tém krzyczał głośniéj i gospodarował, według swego rozumienia, lepiéj.

I teraz, chociaż jest dopiero ósma rano, czcigodny pan Szpagaciński już niebardzo pewnym krokiem zdąża do dworu.

Ubrany w ogromne buty, popielaty kitel, mając na głowie słomiany, duży kapelusz, idzie zamaszysto, chociaż nogi zbaczają ciągle z prostego kierunku.

Dziedzic właśnie na tę chwilę z domu wychodzi i spotykają się na dziedzińcu.

Szpagaciński kłania się, nie bez pewnéj junackiéj galanteryi.

— Dzień dobry panu — rzecze Stein.

— A żeby go najsiarczystsze pioruny z taką dobrością!!

— No, no, cóż tam nowego, czegóż pan tak klniesz?

— Czego? ha, proszę pana dziedzica, tu janiołby się chyba wściekł czterdzieści cztery razy, przy takiém gospodarstwie pieskiem!

— Czegoby on miał się wściec? po co pan takie rzeczy gadasz, mój panie?

— A bo co? gadam i już! Toż tu sochy porządnéj kawałka niema! ale mniejsza o to; wyprawiłem rolę jakiemiś dyabłami niemieckiemi, co tam leżą pod szopą i co niewiadomo czy do nich bydlę za łeb, czy, za pozwoleniem, za ogon przyprzęgać? tera czas siać, a tu z pod maszyny lecą same paździory, śmiecie, tfy! do marności z takiem gospodarstwem! toż u lada chłopa porządniéj niż u nas!

— Lecz co pan chcesz właściwie? tłumacz się pan jaśniéj.

— To też jasno gadam, żeby to ogniste jasności zapaliły! Chcę zboże siać, żyto i pszenicę, a przecież śmieci trudno w rolę rzucać, bo jak zasiejemy śmiecie, to będziemy zbierali... nawet sam nie wiem co będziemy, z przeproszeniem, zbierali, do milion kroć zajęcy!...

— Cóż mi pan mówisz?... przecież mamy swoje zboże...

— Niechże też pan dziedzic pójdzie sam do stodoły i obaczy co mamy. Nawet parobcy na ordynaryę tego nie zechcą, bo Bogiem a prawdą—nie przymierzając, insza świnia, chociaż i świnia, to lepszego pośladu dostanie, niż to u nas celne ziarno! Żeby temu śwabowi wszystkie ćtyry nogi połamało, z jego rządcostwem, jak on nam tu niemieckie żniwa wyprawił, że się tylko szelmy chłopy po chałupach śmieją, aż w nich leluty trzeszczą z uciechy!

— No, ale pan gadasz tylko, mój panie, i klniesz, a to nam nic a nic nie pomoże, trzeba przecież coś radzić.

— Tu, proszę pana, rada krótka — a co się tyczy mego klnięcia, to żeby się człowiek nie wypomstował — nie nakrzyczał, to by się w nim żółć całkiem zapiekła i wszystkie humory by mu w wątrobę wleźli, do starego psa!

— Panie Szpagaciński, gadajże pan raz nareszcie spokojnie, jak człowiek, i bez przekleństw.

— Niech mi ozór skręci, niech mi tak gęba spuchnie jak obora, jeżeli marne słowo powiem... Krótka rada, sto dwadzieścia korcy wysiewu, sto dwadzieścia korcy zboża kupić, i po krzyku, i żebym pękł na dwoje, tak drugiego sposobu nawet sam stary dyabeł nie wymyśli.

— Sto dwadzieścia!?

— Jak orzech zgryzł, panie, sto dwadzieścia, inak ani rusz; ale jak naszem ziarnem siać będziemy to szkoda roboty, grunt się tylko próżno zapaskudzi — dudka

na kościele wygramy... żebym tak w ziemię wrósł po same kolana.

— Zkądże wziąć teraz?

— A Berek? od czego ten z przeproszeniem, niedowiarek, tu siedzi? Zara bym go tknął w biedkę jak czop w beczkę i niech lata po świecie za zbożem! Letki szelma jest, nie narobił się, to niech lata po folwarkach. Posłać go, panie, niech bestya jedzie na złamanie karku, i skutek!

Stein nie słuchał już dalej, powrócił do domu i zaraz po Berka posłał.

Usłużny przedtém aż do zbytku pachciarz, tym razem jednak odpowiedział, że czasu niema, że dopiero za godzinę przyjść może.

Wiedział on dobrze, że sytuacya się zmieniła, przedtém on sam prosił, żeby usługi jego przyjęto, dziś jego proszą o nie.

Do pewnego stopnia był już panem sytuacyi.

Kwestya z kupnem nasienia była ułożona z góry i, co prawda, Berek szedł teraz grać rolę aktora, w sztuce, której był rzeczywistym autorem i reżyserem zarazem.

Jakkolwiek zboże zebrane było fatalnie, niemniéj jednak po oczyszczeniu dokładném, na siew chociaż w części mogło się przydać, ale imć pan Berek, poznawszy słabość Szpagacińskiego do kminkówki, tym niekosztownym środkiem zyskał w nim sobie bezwiednego sprzymierzeńca.

Szpagaciński tedy zapomocą wszystkich dyabłów i piorunów, wytłumaczył dziedzicowi, że zboże nie zda się na nic, i że trzeba do siewu kupić koniecznie inne ziarno. Naturalnie, któżby się mógł zająć takim sprawunkiem lepiéj niż Berek?

On swego dziedzica tak pokochał, że każdą ofiarę dlań poniesie; każdego poświęcenia dokona, byle mu tylko w potrzebie dopomódz. Już raz ułatwił mu kre-

dyt, teraz ułatwi mu kupno tyle potrzebnego do siewu ziarna.

Stein wprawdzie chwilowo, bo w gospodarstwie te chwilowości bardzo często bywają, niema gotówki, lecz Berek znajdzie radę i na to. Berek ma sam trochę pieniędzy, pożyczy sobie od brata, ojca, wujaszka, szwagra, czterech ciotek, od wszystkich krewnych, zastawi nawet perły swéj żony i drogocenne klejnoty rodzinne, ale pieniędzy, część przynajmniéj dostanie, bo już to jest jego wrodzona ambicya i najdrażliwszy punkt honoru, aby każdy interes jaki tylko zacznie, koniecznie przyprowadził do skutku.

Przytém od czegóż kombinacya handlowa? Jest więcéj niż sto korcy wymłóconego zboża, więc to Berek kupi. Wprawdzie Stein upiera się przy cenie warszawskiéj, ale ostatecznie Berek przekonywa go, że na cenę warszawską sprzedaje się tylko zboże, nie zaś jak słusznie Szpagaciński powiedział, śmiecie, do niczego niezdatne.

Że niezdatne to przecież wiadomo, i takie brzydkie ziarno może sprzedać tylko i wyłącznie Berek, jako mający stosunek z liwerantami, którzy w wielkich masach zboża celnego zdołają i tę lichotę jakimś cudownym sposobem przeszwarcować.

Po bardzo długim i ożywionym targu, Berek nabywa tę partyę zboża, niżéj o trzecią część wartości, i przysięga się na żonę, dzieci, sumienie i szczęście do handlu, że robi kolosalne głupstwo.

Szpagaciński obecny chwilowo przy téj tranzakcyi, gdyż go zawołano po jakieś objaśnienie, patrzy na Berka takim wzrokiem jakby chciał powiedzieć:

— Patrzcie! ten żyd chyba zwaryował!

Ostatecznie Berek jest ryzykant, macha z rezygnacyą ręką i powiada:

— Niech ja stracę!

Szpagaciński otrzymuje dyspozycyę, wedle któréj, nazajutrz rano, skoro świt, wydać ma Berkowi ze śpichrza na jego furmanki, ośmdziesiąt korcy żyta i czterdzieści korcy pszenicy, stanowiące właśnie przedmiot świeżo zawartéj tranzakcyi.

To wszakże jest dopiero połowa interesu. Następuje teraz druga, ważniejsza, idzie o zboże do siewu. Trzeba je kupić, kupić dobrze i prędko, a głównie prędko, gdyż czas już wielki i nie można siewu opóźniać.

Berek nie potrzebuje nawet wielkiéj elokwencyi aby przekonać Steina, że bylejakim ziarnem siać nie można i że trzeba się postarać o wyborowy gatunek.

Rzecz to przecież wiadoma. Berek radzi téż żeby zamiast zwykłego zboża, zasiać coś fajn, to się już w drugim roku sowicie opłaci. Wprawdzie kosztować to będzie nieco drożéj, ale korzyści są zbyt widoczne, żeby się przed różnicą ceny cofać.

Sam zresztą Stein czytając książki i pisma rolnicze, spotykał się ze zdaniem, że z dobrego siewu bywają dobre sprzęty.

Idzie więc tylko o kwestyę wyboru ziarna.

Wezwany jest do rady Szpagaciński, który głosuje w ten sposób:

— Żebym tak do domu trzeźwy nie doszedł, jak ze wszystkich żytów, jakie kiedykolwiek w mojém życiu siewałem, nie jest najlepsze anyżowe... tfy! do ciężkiego licha, chciałem powiedzieć probśtein.

— Aj waj! zawołał Berek radośnie—ja tu wiem co w jedne miejsce jest takiego probśtajn, co jak un wyrośnie, toby się z niego nawet wielki kozak z kuniem i pikiem schował, ziarnka uno ma tak duże jak bober, a mąka to z niego taka biała, że na najpiękniejszy kugiel zdać się może. Szlachcic trochę się droży z takiém cenném ziarnem, nawet nie lubi go sprzedawać, żeby się taka rarytna rzecz nie rozmożyła bardzo w okolicy, no—ale od czego Berek? Ten zawzięty szlachcic niko-

mu nie sprzeda, ale Berkowi sprzeda; Berek u niego ma łaski!

Szpagaciński przytwierdza, że istotnie tamten szlachcic ma taki probstein, jakiego nawet sam lucyper w piekle nie widział i nie zobaczy...

Co do pszenicy, Szpagaciński rekomenduje kostromkę.

I to Berek znajdzie, wprawdzie nie bez trudności, ale znajdzie, tembardziéj, że Szpagaciński twierdzi, że kostromka na tych właśnie gruntach osobliwie się może udać.

Nie ulega już żadnéj wątpliwości, że obsiawszy grunta takiém ziarnem, można się spodziewać zbiorów, o jakich ucho ludzkie nie słyszało—i że niepowodzenie jakie Stein w początkach swego gospodarstwa napotkał, zostanie z sowitym procentem wynagrodzone.

Ponieważ czas jest naglący, więc Berek puszcza się w podróż za zbożem, na noc całą, kupione zaś śmiecie odmierzy i odważy jutro raniuteczko sam Szpagaciński. Wprawdzie Berka zastępować będzie przy téj czynności Berkowa, lecz to nie dlatego, żeby oboje małżonkowie nie mieli wierzyć w rzetelność miary i wagi dworskiéj, lecz jedynie dla formy, a po części także z tego względu, aby Szpagaciński, zbytecznie troskliwy o dobro swego chlebodawcy, nie strychował zanadto zboża i nie krzywdził tym sposobem rodziny, która ulokowała w niem cały swój kapitał.

Tak postanowiono i tak akuratnie ma się zrobić. Berek i Szpagaciński opuszczają gabinet pana dziedzica i idą, aby furmanki na jutro zamówić i wszystko co potrzeba przygotować.

Szpagaciński łyka ślinkę na samą myśl, że po dzisiejszéj tranzakcyi, nie kieliszkiem, ale baryłką całą chyba uczęstowany zostanie.

Stein nareszcie zostawszy sam w pokoju, spogląda

przypadkowo w lustro i widzi, że w pół roku niespełna bardzo znacznie osiwiał.

Trudno—kto ma folwark, ten i dochody z niego ciągnąć musi...

Nie powiem, żeby ów dochód w postaci posiwiałych włosów miał bardzo cieszyć nowego dziedzica; rozmyślał też o swoich kłopotach przez noc całą i w duchu przyznawał racyę Berkowi co do swego „echt szlacheckiego smaku w gębie.”

Nad ranem dopiero, Stein, zmęczony przez bezsenność, zgnębiony na duchu, zasnął mocno — i skutkiem tego nie mógł widzieć, jak Szpagaciński z Berkową mierzyli sprzedane wczoraj zboże, na które kilkanaście furmanek oczekiwało.

Uprzejma i nadzwyczaj gościnna Berkowa tak umiała wpłynąć na poczciwego Szpagacińskiego, że ten był od bardzo wczesnéj godziny, w brylantowym humorze, klął krociami dyabłów, poruszał Lucypera i całe piekło, a tak serdecznie zboże odmierzał, że Berkowa nie mogła się dość rzetelności jego nachwalić.

— Ny, ny, — mówiła — sprawiedliwe miare to się rzadko między ludźmi przydybuje, ja zawsze mówiłam co pan Szpagaciński jest bardzo honorowe osobe i co un nie umie tak paskudnie strychować jak te drugie łajdaki, co za każdém strychowaniem dwie kwarty ze ćwiartki muszą wyrzucić!

— Ma się rozumiéć — odpowiadał Szpagaciński— u mnie, do milion kroć sto tysięcy! co miara to wiara! co ja mam kogo krzywdzić na głupią ćwierć zboża? Niech je jasności ogarną. Inszy pies, to pies, leży na wiązce siana jak pies, sam nie zje i koniowi nie da, a ja duszy gubić nie chcę, i sam wypiję i komu dam, a choć się namierzy parę korcy więcéj, to dziedzica téż dyabli nie wezmą! Pieniędzy u niego jak u żyda. Co? prawda, pani Berkowa?

— Oj, oj, żeby ja to miała w moim handlu co u niego nie jest pieniędzy, to ja bym była najbogatsza kupczyna w całe nasze okoliczność, jabym sobie pytała co całe wiesz kosztuje.

Odmierzono zboże, worki włożono na fury i szereg chłopskich wózków pociągnął po piasczystym gościńcu.

W lesie, niedaleko od granicy Stasina, stała karczma zwana Wygnanką. W karczmie téj mieszkał arendarz Lejzor, blizki kuzyn Berka. Trudnił się on interesami i spekulacyami różnemi. Nieszczególnie mówiono o nim w okolicy, utrzymywano nawet, że handluje końmi wątpliwego pochodzenia, ale Lejzor na te plotki nie zważał, geszefciki prowadził wytrwale i z każdym rokiem zakres swych operacyj rozszerzał.

Handlował wszystkiém, co mu się kupić trafiło, a że o pochodzenie towaru nie pytał, więc téż miał stałych dostawców, którzy nigdy jego karczemki nie mijali. W nocy szczególniéj ruch tam był znaczny. Różni interesanci przyjeżdżali, wyjeżdżali, a szanowny pan Lejzor miał dla każdego słowo grzeczne, lub mądre, stosownie do okoliczności.

Furmanki ze zbożem stasińskiem właśnie do Wygnanki przybyły i zatrzymały się przed karczemką, z któréj wyszedł Berek Szczupak w towarzystwie Lejzora.

— Moje kochane chłopcy—rzekł słodziutko Berek—choć byliśta zgodzone do samego miasta, ale ja was już ztąd puszczę do domu; tego zboża kupił Lejzor i trzeba mu je znieść i zesypać do jalkierza, to wy ruchnijta się żywo, moje chłopcy—Lejzor wam za to fajn wódki zafunduje, na moje sumienie.

— Ny, ny, nie bałamućta próżno—dodał Lejzor—widzita co wódki u mnie Bogu dzięka nie braknie, znieście tych worków do izbe...

Chłopom nie trzeba było obietnicy dwa razy po-

wtarzać; mając przyrzeczony poczęstunek, zaczęli dźwigać ciężkie wory i wysypywać zboże w alkierzu.

Po ukończeniu tej czynności, podchmieleni dobrze, pojechali do domu, przyśpiewując sobie i urządzając „rzymskie wyścigi" na wozach, że aż błoto im na twarz bryzgało. Po odjeździe chłopów, obaj znakomici finansiści przystąpili do najważniejszej części interesu, to jest do zamiany zaśniedzonej pszenicy na celną kostromkę, a lichego żyta na doskonały, fain probstein, w którem, gdy wyrośnie, kozak z „wielkim pikiem" i z koniem może się schować.

Operacya zamiany z pozoru niepodobna prawie do wykonania—nie była jednak tak dalece trudna. Berek i Lejzor, przy pomocy pani Lejzorowej i młodego wyrostka, mierzyli to samo zboże i przesypywali je w inne worki, na czem się cała operacya skończyła. Poczem finansiści uścisnęli sobie dłonie, w trzech słowach umówili się o udział w spółce i pan Berek, nie zapomniawszy zaopatrzyć się w próbki rzeczywiście ładnego zboża, odjechał.

Wszakże, jako mądry dyplomata, nie pokazał się w Stasinie zaraz, lecz przyjechał dopiero nazajutrz. Zabłocony, zmęczony i w stanie pożałowania godnym, stawił się we dworze. Stein oczekiwał go bardzo niecierpliwie i zaraz zapytał:

— No jakże tam, Berku, masz ów probstein?

— Of majne munes, niech jemu dyabli wezmą, kto tego probstajna wymyślił! ja już wszystkich kościów i gnatów swoich nie czuję. Co ja się najeździłem, naprosiłem, natargowałem, nim ja takie ziarno mogłem dostać. Te nasze ślachte to jest bardzo chytre i zazdrosne jeden przeciwko drugiego. Un wcale nie chciał słuchać nawet o ten probstein—no, ale już ja tak wykręciłem ze swojem głowem, co un musiał sprzedawać. Oj waj, oj waj, kto mnie powroci moje zdrowie co ja straciłem.

— Już zdrowie! zkądże znów? co ci się miało stać?

— Wielmożny pan nie rozumie tego interesu, ale ja pracowałem z gębem, z głowem, z językiem, z rękami, a com sobie utrząsł na takie paskudne drogie, to już nawet nie chce tego rachować. Patrz pan dobrodziéj tu jest próbka jakie to psienice, jakie żyto—oj waj to nie zboże, to ztoto, na niego jedne kapke deszczu nie było.

— Rzeczywiście ładne zboże—rzekł Stein przeglądając próbki.

— Co to ładne? co to ładne? to rarytne! to sam cymes, to nie ziarnko tylko same perłów jest!

— A kiedyż dostarczą nam to zboże?

— Dziś w nocy, żebym ja tak zdrów był, jak zgodziłem chłopy na całą noc.

— Niepotrzebnie—przecież nasi ludzie mogliby pojechać i przywieźć.

— Pańskie ludzie? no co? za co psuć swoje konie na takie paskudne drogie? a pańskie fornale téż mają co do roboty, ja zgodziłem chłopy — uni samo prawie do tego jest; takie chamy to nawet lubią się chlapić w błocie.

Długo jeszcze perorował Berek, zachwalając zalety nowo nabytego zboża, opowiadając dziwne rzeczy o tém, z jakim to trudem ciężkim i wysiłkiem to zboże zostało nabyte. Opuszczając nareszcie progi dworu, imć pan Szczupak unosił w zatłuszczonéj kieszeni rewers Steina na bardzo pokaźną sumkę.

Dobrze po północy nadeszły fury ze zbożem. Szpagaciński otworzył spichrz i przyświecał latarnią, zboże wysypano, chłopi odjechali i nawet nikt z dworskich ludzi nie wiedział zkąd przyszedł ten transport.

Na drugi dzień rano, sam dziedzic do spichrza się udał.

Był tam już Szpagaciński i odmierzał żyto do siewu, które zaraz fornale zabierali na wozy.

— No, jakże się panu zdaje to zboże, panie Szpagaciński—zapytał Stein.

— Piękne, psia kość—odrzekł lakonicznie.

Stein zajrzał do zagrody i garstkę żyta wziął w rękę.

— Zdaje mi się jednak, mój panie, że te ziarna są bardzo drobniutkie...—rzekł, przypatrując się pilnie.

Szpagaciński ramionami ruszył.

— Żebym tak zmarniał — rzekł — jak jenszy człowiek choć gruby jak beczka, a na psa się nie zdał — a drugi będzie chluszczyk, suchy jak szczapa, a dlatego...

— Panie — przerwał Stein chłodno — zdaje mi się, że my o zbożu mówimy?

Szpagaciński, aczkolwiek dobrze już cięty, dość trzeźwo jeszcze ratował sprawę Berka.

— Proszę pana —rzekł—że ziarnko drobne to bajki—to znak że pogodnie sprzątnięte i z suchości zmalało, żebym tak spuchł! — ale jak ono krzynkę w świętej ziemi poleży, a jeszcze jak go siaki taki deszczyk przemoczy, to on zara pocznie pęcznieć, pęcznieć i takie będzie jak groch, proszę pana, żeby mnie tak marności ogarnęły!

Stein machnął ręką i odszedł, porównywając w duchu własną głowę do owego ziarnka, które wrzucone w rolę pęcznieje, pęcznieje, aż o mało nie pęknie.

VII.

Niewesołą była zima w Stasinie, szczególniéj zaś dla panny Reginy. Las, ogród, łąki zniknęły pod grubą warstwą śniegu—trzeba więc było siedzieć w domu ciągle. W okolice nie wyjeżdżano także, gdyż Stein nie mógł się jakoś zebrać na zawarcie liczniejszych znajomości i bywał tylko u jednego sąsiada, starego wdowca, dziwaka, który żył samotnie i wyłącznie gospodarstwu był oddany.

Pan Adam, gdyż takie imie nosił ów jegomość, był to pessymista, mizantrop, i wszystko zawsze widział w czarnych kolorach; rozumie się więc, że towarzystwo takiego człowieka nie mogło ani rozweselić, ani pocieszyć.

Gdy czasem, co się zresztą dość rzadko zdarzało, pan Adam oddając Steinowi wizytę, przyjechał na kilka godzin do Stasina, rozmowa gościa z gospodarzem przybierała charakter tak posępny i smutny, że panna Regina miała ochotę rozpłakać się na dobre. Wychodziła też natychmiast prawie z salonu i kryła się w swoim pokoju.

Stein opowiadał gościowi swoje ciężkie kłopoty i zmartwienia, których nie brakło przecież, gdyż wydatki były znaczne, dochody żadne prawie, zaległości po-

datkowe rosły, a Szpagaciński spijał się od samego rana. Rozpuszczona jak bicz dziadowski służba wałęsała się bezczynnie z kąta w kąt, w lesie chłopi wycinali drzewa ile tylko chcieli, inwentarz z takim kosztem nabyty, marniał i upadał, a poczciwi żydkowie z miasteczka za „wygodzenie" jakim kapitalikiem zdzierali, jak to mówią, siódmą skórę.

Pan Adam słuchał tych narzekań, głową kiwał, a kiedy Stein, wyspowiadawszy się z wszelkich trosk swoich, umilkł, wówczas stary mizantrop rzekł do niego suchym, ostrym głosem:

— Szczęśliwy, bardzo szczęśliwy z ciebie człowiek, mój sąsiedzie.

Stein aż na krześle podskoczył.

— Ja!?... ja szczęśliwy?... chyba pan żartujesz sobie ze mnie...

— Ale zkąd znów. Powiadam szczerze co myślę— jesteś szczęśliwy i basta.

— Co pan mówisz?

— Tak jest. Najpierw masz to czego chciałeś — a to jest duże szczęście! Chciało ci się być obywatelem ziemskim, mieć swój folwark, gospodarować i doszedłeś do celu swych pragnień.

— Niech ten cel wszyscy dyabli wezmą!

— O to bądź pan spokojny, wezmą i bez twego życzenia, tak jak już wzięli środki, które cię do tego celu doprowadziły, nie dowodzi to jednak, żebyś miał być nieszczęśliwym.

— Jakto nie dowodzi? czego nie dowodzi? Więc pan twierdzisz, że człowiek, który tyle zmarnował, tyle kapitału stracił, tyle się nanudził na wsi, może być szczęśliwy, że człowiek obarczony różnemi ciężarami, wyzyskiwany, oszukiwany, okradany na każdym kroku, jest według pańskiego zdania szczęśliwy? No, wiész pan, że się to na żaden sposób w méj głowie pomieścić nie może.

— Rzecz dziwna... Naprzód chociaż pan straciłeś, nie straciłeś jeszcze wszystkiego, wszak prawda?

— No, mój panie, ja nie byłem taki waryat, żebym cały majątek miał wsadzić w ten kochany kawałek naszéj piasczystéj ojczyzny...

— A widzisz pan, ja wiem żeś nie taki waryat — ale obejrzyj się do koła, iluż to masz ludzi, dla których ów kawałek ziemi piasczystéj jest wszystkiém, jest i pamiątką i chlebem i przedmiotem ukochania wrodzonego, wyssanego z mlekiem matki. Cóż pan powiadasz o nich, gdy czują jak im się grunt pod nogami chwieje, jak nieubłagana konieczność losowa wydziera im z rąk te zagony garbate, z któremi od dzieciństwa się zrośli?...

Stein milczał.

— Powiadasz pan — mówił daléj pan Adam — żeś nieszczęśliwy, bo Szpagaciński się spija, las ci niszczą, a żydzi zdejmują z ciebie siódmą skórę; a co powiész o takich, którym już niema co niszczyć? z których nie siódmą ale dwudziestą siódmą skórę już zdarli, i którzy pomimo tego nie dają za wygraną, trzymają się do ostatka, krzepią na siłach i duchu. Pan masz jeszcze majątek inny, który zapewni ci byt wygodny, a oni podobnéj rezerwy nie mają...

— Ja nie rozumiem tych ludzi—rzekł Stein.

— Pod jakim względem?

— Dlaczego oni do licha tych folwarków paskudnych nie posprzedają? Dlaczego zamiast żyć wygodnie grzebią się tu w piasku, jak kury w śmieciach, i znoszą tyle przykrości—kto im każe?

— Otóż w tém sęk... są przekonania pewne...

— To jest głupi interes, ja téż miałem przekonania, myślałem że coś zrobię — tymczasem...

— Sprzykrzyło się panu.

— Cóż pan chcesz? przecież człowiek niema żela-

znéj głowy, żeby nią ciągle tłukł o mur, mnie już te ideały bokiem wyłażą!...

— Nie mówi się tak o ideałach.

— Co to nie mówi?—czy pan wiesz ile mnie one kosztują? one mnie bardzo drogo kosztują te ideały — a nie są warte funta kłaków!

— To rzecz względna... ideały jeśli są piękne, zawsze mają wartość.

— Wartość! ładna wartość! Mnie się zdawało, że ja tu coś zrobię, tymczasem co zrobiłem? mój Berek Szczupak jest taki sam zacofany chałaciarz jak był przed laty, taki sam spekulant, oszust i komedyant — a wy, wy, moi panowie...

— Cóż my?

— Wy... wy nie wysadziliście nawet koniuszczka nosa po za chiński mur waszych starych i zapleśniałych przesądów...

— Być może...

— To nie być może, ale tak jest i tak będzie jeszcze bardzo długo.

— To też, widzisz pan, jest to z pańskiéj strony zasługa, że chciałeś mury przebijać.

— Dobrze, niech to będzie zasługa, ale za co ja mam do tego interesu dopłacać?

— Wierzę panu mocno panie Stein, pan tego nie rozumiesz...

Stein nie poznał się na delikatnéj przymówce.

— Proszę pana—ciągnął daléj—ostatecznie do czego mnie doprowadzą wszelkie ideały, jeżeli ja będę co rok własny kapitał zmniejszał? jeżeli mogąc żyć porządnie i wygodnie w mieście, będę się tu nudził i ogryzał na wszystkie strony z tymi kochanymi Mośkami Berkami i całym kahałem?

— Może ich pan ucywilizujesz trochę...

— Ja? nie. — Zadrogo mi to cywilizowanie wypada; jak żyję na świecie nie płaciłem 3% na miesiąc, a tu

musiałem już i tego smaku sprobować. Niech go dyabli wezmą! mam już tego wszystkiego dosyć! ale co tam, panie sąsiedzie, nie mówmy już o tém; jak pan widzisz—ja tu z wami długo nie posiedzę—lecz kiedy pan byłeś na mnie tak łaskaw i odwiedziłeś mnie, to napijemy się po kieliszku wina, a mam tu coś bardzo ładnego, jeszcze z warszawskich czasów, kiedy w moim salonie zgromadzali się ludzie na wybitnych stanowiskach, a tu co się u mnie kiedy zgromadzi?... Szpagaciński i Berek. W téj chwili poślę do piwnicy, a powiedziawszy prawdę, dobry kieliszek wina i dobre cygaro, to jedyna przyjemność na tém wygnaniu.

— Dziękuję, panie sąsiedzie, bardzo uprzejmie dziękuję, ale nie posyłaj pan po wino.

— Dla czego?

— Nie pijam takich specyałów?

— Jakto? nic pan nie pijasz?

— Owszem, pijam i palę — ale pijam zwyczajną gorzałkę z mojéj własnéj gorzelni i palę mizerne papierosiny mojéj roboty.

— Czyż podobna wszystkiego sobie odmawiać?

— Dla czego nie? i ja mam swoje ideały, a dla nich mogę wyrzec się kieliszka tokaju i zwitka liści hawańskich...

— Co to ma za związek z ideałami i jaki to jest ideał, który zakazuje pić wino?

— Widzisz pan dobrodziéj, postępuję tak od lat dwudziestu kilku, nazywają mnie za to dziwakiem, ale ja na to nie zważam, bo do pewnego stopnia osiągnąłem już swój ideał.

— Jaki ideał?

— Nie mogę się uskarżać na lichwę, ponieważ nie winienem nikomu ani grosza; nie uskarżam się na wyzysk, bo nie potrzebując niczyjéj łaski, każę sobie płacić za wszelki produkt dobrze, a jak nie chcą mi dać odpowiedniéj ceny na miejscu, to sprzedaję zboże w Warszawie.

Szynkarza żyda we wsi niemam, gdyż wydzierżawiłem propinacyę dawnemu memu karbowemu, mam w folwarku porządek, cichość i spokój, z chłopami jestem zawsze w zgodzie—i co się tyczy moich własnych interesów, nie mogę mieć do żydów żadnéj a żadnéj pretensyi...

Stein spojrzał na szlachcica szeroko otwartemi oczyma.

— Mojém zdaniem — mówił daléj pan Adam — to jedyny i niezawodny środek; a cóż z tego przyjdzie panie Stein, że zasiadłszy sobie przy kieliszku wina, biadać będziemy i narzekać, że lichwa nas trapi, a skończywszy butelkę pójdziemy: pan do swego Berka, ja do swego Icka, i pożyczymy od nich pieniędzy?

— Prawda, pan masz słuszność, ale gdyby wszyscy postępowali według pańskiéj metody, cóżby się wówczas stało z tymi biedakami?...

— Z kim?

— No... Z tymi Berkami naprzykład i ich braćmi, zaludniającymi nasze małe miasteczka.

— Nie lękaj się pan; konieczność uczy rozumu, ona toruje nowe ścieżki życia. Tak i w tym razie, kogóż będzie eksploatował, choćby naprzykład pański Berek Szczupak, jeżeli nikt mu wyzyskiwać się nie da?

Wejście panny Reginy przerwało rozmowę.

— Proszę ojca—rzekła — mamy świeże pisma... to jedno co jeszcze łączy nas cokolwiek z ucywilizowanym światem, z ludźmi. Ale, wie ojciec co? mnie przyszła pewna myśl..,

— Genialna zapewne?

— W każdym razie niezła.

— No, no, słucham, mów moja córeczko.

— To sekret, proszę ojca...

— Ja nie przeszkadzam państwu bynajmniéj — rzekł gość—w téj chwili miałem właśnie pożegnać pa-

na Steina i udać się do domu; pozwól więc pan, że uczynię to teraz.

— O proszę, dla czego pan się tak śpieszy — rzekła panna Regina—na rozmowę z ojcem mam przecież dość czasu...

— Zostań pan dobrodziéj—rzekł Stein—nic pilnego, dla czego się pan śpieszy? kto tam oczekuje w domu na pana?

— Oczekuje, oczekuje kochany sąsiedzie cały folwark. Pańskie oko konia tuczy, wszystkiego samemu dojrzéć trzeba.

— Pedant z pana.

— Być może, ale dzisiaj bez tego ani rusz; z dwojga złego wolę być pedantem, aniżeli bankrutem i dla tego pozwolicie państwo, że pomimo serdecznych waszych zaprosin, muszę już do domu odjechać.

— Trudno — rzekł Stein — powiadają że na upór niema lekarstwa.

— O niema... ale jest upór i upór: mój upór to nie upór, to tylko nieuniknicna konieczność — rzekł śmiejąc się gość; widzisz pan, nawet mój stangret rozumie tę konieczność, bo oto nie wołany, zajechał w téj chwili przed ganek.

— Prawda... któż mu kazał?

— Nikt; lecz on wie, że ja zawsze wcześnie powracam do domu, zna moje zwyczaje doskonale...

Pożegnawszy gościa, który pomimo najusilniejszych zaprosin, nie chciał dłużéj pozostać, Stein z córką zostali w pokoju.

— Co chciałaś mi powiedziéć — rzekł Stein.

— Tak jest, ojcze, chciałam coś zaproponować...

— Słucham więc.

— Wie ojciec co, teraz jest zima, w gospodarstwie niema żadnéj roboty, czybyśmy więc nie mogli zrobić sobie krótkich, chociażby bardzo krótkich rekreacyj?...

— Przykrzy ci się tutaj?...

— Ojcze, to pustynia...

— Hm... może ty masz i słuszność...

— Słuszność? — proszę ojca, ja mam dwadzieścia cztery słuszności, a jedna słuszniejsza od drugiej... Nie raz zastanawiałam się nad tém, po co właściwie my tu siedzimy? O ile wiem, ojczulek nie gospodarz...

— Co ty mówisz? ja nie gospodarz?!.. żartujesz sobie chyba...

— No, widzę... że jakoś to nasze gospodarstwo idzie wcale nieszczególnie.

— Co chcesz? na złych ludzi trafiłem.

Panna Regina zbliżyła się do ojca, objęła go za szyję, spojrzała w oczy i zapytała pieszczotliwym głosem.

— Ostatecznie, powiédz mi ojcze, co ci po tym całym ambarasie?

Stein spojrzał na nią uważnie.

— Co mi po tém? Czekaj, ja ci to zaraz wytłumaczę... No, ale jak ja ci to wytłumaczę? kiedy ja doprawdy sam nie wiem tego...

— Więc témbardziéj...

— Ale ja tutaj tyle pieniędzy utopiłem...

— Co z tego? niech ci się zdaje, ojcze, żeś pożyczył na zły weksel, że twój dłużnik zbankrutował...

— Mała pociecha.

— Zapewne, ale jeszcze mniejsza będzie pociecha jak zabrniemy daléj.

— Urodzi się na rok przyszły.

— Eh ojczulku, mówisz jak szlachcic—a doprawdy, chociaż my pochodzimy z więcéj arystokratycznego rodu i narodu niż oni, jednak...

— Co jednak? moja córko.

— No, jednak... jesteśmy żydzi.

— Więc cóż?

— Zdaje mi się, że ten nasz głupi Berek już to ojczulkowi niejednokrotnie tłumaczył.

— Co on wie?

— Sądzi praktycznie.

— Pozwól mi także mieć własne zdanie.

— Nie śmiałabym zaprzeczać ojcu prawa do tego, lecz...

— Lecz co?

— Lecz zdaje mi się, że sam się już ojciec przekonał. Zresztą o co idzie? ja wcale nie mam zamiaru potępiać ani krytykować postępowania ojca—ja proszę tylko, żebyśmy korzystając z tych kilku miesięcy zimowych, pojechali na jakiś czas do Warszawy... mnie już tęskno do miasta, to świeże powietrze wiejskie zaczyna być dusznèm i niezdrowèm.

— Co ty mówisz, Reginko?

— Przedewszystkièm, kochany ojcze, mnie tu nudno jest, ja nie bawię się, ludzi nie widzę.

— Zaczniemy bywać w towarzystwach.

— Eh nie — i te towarzystwa nie ciekawe są dla mnie; jedźmy do Warszawy...

Stein ustępować zaczął.

— No—rzekł — jeżeli tak chcesz koniecznie, to na jakiś czas, na parę tygodni, zgoda.

Panna Regina, uradowana w wysokim stopniu, pobiegła do swego pokoiku i rozpoczęła przygotowania do drogi.

Postanowiono wyjechać na trzeci dzień dopiero— i zabawić tam nie dłużéj nad trzy tygodnie. Jednak panna Stein widocznie nie wierzyła w trwałość tego postanowienia, gdyż kazała zapakować wszystkie swoje rzeczy, sukienki i drobiazgi i wysłała je zaraz do kolei.

Widocznie miała to przekonanie, że nie wróci już więcéj do Stasina.

Stein sądził inaczéj.

Zawołał on przedewszystkiém Szpagacińskiego, któremu surowo polecił miéć baczne oko na Berka, żeby w folwarku zbytecznie nie gospodarował i nie kradł; późniéj zaś zawołał Berka i upoważnił go do pilnowania Szpagacińskiego, aby tenże również nie kradł i nie upijał się.

Zabezpieczywszy się w ten sposób i pozostawiwszy potrzebną na wydatki gotówkę w ręku Berka—a klucze w potężnéj prawicy Szpagacińskiego, sądził, że już doskonale zabezpieczył Stasin od wszelkich możliwych malwersacyj.

Kiedy powozik mający odwieźć państwa do stacyi drogi żelaznéj już zajechał przed dwór, panna Regina była w tak złotym humorze, że aż ojciec ze zdziwieniem na nią spojrzał.

Niemniéj jednak i sam cieszył się także z wyjazdu, a gdy po kilku godzinach znalazł się w wagonie i usłyszał świst lokomotywy mającéj go zawieźć do miasta, doznawał wrażenia człowieka, który nagle pozbył się bardzo wielkiego, przechodzącego jego siły ciężaru.

Widok wieżyc i murów miejskich, oraz czarnéj chmury dymu unoszącéj się nad niemi—napełniał serce panny Reginy niewysłowioną rozkoszą. Zdawało jéj się przytém, że pociąg idzie zbyt wolno, że musiało pary w kotle zabraknąć. Lotem ptaka chciała znaleźć się w Warszawie. Tymczasem, obojętny na wszelkie pragnienia młodych pasażerek, maszynista prowadził ciężki pociąg z szybkością przepisaną i punktualnie o naznaczonéj minucie stanął na stacyi.

Pan Stein z córką wsiedli do dorożki i zniknęli w téj żywéj, wiecznie ruchoméj fali ludzi i ekwipaży, która nieustannie płynie po miejskich ulicach...

Tymczasem w Stasinie całkowite rządy objął Berek Szczupak i trzeba mu było oddać tę sprawiedliwość, że zajął się folwarkiem z całą gorliwością, jak własnym, i rozciągnął nad nim wyjątkowo czynną i tro-

skliwą opiekę. Że zaś, jak wiadomo, więcéj miał inklinacyi do handlu, aniżeli do gospodarstwa rolnego, które zresztą w zimie nie daje pola do zbyt skomplikowanych zatrudnień—przeto Berek wszystkie siły inteligencyi swéj poświęcił handlowości.

Handlował czém się tylko dało, sprzedawał wszelkie ruchomości i rupiecie leżące nieprodukcyjnie w spichrzu: stare rzemienie, żelaztwo, zapasowe zaprzęgi i tym podobne graty; żeby zaś ludzi dworskich od pilniejszych czynności nie odrywać, Berek woził ten towar do miasta osobiście we własnéj biedce, w któréj jednak, pomimo że z pozoru wydawała się szczupłą—znalazło się jeszcze zawsze miejsce na ćwiartkę owsa, jęczmienia, lub grochu, który również nieprodukcyjnie miejsce w spichrzu zabierał.

Ten drobny handelek uprzyjemniał Berkowi chwile wolne od ważniejszych interesów, co do których trzeba było decyzyi samego dziedzica. Takiemi interesami było naprzykład płacenie podatków i różnych ciężarów, sprzedaż większéj partyi drzewa i t. p.

Berek w takich ważnych razach udawał się do Warszawy i osobiście przedstawiwszy sprawę, w oświetleniu jakie za najwłaściwsze uważał, uzyskiwał od Steina i gotówkę na opłaty i upoważnienia do sprzedaży.

Co do lasu Stein opierał się długo, lecz Berek umiał go także przekonać. W dwóch sąsiednich miasteczkach były znaczne pożary i biedni żydkowie potrzebowali myśléć o odbudowaniu swych domostw. — Z czegóż je odbudować, kiedy drzewa niema—i w okolicy blizkiéj dostać go nie można. Trzeba więc koniecznie sprzedać, jeżeli nie dla zysku, to przez miłosierdzie, przez uczucie ludzkości. To samo tyczy się cegły, któréj był zapas dość znaczny.

Berek tak wymownie, tak obrazowo umiał przedstawić niedolę biednych pogorzelców, ich stan ze wszech miar politowania godny, że Stein, który miał dobre

serce i widoku nędzy nie znosił—a przytém wyobrażał sobie, że w lesie jest tyle drzewa, że go nigdy zabraknąć nie może;—polecił Berkowi rozdać pomiędzy najbiedniejszych dziesięć sosen i pięć tysięcy cegieł—oraz sprzedawać drzewo i cegłę tym, którzy zechcą domy swe odbudowywać.

Mając tak rozległą plenipotencyę do działania, Berek powrócił do domu rozpromieniony i szczęśliwy zupełnie.—Przywiózł dzieciom po dwa cytwarowe pierniki, a żonie ofiarował w gotowiźnie całe pięć rubli na suknię. Zapytany przez towarzyszkę życia zkąd taka łaska? spojrzał na nią tylko filuternie, pogładził ręką brodę i rzekł z powagą.

— Jak twój mąż będzie lasem handlował—to was jeszcze lepsze prezenta spotkają...

— Ny, ny,—rzekła Berkowa,—niech tobie da Pan Bóg długie życie i szczęście, bo ty rozumny człowiek.

Wykonywając wolę swego mocodawcy, Berek zaraz na drugi dzień po przyjeździe z Warszawy udał się do lasu i wycechował dziesięć najpiękniejszych sosen, które miały być ofiarowane darmo. Tak się téż stało. Berek oddał je prawie darmo, za bardzo umiarkowane pieniądze... przysięgał się, że sam na tém traci. Późniéj rozpoczęła się gorączkowa sprzedaż.

Po lesie rozlegał się głuchy łoskot siekier, podcięte sosny padały na ziemię, miażdżąc swym ciężarem drobniejsze drzewka i krzewy, a parobcy i fornale dworscy zajęci byli wożeniem drzewa. Piękne konie fornalskie, do „wzorowéj fermy” zakupione, zabijały się po ciężkich drogach, a w lesie robiło się coraz widniéj, jaśniéj i bardziéj przestrono. Blade słońce zimowe nie potrzebowało się już przedzierać z trudem przez ciemne konary.

Stary gajowy, który oponował przeciwko niszczeniu lasu, został przez Berka oddalony, a na jego miejsce zainstalował się jakiś żydek „pisarzem” tytułowany.

Pan „pisarz” sprzedawał na swoję rękę wióry, gałęzie i odpadki — a brat pana pisarza, gonciarz z profesyi, osiadł także w lesie i na niewymyślnym swym warsztacie wyrabiał gonty, jako wspólnik Berka.

Ruch w lesie panował nieustanny, a w tém samém miejscu nad strumykiem, gdzie panna Regina lubiła przyglądać się kwiatkom leśnym, tonąc w poetycznych marzeniach; wybudowano naprędce szałas, w którym inny znowuż kuzyn Berka, trudnił się sprzedażą wódki.—Konsumentów nie brakło, gdyż dużo ludzi przy obróbce i wywózce drzewa pracowało.

W folwarku było za to zupełnie spokojnie i cicho—tylko pastuch nosił krowom homeopatyczne dozy słomy i siana—a owczarz całemi dniami rozmyślał nad tém szczególném zjawiskiem, że im więcéj skórek przybywa na strychu, tém więcéj owiec ubywa z owczarni.

Dobrzy ci ludzie pragnęli szczerze złemu zaradzić—ale w jaki sposób? Dziedzic w Warszawie—a Warszawa daleko; Berek twierdzi, że najlepszy użytek z siana i słomy jest, gdy je się sprzeda chłopom na wiosnę, a Szpagaciński nie mówi ani tak ani siak... Szpagaciński albowiem już prawie nic nie mówi... Ochrypły głos jego nie rozlega się jak dawniéj po folwarku, nie budzi w nikim postrachu. Wszyscy dyabli siedzą w piekle spokojnie, pioruny drzemią w ołowianych chmurach, wszelkie choroby i nieszczęścia siedzą w swych kryjówkach—gdyż nikt ich nie wywołuje, nikt nie wzywa—nie wymienia nawet ich nazwy.

Zaraz po odjeździe Steina, Berek przyniósł Szpagacińskiemu sporą ilość flaszek, i poczciwy, chociaż srogi ten mąż wlewał w siebie kieliszek za kieliszkiem od samego rana, wlewał dopóki nie usnął, a skoro się przebudził to znów pił, żeby się trochę otrzeźwić, i znów się upijał i zasypiał na nowo.

Sumienie jednak wyrzucało mu bezczynność—usi-

łował się parę razy tłumaczyć przed Berkiem, jako przed reprezentantem dziedzica.

— Widzicie, panie Berku, nie mogę, — żebym tak spuchł!

— Aj! nie powiedz pan paskudne słowo — odpowiadał Berek—teraz różnego słabościów po świecie nie brakuje.

— Kolka, psia kość, mnie męczy i w piersiach piecze jak najognistszy ogień.

— Ny, ny, ja wiem co pan Szpagaciński ma delikatne zdrowie, co nie jest z takich ordynarnych ludzi jak te drugie chamy—ja wiem. Niech pan Szpagaciński wyleży sobie spokojnie, niech wyśpi sobie — niech coś na rozgrzenie wypije...

— A folwark?

— Co folwark! wielgie mecyje folwark! un stoi jak stojał, co jemu będzie—a zresztą przecież ja téż jestem kawałek gospodarz, tyle już lat przy krowach, to żeby człowiek był nawet całkiem przez głowe — toby sobie te głupie gospodarstwo nauczył—oj waj!

— Juści—ale jakby co kiepskiego wypadło, to panie Berku, żebym ja o tém wiedział...

— Co wypadło? co tu może wypadnąć — kołek z płota wypadnie, ale od tego téż się dziura w niebie nie zrobi!

— No — kiedy dobrze — to i dobrze.

— Oj, oj, jak dobrze, żebym ja tak do saméj śmierci miał dobrze, jak teraz dobrze mi jest.— Ja panu tu zaraz przyślę fajn araku, pan Szpagaciński wypije sobie kilka szklanki gorącego haraku z troche herbatem—to będzie zdrów jak, z przeproszeniem, bik.

— Ha, no... niech i tak będzie—jeno że...

— Co?

— Pieniędzy obrzednio—płacić czém nie będzie...

— Nie bój się pan, przecie panu pensya idzie... Cóż to czy pan Szpagaciński przez obowiązku jest, czy co?

Uspokojony Szpagaciński zabrał się do araku z herbatą, a wypiwszy kilka szklanek takiego gorącego trunku, padał na łóżko jak kłoda i zasypiał marząc o wielkiéj dobroci Berka i niewyczerpanéj uczynności jego.

To samo powtarzało się co dzień prawie. Szpagaciński pił, spał i znowuż pił, a Berek tymczasem gospodarował i krzątał się z ruchliwością gorączkową prawie.—Energia jego rozwinęła się w całéj pełni, był wszędzie, jeździł, sprzedawał, handlował, prowadził setki najróżnorodniejszych geszeftów, prowadził oddzielne rachunki dla Steina, oddzielne dla siebie — dla wspólników, których miał kilkunastu.

Był w swoim żywiole całkowicie.—W miasteczku współwyznawcy spoglądali na niego z pewném uszanowaniem. Cenili jego ruchliwość i przepowiadali mu przyszłość świetną.

— Nu, Berku—zapytał go raz stary Abram,—kiedy ty Stasin kupisz?

— Niech mój dziedzic długo żyje—odrzekł dyplomatycznie Berek.

— Niech on żyje, ten „apikores" — ale mnie się zdaje, że ty będziesz jego następcą...

— Nie,—odrzekł Berek,—ja nie będę.

— Dla czego?

— Lepiéj jest zawsze stać przy piecu, aniżeli być piecem; lepiéj się ogrzać przy kim, niźli samemu grzać kogo... teraz ciepło drogie jest, mój Abramie. Nie prawda?...

— Nu, nu, mój Berku, ty masz głowę—ty będziesz wielkim kupcem!

Berek nie przeczył — gdyż sam miał to przekonanie o sobie.

. . . .

Zbliżyła się wiosna, śniegi stopniały, a po nad rowami zaczęła się zielenić trawka. Szerokie pola pokryte były ciemno-zieloną barwą ozimin, skowronki ważyły się w powietrzu, a z chałup wiejskich wychodzili chłopi z pługami, z sochami, jak na pospolite ruszenie.

Wszystko budziło się do życia. Bocian ze stron odległych przywędrował i głośném klekotaniem stare swe gniazdo na stodole przywitał, bydło szukało świeżéj trawki na ugorach — a słońce wzbijało się coraz wyżéj na niebo.

W Stasinie spodziewano się przyjazdu dziedzica lada chwila. Nikt nie wątpił, że Stein powróci, gospodarować zacznie—tylko jeden Berek uśmiechał się ironicznie i gładził swą szeroką, rozłożystą brodę.

Tymczasem jednak dziedzic nie śpieszył jakoś i widocznie nie było mu pilno do swéj majętności — gdyż zamiast osobiście przybyć, zawezwał tylko Berka listownie, żeby natychmiast do Warszawy przyjeżdżał.

W trzy dni po otrzymaniu listu, Berek stawił się u swego mocodawcy. Nie ubrał się, jak ongi, w żupan odświętny, lecz przyszedł w zwykłym, codziennym chałacie, niebardzo lękał się milczącego psa — a do lokaja, którego niegdyś wielmożnym, ze względu na galony tytułował, rzekł imponująco, z góry:

— Słuchaj no, kochaneczku, powiedz swemu panu, co pan Szczupak ze Stasina trochę sobie przyjechał.

Poproszony do gabinetu, wszedł tam śmiało, bez zbytecznych ukłonów i nie czekając aż go Stein siedzieć poprosi, zasiadł wygodnie na krześle!

— Jakże tam, mój Berku,—zapytał Stein,—gospodarstwo... zapewne dobrze idzie?

— Oj, oj, co uno nie ma iść?... tylko niech pan pieniędzy dokłada, to uno poleci jak po midle...

— Pieniędzy i zawsze pieniędzy—przecież téj zimy mieliśmy dochody z lasu...

15

— Co to za dochody! wielkie dochody!—może się przedało całe parade dwieście albo trzysta chojaki, i to buło cienkie jak patyków—co to za dochód? tera drzewo staniało, za darmo ludzie nie chcą brać.

— Zapominasz, mój Berku, co pisałeś do mnie w zimie...

— Co w zimie!? W zimie to buło mróz — a teraz Bogu dzięki jest ciepło—w jedne kapote chodzić można, zresztą co zima to nie lato, a co lato to nie zima...

— Jednak sprzedaliśmy przecież trochę lasu.

— Co to znaczy? ja mam rachunki, tu każdy grosz stoi zapisany. Ja sprzedawałem wprawdzie trochę drzewo—ale ja płaciłem procenta Abramowi, Fiszlowi, Mordkie, ja płaciłem podatków do gminy i do kasy, ja płaciłem ludziom pensyów, ja reperowałem budynków, co sobie trochę popsuli—ja robiłem różnego nakładu.

— Jednak z tém co otrzymałeś odemnie gotówką, powinieneś był wszelkie wydatki opędzić.

— Ja też odpędziłem ich.

— Jakto?

— Prolongowałem wszystkich dłużników, łatałem cały interes z procentem—a to nie buło łatwo dokazać.

Stein zamyślił się, Berek zaś dodał w formie zapytania.

— A co teraz będzie? Teraz wiosna, trzeba gospodarstwo zaczynać, orać, siać, sam główny czas na to przyszedł?

— No, więc cóż? Wiadoma rzecz, że na wiosnę trzeba orać i siać; niech więc orzą i sieją.

Berek się rozśmiał.

— Przepraszam pana—rzekł,—oni by to już dawno zrobili, tylko tu różnych rzeczy brakuje—a na te różne rzeczy pieniędzy niema...

Stein zerwał się z krzesła.

— Pieniędzy? jeszcze pieniędzy! Kiedyż to się na-

reszcie skończy...? Cóż ty chcesz, żebym ja cały majątek w tém głupiem gospodarstwie utopił?!...

— Nu — gospodarstwo kłopotarstwo — wiadoma rzecz.

— Czy wiadoma, czy nie wiadoma, ja pieniędzy nie dam i koniec,

— Do woli pana dziedzica,—rzekł uśmiechając się ironicznie Berek.

— Nie dam!—powtarzam stanowczo że nie dam!—niech sobie Szpagaciński głowę urywa—a żeby mi zaorał wszystko i zasiał.

— Przepraszam pana, ale Szpagaciński ani sobie głowe nie urwie, ani nie zaorze nic.

— Dla czego?

— Ny—bez to co un w przeszłym tygodniu małe głupstwo zrobił...

— Jakie głupstwo?

— Un sobie umarł.

— Kiedy? jakim sposobem?

— Bardzo prostym sposobem. Un sobie krzynkę napił i niepewny buł w nogach, i szedł sobie bez kładkę do młyna, i jak sobie szedł, tak sobie zleciał w wode... Zara mnie dali znać, to buło rano; ludzi w folwarku nie buło—dopiero jak przyszli na południe, to ja kazałem jemu wyciągnąć — ale un już wcale nie dychał... — Mieliśmy wielki ambaras, całe komisye buło, pokrajali jego i kazali pochować. Nu i tak się stało, bez to un już teraz ani nie krzyczy, ani nie pije.

— A o nowego ekonoma nie postarałeś się?

— Na co?

— Jakto na co? cóż za głupie pytanie!

— Przepraszam pana, uno głupie nie jest, bo jak pan na gospodarstwo pieniędzy nie da — to na co potrzebny ekonom?

— Z kieszeni nie dam—ale z folwarku jeszcze coś można wyciągnąć...

— Nie wiem coby tam ciągnąć, ono już i tak wszystko wyciągnione paskudnie.

— No,—rzekł z rezygnacyą Stein—w ostateczności mamy jeszcze las...

Berek uśmiechnął się.

— Przepraszam pana dobrodzieja — rzekł— z tym lasem to jest bardzo głupi interes.

— No, dla czego?

— Póki on sobie stojał na swoje miejscu, to zdawało się że to jest las... ja sam myślałem, że tego drzewo co tam jest to się nigdy nie przebierze, tymczasem jak chłopy z siekierami tam poszli, jak przewrócili jednę i drugą choinkę, to się zrobiało z tego lasu pole.

— Pole!—krzyknął Stein, chwytając się za głowę.

— Nu—nie tak czyste pole — jest krzaków—leszczyne trochę jest—ale na takie miejsce może być zato fajn nowine, tam się ganc git proso urodzi...

— Więc wychlastałeś cały las?

— Jakto cały? przecież to był tylko kawałek lasu... a po drugie, czy ja jego chlastałem? Ja sprzedałem tylko kilka sztuk—przecież pan sam tak kazał?

Stein zęby zacisnął.

— Jedyna nadzieja na tegoroczny urodzaj...—szepnął sam do siebie.

— Z przeproszeniem pana, o jaki to urodzaj pan mówi?

— No, o życie, o pszenicy—przecież zasieliśmy na jesieni prześliczną kostromkę, wyborowy probstein, sam sprowadziłeś ziarno do siewu...

— To prawda jest... taki probstein to jest fajn probstein, to rarytne ziarno — tylko un lubi zgrymasić czasem...

— Nie rozumiem...

— To ja pana powiem — un jakoś u nas bardzo paskudnie pokazuje—mało co gdzie powschodził.

— Niepodobna!?

— Prawda, un niepodobny wcale do insze żyto— tylko podług moje umiarkowanie, to ten pijak Szpagaciński musiał pod niego bardzo kiepsko gruntu uprawiać. Ja pamiętam, ja jego nawet mówiłem, że trzeba na taki interes orać głęboko—ale un mi jeszcze paskudne słowo powiedział.

Stein zbladł — przez kilka chwil szybkim krokiem chodził po pokoju, nareszcie zbliżył się do Berka i chwytając go za klapę od kapoty rzekł:

— Jesteście rozbójnicy! złodzieje!

Berek przyjął tę obelgę filozoficznie i z godnością.

— Hast dy gewidział!—rzekł—złodzieje, co to jest złodzieje? kto takie słowo powiedział? Za moje dobroć, za moje serce, za moje prace — ja mam być złodzieje i rozbójniki?... Ja pana do sądu będę zapozwać.

— Rachunek mi zdasz!—krzyknął Stein z mocą.

— Aj waj! ja właśnie chcę rachunek, ja mam dowodów, ja mam sto świadki jak ja dołożyłem ze swojéj własnéj kieszeni—jak mi się od pana jeszcze więcéj niż tysiąc rubli należy! ja w pana majątku utopiłem wszystkie moje pieniądze, ja dla pana własne dzieci skrzywdziłem — a cóż pan myślisz sobie, że to już niema świadki? niema sprawe? nie ma apelacye? niema sąd! że dziś może każdy puryc przyjechać z Warszawy i biednego żydka z całym majątkiem zgubić i zmarnować? czy pan to sobie myśli, czy takie pańskie myślenie jest?

— Ty mnie zniszczyłeś!

— Ja zniszczyłem? to ja pewnie kazałem żeby pańskie holenderskie krowy zdychały? żeby te fornalskie konie, takie waryaty, połomili sobie nogi? żeby owce zdychały? żeby zboże się nie rodziło? żebyś pan od naszych żydków tyle pieniędzy nabrał? — to ja pewnie panu kazałem?

— Cicho bądź! — rzekł Stein groźnie.

— Jak ja mam być cicho? za co cicho? kiedy mi się od pana pieniądzów należy? — oddaj mi pan moje pieniądzów—to ja będę cicho—ja sobie ztąd pójdę—zaraz pójdę, niech tylko odbiorę swoje pracę.

— To jeszcze zobaczymy, czy odbierzesz—przekonamy się o tém.

— Oj, oj, co ja temu winien? niech nas sąd sądzi; ja nawet nie chciałem panu dawać pieniędzy — ja nie radziłem panu folwark kupić—ja mówiłem panu, że pana galop nasze żydy zjedzą...

Stein cierpliwość zupełnie stracił.

— Wynoś się ztąd—zawołał—na złamanie karku, bo cię za drzwi wyrzucić każę! Rachunki załatwimy przed sądem — a żeby mi w Stasinie twoja noga nie postała!...

— Nu, nu,—rzekł Berek—ja sobie wyniosę—a co dalej będzie to obaczymy... Pan jesteś bardzo gwałtowny szlachcic, panie Stein — bardzo gwałtowny — of meine munes, okropnie gwałtowny... dużo gwałtowniejszy od te prawdziwe szlachte!...

Z temi słowy Berek wyszedł z pokoju.

— Co to było, ojcze?—spytała panna Regina wchodząc—co to za hałas? nie śmiałam tu wejść — ale zdawało mi się, że słyszę głos naszego poczciwego Berka ze Stasina.

— Poczciwego Berka!...—odrzekł ironicznie Stein—tak jest, nie mylisz się; właśnie przed chwilą poczciwy Berek opuścił nasze progi.

— Zdajesz się być wzburzony — czy zmartwiony, mój ojcze?

— O nie, nie, broń Boże!—przeciwnie jestem bardzo zadowolony. Czegóż chcesz? mam folwark, jestem obywatelem ziemskim, gospodarzem — posiadam piękne stanowisko... czegóż mam być wzburzony?

Panna Regina patrzyła na Steina szeroko otwartemi oczami — on zaś mówił dalej:

— Tak jest, mam tak dalece zaszczytne stanowisko, że aż mnie ten zaszczyt gnieść już zaczyna naprawdę, tylem się nadźwigał tych honorów, że pragnąłbym nareszcie odpocząć—i dla tego pozwól, moje dziecko, że cię pożegnam—muszę wyjść w tym celu.

— Dokąd, ojcze?

— Naprzód sam nie wiem; do Kuryerów, do cukierni Clotin'a, pod Bank—ogłoszę, że mam folwark do sprzedania. Poruszę wszelkich faktorów i stręczycieli, żeby mi wynaleźli kupca — a jeżeli to prawda, co powiedział pewien mędrzec, że głupich nigdy na świecie nie zabraknie, to kto wie? może znajdę amatora na Stasin. Tobie żal będzie przyjemności letnich?

— O, dziękuję, bardzo dziękuję ojcu, mam ich dosyć...

— Więc témbardziéj.—Poruszywszy tedy wszystkich faktorów, muszę znowuż iść i szukać dobrych adwokatów. Z góry jestem przekonany, że przy sprzedaży obdarty zostanę porządnie, muszę więc sobie znaleźć jakąś opiekę prawną, któraby mnie zabezpieczyła o tyle przynajmniéj, żebym do własnego majątku nie potrzebował wiele dopłacać.

To mówiąc, Stein wziął kapelusz i laskę i skierował się ku drzwiom. Po chwili jednak zatrzymał się, stanął na środku pokoju i rzekł:

— Słuchajno, moja córko, prawdopodobnie niedługo wyjdziesz zamąż...

Panna uśmiechnęła się.

— Istotnie — rzekła — taki przynajmniéj jest zwyczaj, od którego wyłamywać się nie widzę koniecznéj potrzeby, ale dla czego ojciec mówi mi o tém w téj chwili?

— Bo, widzisz, jeżeliby kiedy twój mąż przyszły miał zamiar gospodarować na wsi...

— To mu opowiem historyę naszéj sielanki w Stasinie...

— Tak, ty mu opowiesz dzieje naszej sielanki... ty jesteś rozumna dziewczyna.

. . . .

Była znów noc czerwcowa, noc świętojańska...

Srebrny księżyc wypływał na obłoki wysoko i rozsiewał blaski po ruchoméj fali rzeki, po stawie, brylantami obsypywał kaskadę spadającą z kół młyńskich i przeglądał się w wodach ciekawie. Gwiazdy zajaśniały także na horyzoncie i mrugały wesoło, a na wzgórzach płonęły rozłożone ogniska, gorzały beczki smolne, z których smugi dymu, jak olbrzymie węże czarne, potworne, skręcały się w powietrzu i uchylały łby przed cichym wietrzykiem nocy letniéj.

Na wzgórzach, wokoło ognisk, śpiewano i tańczono wesoło, a odgłos pieśni rozbrzmiewał po rosie, powtarzał się kilkakrotném echem w okolicznych lasach zamykających widnokrąg, jak gdyby wielką, szeroką ramą czarną.

Wesoło jakoś było i raźno na duszy; ucho chwytało odgłosy pieśni—a oko niemogło się nasycić widokiem świateł płonących na niebie i na ziemi.

Bo téż to i noc wyjątkowa, noc świętojańska...

We dworze Stasińskim we wszystkich oknach jasno; w pokojach zamiast bogatych mebli i luster skromne sprzęciki stoją—ale zato świeże kwiaty na oknach, piękny wieniec z niezapominajek na stole.

Stara Wincentowa, jak gdyby jéj lat ubyło, krząta się po wszystkich pokojach; szerokiemi kroki przechadza się imć pan Józef ekonom, który świeżo znów godność zakrystyana dla gospodarstwa opuścił.

Na stole, na dużéj tacy, leży bochenek chleba czarnego, świeży, pachnący, a obok niego w solniczce trochę soli białéj.

Widocznie, starym słowiańskim obyczajem witać tu kogoś będą, skoro chleb i sól przygotowali, a „dobra wola" z oczu im świeci.

Przed dworem gromadka ludzi stoi. Jest pomiędzy nimi Kacper parobek, który znowuż do służby powrócił i kilku starych gospodarzy ze wsi. Przyszli oni tutaj z własnéj a dobréj woli, powitać słowem życzliwém tych, co przybyć tu i wspólnie pracować zamierzają.

Ekonom wyszedł przed ganek.

— Cościć jeszcze nie widać — rzekł do chłopów.

— Bez suchość musi — odezwał się Kacper — od Zależanki piach śkaradny — ale niedługo nadjadą, tylo co nie widać, kunie dobre to zmogą.

— Berkowi tera się urwie—wtrącił któryś chłop.

— Oj, oj, co mu się ma urwać?—rzekł Kacper — kiej on se tera w mieście chałupę galantą kupił — i za kupca je wielkiego, zbożem ponoś handluje i propinacyą tyż trzyma.

— Dla tego choć niby i tamten, na to mówiąc Stajn zyd był, ale tak go oporządziły nase zydy, ze ledwie się wydobył nieborak...

— A juści—drugiby się tak nie dał.

— Dobre zydzisko z niego było, grzecny, słowa marnego nikomu nie powiedział—i widać spekulantności takiéj nie miał, jak jense.

— Et, co wy się tam znacie, moi ludzie, — rzekł ekonom—ja mam hedukacyą i wiem jak się na świecie dzieje. Ziemię świętą Pan Bóg dla człowieka stworzył i oddał mu ją „żeby mu była poddana," jak stoi w Piśmie, ale tyż znowu w Piśmie stoi „w pocie czoła pracować będziesz," bo i sprawiedliwie tak stoi.

— A juści stoi—odrzekł Kacper—nieraz i ksiądz tak gadał.

— Tedy, kto chce z téj ziemi chleb jeść, ten musi w pocie czoła pracować i musi być dla niéj

dwojaki: jak dziecko dla matki wszystko żywiącéj, która według Opatrzności Boskiéj jest świata karmicielką—i jako matka dla dziecka — a jako matka dla dziecka według tego, że człowiekowi darmo nic nie przyjdzie do ręki... Tedy, jako wam rzekłem, moje ludzie, człowiek musi chodzić kiele ziemi jak matka kiele maleńkiego dziecka—i jako jensza matka, która niedospawszy, niedojadłszy, przecierpiawszy dużo, doczeka się ze swojego dziecka pociechy w starości swojéj i osłodzenia, tak i człowiek co więcéj trudu kiele ziemi dołoży—to więcéj pożytku z niéj odbierze. A widzita, żeby zaś tak sumiennie kiele ziemi chodzić, tak kiele ziemi deptać, tak kiele niéj robić, tak ją rzetelnie uprawiać, tak kużdy podły chwast wyplenić — to trza tę ziemię, na to mówiący, szczyrem sercem kochać dwojako: jako dziecko matkę—żywiącą—i jako matka dziecko. Nie wiem ja, moje miłe ludzie, czyśta mnie dobrze zrozumieli, ale to wiem żem powiedział com wiedział — a wiedziałem od mądrych ludzi i z książek nabożnych.

— Prawda, święta prawda — rzekł Kacper z westchnieniem—ma pan ekumon racyą.

— Jadą! jadą! — zawołał chłopak od bramy — już dudni na moście!...

Ekonom do pokoju pobiegł, tacę z chlebem i solą w ręce obie ujął i w progu oczekiwał rozrzewniony, wzruszony.

Z ekwipażu, który się zatrzymał przed gankiem, wyskoczył młody człowiek o ogorzałéj twarzy i podał rękę swéj towarzyszce, która z ciekawością spoglądała na witającą ich gromadkę.

Ekonom, który do oracyj wrodzony miał pociąg— przystąpił z chlebem i solą—i drżącym ze wzruszenia, ale silnym głosem przemówił.

— Chlebem, solą i dobrą wolą witamy was na tym progu. Dziadkowie twoi, panie, przeżyli tu z na-

mi długie lata, ale Bóg Najwyższy nie dozwolił im doczekać, iżby was powitali w tych progach.—Wita więc was gromadka prostych ludzi i sługa, który u dziadków waszych pracował. Wnijdźcie do domu ojców waszych i pokój szczęście i błogosławieństwo Boże niechaj mieszka z wami.

Wyrzekłszy to i oddawszy chleb z solą, rzucił się stary do rąk pana i pani — i rozszlochał się na dobre.

Młoda pani weszła do dworu. Przebiegła szybko przez wszystkie pokoje, i zachwyconą była ich czyściutkiem i skromnem urządzeniem.

— Jak tu pięknie — jak dobrze — mówiła, tuląc się do ramienia męża — jak malowniczo płoną te ognie na wzgórzach.—O, mój Jasiu, ja wierzę, że się można do takiego ustronia przywiązać, że je można szczerze pokochać.

Ekonom stojący przy progu szepnął z cicha:

— Prawda święta...—po chwili dodał głośno:

— Wielmożny panie, siła tu będziemy mieli do roboty. Każde pole zaszkaradzone na nic... cygańskie tu gospodarstwo było...

— Wiem, wiem, mój Józefie, ale mam nadzieję, że się to naprawi.

— A jutro, wielmożny panie, do kosy! łąka ładna, pogoda jest, ze dwudziestu kosiarzy przyjdzie.

— Bardzo dobrze, raniutko wyjdziemy obejrzéć naszą biedę...

Ekonom skłonił się i powiedziawszy „dobranoc” wyszedł. Młodzi ludzie zostali sami.

Jeszcze długo świeciło się w białym dworku; na wzgórzach dogasały ognie — a księżyc w całéj pełni i blasku płynął na horyzoncie, złocił wody, potokami srebra oblewał kołyszące się zboże.

W powietrzu było cicho, spokojnie, tylko odległy turkot młyna przerywał tę ciszę.

Noc pogodna otoczyła ziemię uśpioną — sen cichy skleił oczy pracowników i było cicho, rozkosznie, w tę najpiękniejszą noc letnią... w noc świętojańską.

„GDY KONWALIE ZAKWITNĄ."

(OBRAZEK.)

W eleganckim, gustownie umeblowanym salonie, przy fortepianie otwartym siedziała młoda kobieta. Z pod jéj palców drobnych, zręcznie przesuwających się po klawiaturze, płynęła dziwna jakaś melodya, fantastyczne potpouri, w którém skoczne dźwięki mazurka mięszały się z minorowemi tonami nokturnów, to znów ustępowały ciężkim akordom pogrzebowego marsza.

Dzień był jasny; przez koronkowe, delikatne firanki wpadały promienie słoneczne, ślizgały się po gładkiéj, błyszczącéj posadzce, po złoconych ramach zwierciadeł, po szerokich liściach kwiatów egzotycznych, które ustawione w gustownych żardinierach tworzyły miniaturowe kląby.

Niedyskretne promienie światła otaczały także i główkę grającéj, jakimś nimbem świetlanym i podnosiły, potęgowały urok jéj piękności.

Była to główka zarysowana prześlicznie, ozdobiona bogatym zwojem warkoczy jak krucze pióra czarnych i lśniących, misternie i z wdziękiem ułożonych. Rysy twarzy regularne, drobne, przypominały profil starożytnéj kamei, drobne usta składały się do uśmiechu, a duże, czarne oczy w prześlicznéj oprawie, spoglądały z pod

rzęs długich z wyrazem tłumionego smutku. Twarz była alabastrowéj białości, figurka zgrabna i wiotka, rączki drobne i szczupłe.

Grała dość długo zapatrzona w jakiś obraz na ścianie wiszący, przechodziła od motywów wesołych do poważnych, smutnych, coraz smutniejszych, aż nareszcie zakończyła tę fantazyę urwanym jakimś akordem, w którym zaklęła żal, jęk i boleść stłumioną.

Wstała od fortepianu szybko i zdawało się, że ma łzy w oczach, otarła je jednak śpiesznie i zniknęła za ciężką portyerą.

Tam znajdował się jéj własny pokoik, najmilszy dla niéj kącik w całym domu. Było w nim jasno, słonecznie, mebelki filigranowe, rzeźbiona szafka z książkami, biureczko małe, z wszelkiemi przyborami do pisania.

Usiadła przy biurku, wydobyła z szufladki zapisany do połowy kajet i zaczęła kartki przerzucać w zamyśleniu. Potém wzięła pióro do ręki i pięknym, wprawnym charakterem pisać zaczęła.

Zajrzyjmy w te notatki, przysłuchajmy się téj spowiedzi dziewczęcia.

... „Nie wiem dlaczego smutna i zgnębiona jestem. Nie wiem dlaczego zdaje mi się, że jakiś głaz leży mi na sercu... Czasem, wśród wesołości i pustoty ogarnia mnie trwoga. Czasem śnię, że biegnę przez pola i łąki samemi kwiatami usłane, przez różane gaje, że pod stopami memi rozciąga się kobierzec aksamitny, miękki, zielony — przerznięty srebrnemi wstęgami strumyków — śnię, że mi jest tak błogo, dobrze, lekko, gdy naraz tuż przedemną, nagle otwiera się przepaść bezdenna, szeroka jak morze, a czarna jak noc... Przepaść otwiera przedemną czarną swoją gardziel, — a ja nie mam siły cofnąć się, skamieniała, bezwładna jestem. Chcę krzyknąć, ale głos w gardle zamiera, chcę uchwycić za cierń nad otchłanią rosnący, cierń krwawi mi dłonie i łamie się jak słomka... Opieram nogę o głaz jakiś — ale i ten

nie wytrzymuje mego ciężaru i stacza się z przerażającą szybkością... Z krzykiem rozpaczy budzę się zmęczona, bezsilna, patrzę z przerażeniem szeroko otwartemi oczami i nie mogę zdać sobie sprawy gdzie jestem? A jednak, a jednak, ja jestem w moim, tym samym milutkim pokoiku, leżę na wygodnych poduszkach, blada lampka oświetla mój kącik, a ze ściany madonna Murilla spogląda na mnie bosko łagodném wejrzeniem, jak gdyby chciała powiedziéć: nie lękaj się, dziewczyno...

Dlaczego ja miewam sny takie? dlaczego nieokreślona tęsknota, dziwne jakieś przeczucie ogarnia mnie tak często? dlaczego nawet wśród zabawy, wśród blasku świateł balowych i przy dźwiękach doborowéj orkiestry, nieraz zadumam się, posmutnieję i pytam sama siebie: co jest na dnie owéj czarnéj, niezgłębionéj przepaści? Czy jak człowiek w nią wpadnie, to już spada, spada przez całe wieki, bez końca i nie zatrzyma się nigdy i zniknie w niezgłębionym oceanie nicości? Dziwne pytanie, dziwne myśli! Mama gniewa się o nie, poczciwy mój spowiednik tłomaczy mi zasady wiary i pociesza słowem religijnéj pociechy... Ojciec prosi, żebym się bawiła, żebym szukała rozrywek; każdy, każdy z mego otoczenia tak jest dla mnie dobry, uprzedzający, łagodny, że nie wiem sama czy mnie uważają za stałą tego domu mieszkankę, czy za drogiego gościa, na którego przyjęcie całą serdeczność wylać trzeba. Mama mnie często całuje i mówi: bądź spokojna i wesoła, dziecino... a ja ściskam jéj dłonie poczciwe, pocałunkami je okrywam, poprawę przyrzekam i znowuż smutna jestem jak przedtém.

. . . .

Powiada mi mama, że są na świecie ludzie biedni, ubodzy, nędzarze, którzy chleba dla dzieci zgłodniałych nie mają, którzy mieszkają w wilgotnych piwnicach, na garści słomy przegniłéj... Jest to okropna prawda! Raz

kiedy byłam bardzo smutna, kiedy owa czarna przepaść stała mi przed oczami, mama moja poczciwa przyszła do mnie, pocałowała w czoło i rzekła: — pojedź zemną, dziecko, zobaczysz ludzi smutnych i nieszczęśliwych, zobaczysz na jawie, oczami własnemi czarną otchłań nędzy i rozpaczy.—Pojechałyśmy. Powóz toczył się po jakichś uliczkach fatalnych, znać było, że jesteśmy w dzielnicy ubóstwa. Mama zatrzymać się stangretowi kazała przed jakimś brudnym domem. Po schodkach zabłoconych, ciemnych, weszłyśmy do suteryny dusznéj, wilgotnéj i tam ujrzałyśmy leżącą na tapczanie kobietę, z dwojgiem dzieci wynędzniałych, pół-nagich. W drugim kącie, chory jakiś człowiek, z zarośniętą twarzą, wystającemi policzkami, z oczami patrzącemi strasznie, szarpał brudną koszulę na wyschłéj piersi i rękoma znaki jakieś dawał. Uczułam, że mi się serce ściska... wybuchnęłam płaczem... Konwulsyjnym ruchem zerwałam z siebie zegarek, broszkę i pierścionki, i rzuciłam je na kolana choréj; mama nie broniła mi tego. Poczciwa, zawołała stróżkę, dała jéj pieniędzy, kazała kupić węgli, chleba i mięsa i posłać po doktora. Odeszłyśmy aż wtenczas gdy się już ogień palił w piecu, gdy małe dwa dzieciaki z chciwością zatopiły zęby w świeżych bułkach.

Mama nic nie mówiła do mnie, tylko gdyśmy wróciły już do domu, gdy ja wieczorem w zwykłe zamyślenie wpadłam, zbliżyła się do mnie pocichutku, pocałowała w czoło i rzekła:

— Wszak prawda, duszko, jacy nieszczęśliwi są tamci?...

Więcéj nic mama nie rzekła, ale ja zrozumiałam całą doniosłość téj prostéj a wymownéj nauki, wiem co mama chciała powiedzieć.

I rzeczywiście Bóg dobry dał mi los godzien zazdrości. Od dzieciństwa samego stąpałam po różach. Jedyne dziecko rodziców, wypieszczone, ukochane, miałam i mam wszystko czego mogę zaprągnąć. Nie żałują

mi niczego, troskliwie rozwijali mój umysł, uczyli mnie, wozili po najpiękniejszych krajach, pokazywali wszystko, co może być godném widzenia. Ja nie jestem niewdzięczna, ja ich serdecznie kocham, jabym życie za nich oddała.

A jednak nieraz krwawię im serce moim smutkiem. — Dlaczego? dlaczego, pytam nieraz sama siebie i odpowiedzi znaléźć nie mogę. Zresztą czyż to ja jedna smutna jestem?... Kiedyśmy raz byli na majówce w lesie, widziałam mnóstwo drobnych ptasząt śpiewających wesoło... jedna tylko jakaś szara ptaszyna, usiadła na zeschłéj gałęzi dębu i śpiewała bardzo smutnie... Dlaczego? któż to odgadnąć może?

. . . .

W kilka miesięcy późniéj, drobna, biała rączka znowuż posuwała się po papierze:

„Gdzieżeście smutki moje, gdzieżeście? A pierzchnęłyście daleko jak czarne kruki spłoszone, jak nietoperze brzydkie... zniknęłyście, niema was!

Śni mi się czasem owa przepaść czarna, śniła mi się wczoraj nawet, ale jakże inaczéj! Już nie pokrwawiłam sobie ręki o ciernie, nie staczałam się z martwym głazem, bo oto gdy się przepaść rozwarła przedemną, pochwyciły mnie wpół dwie ręce silne i krzepkie i zaniosły napowrót na aksamitne łąki, do gajów różanych. Szłam z nim razem uśmiechnięta, wesoła, szczęśliwa — przyświecało nam słońce, śpiewały ptaszki i zagłuszały głos téj szaréj, malutkiéj, która zawsze śpiewa żałośnie.

I ja teraz śpiewam i ja się śmieję. Życie nowe, nieznane, otwiera się przedemną w rozkosznéj, czarującéj perspektywie. Ja kocham, kocham duszą całą i jestem kochana jak nikt na ziemi. Jakie on ma oczy wymowne, jakie myśli szlachetne, kiedy mówi co to ożywia się, zapala, a ja słucham słów jego jak najpiękniejszéj melodyi... Ja kocham go, tak, kocham! On dla

mnie życiem, światłem i światem, on mi wszystkiem na ziemi. I rodzice moi poczciwi pokochali go także. Za kilka miesięcy urządzą nam cichy dworek wiejski, i tam, zdaleka od miasta i od gwaru żyć będziemy jak para gołębi. Ale ja mateczkę moją zabiorę z sobą także i ojciec odwiedzać nas musi. Nie chcę być egoistką, nie chcę sama tylko cieszyć się z moim Leonem.

Wyjedziemy na wieś, nawet doktor powiada, że to dla mnie będzie daleko lepiéj — nasz stary doktor domowy. Ale, a propos doktora, zastanawiają mnie jego częste wizyty. Czyby zakochał się we mnie, że odwiedza mnie co dzień i wmawia w mamę, że ja jestem chora?

O znawcy! znawcy! o ludzie niby to uczeni! powiadacie żem chora, a ja w sobie czuję tyle energii, tyle siły, żebym jak małe dziecko motyle po całych dniach goniła... dajcie mi skrzydła, a z jaskółkami ścigać się będę, a zajrzyjcie w me serce... przelękniecie się, tyle tam chęci do życia, tyle najpiękniejszych nadziei...

Żem osłabiona trochę — to przejdzie.

. . . .

Jak oni mnie kochają, rodzice moi najdrożsi, aż do przesady prawie, do śmieszności! Chodzą na palcach, żeby mnie hałas nie drażnił, wyłożyli mój pokój miękkim dywanem, w oknach poustawiali kwiaty, koniecznie chcą ze mnie zrobić jakąś pustelnicę leśną, lecz ponieważ to zima, a w lasach podobno śniegu masa, więc mój pokoik zamienili na las. W dużych wazonach stoją młode świerki i sosenki, balsamiczny ich zapach przepełnia powietrze. Leon przynosi w doniczkach najpiękniejsze fijołki parmeńskie i ustawia je wszędzie...

Obchodzą się ze mną jak z chorem, grymaśnem dzieckiem. Stary doktor przyprowadza z sobą codzień jakiegoś swego kolegę i obydwa zanudzają mnie pytaniami.

Prosiłam już ojczulka żeby ich nie przyjmował. Niepotrzebni mi oni, nie znają się na niczem — osłabienie moje i niemoc przeminą same, zresztą zaś nic mi nie dolega, nic nie boli.

Poczciwy Leon, przychodzi codzień po południu, ja oczekuję go jak królowa, w wysokim fotelu, miękkim, wygodnym, ubrana zazwyczaj biało, z bukiecikiem fijołków u gorsu. Warkocze puszczam swobodnie — bo on je tak lubi; czasem, sądząc, że ja tego nie widzę, bierze je do ręki i pocałunkami okrywa. Kryje się z tą pieszczotą, sądząc, że rozgniewałabym się może. Dziwny chłopak, on nie wie, że ja naumyślnie oczy przymykam. Ja siedzę, jak królowa w fotelu, on na małym stołeczku jak mój paź—i czytuje mi książki — poezye przeważnie. Słowackiego wiersze brzmią w jego ustach jak najrozkoszniejsza muzyka, jego głos metaliczny, pełny, dodaje im wdzięku i uroku. Gdy Leon mi czyta, ja się upajam harmonią... głos jego mnie czaruje, jak głos syreny. Czasem płacę mu za Słowackiego Szopenem. Leon podaje mi rękę, prowadzi do fortepianu i słucha gry mėj zadumany. Zawsze jednak jestem mu dłużną — bo on kilka godzin czyta bez wytchnienia, a ja dłużėj nad kwadrans grać nie mogę. Palce mi wychudły, zeszczuplałam, czuję brak sił.

To ci niegodziwi doktorzy swemi szkaradnemi lekarstwami zrujnowali mi zdrowie.

. . . .

Znów przykre sny zaczynają powracać, znowuż bywa mi smutno...

Nieraz na mojėm czole zbierają się chmurki, jestem niekiedy przykra i niecierpliwa. Raz nawet powiedziałam Leonowi, że jest nieznośny, sądziłam, że się obrazi. Ale on, poczciwy, przeprosił mnie jeszcze, po rękach całował. Złote serce ma ten chłopak, a w jego obejściu się ze mną tyle jest łagodności, tyle dobroci szla-

chetnéj... I ojczulek, i matka także mnie serdecznie kochają, tylko dziwię się dlaczego oni tacy smutni wszyscy? Czy to już takie prawo, żeby zawsze ktoś smutny był w domu? Jak oni byli weseli to ja się smuciłam—teraz jak mnie weselej, to oni posmutnieli znowuż. Dziwna i nieustanna plątanina łez i uśmiechów... Powiadają poeci, że życie z tych czynników się składa i że dla tych kontrastów właśnie jest takie piękne, Prawda, że róża przy cierniu więcej wdzięku nabiera, pogoda po burzy milsza...

Ciężko mi jakoś dziś pisać... Gdyby Bóg dobry, który tyle dobrodziejstw zesłał na mnie, tyloma darami obsypał, dał mi jeszcze do tego odrobinkę..,. maleńką odrobinkę siły, tak przynajmniéj, żebym ze swego fotelu do fortepianu bez pomocy mateczki lub Leona przejść mogła, tobym podziękowała mu gorącą, serdeczną modlitwą... Zagrałabym „Ave Maria" lub „Stabat Mater" tak pobożnie, tak rzewnie, żeby każdy ton był łzą, każdy akord westchnieniem... Lecz czemuż ja bluźnię?... Czyż szczodrobliwość Boża nie zesłała mi tylu darów w tém życiu?...

Śmiałam się z doktorów — ale niestety, oni mieli słuszność — ja istotnie cierpiącą się czuję.

. . . .

Dziś jest 3 lutego, dziś miałam uroczyście, przed ołtarzem, zaprzysiądz Leonowi miłość moją. Poczciwa mateczka kazała mi zrobić prześliczną białą sukienkę, dziś miałam przykryć głowę wiankiem z kwiatów pomarańczowych...

Niestety, nie pozwolono mi do kościoła pojechać, odłożono nasze wesele.

Rozpłakałam się serdecznie, ale dobrzy moi rodzice otarli mi łzy pocałunkami, a mój Leonek kochany uklęknął przedemną, ujął za obie ręce i mówił długo, długo, serdecznie. Upajałam się dźwiękiem jego wyrazów, słu-

chałam w zachwyceniu patrząc mu w oczy... Mówił on, że niedługo już, na wiosnę, gdy się drzewa zazielenią, gdy słowik śpiewać zacznie i gdy konwalie białe zakwitną, wiosna przyniesie mi odrobinę zdrowia i siły... młodziutkie słońce przygrzeje i wywoła na bladą twarz moją dawno niewidziane rumieńce — wtenczas pojedziemy do naszego ustronia, na wieś, do cichego dworku, powyrzucamy za okno wszystkie flaszki apteczne, a będziemy wzmacniali piersi świeżem powietrzem pól i lasów, będziemy oddychali aromatem ziół, będziemy chodzili na odległe spacery.

Uśmiechnęłam się do niego, objęłam jego piękną głowę rękami i na szerokiém, myslącém jego czole, złożyłam pierwszy pocałunek. Zdawało mi się, że dwie gorące łzy stoczyły się z powiek Leona.

Czemuż on płakał — przecież gdy konwalie zakwitną...

O kwitnijcież, kwitnijcie prędzéj, drobne, śnieżne kwiateczki! Ukażcie się prędzéj w czarnych borach, wynijdźcie co rychléj z pod topniejącego śniegu i zajaśnijcie białe, niewinne, wonne... jak zwiastuny nowego życia, szczęścia i miłości...

Kwitnijcie drobne kwiatki, kwitnijcie...

Tyle z dziennika.

. . . .

Gdy konwalie zakwitły, mała rączka nie posuwała się już po welinowych kartkach pamiętnika, nie notowała myśli i marzeń biednéj choréj.

Zmarła przedwcześnie, jak kwiat kosą podcięty, dziewczyna przestała cierpiéć, zamknęła piękne oczy na zawsze.

Na powązkowskim cmentarzu, wpośród kasztanów kwitnących, wzniósł się bogaty pomnik marmurowy.

Anioł śmierci schylał zgaszoną pochodnię, złocony napis uwiecznił boleść rodziców.

Wymowniejszemi jednak nad wszelkie napisy były gorzkie łzy matki, która prawie codzień przychodziła na grób swej jedynaczki, a ile razy przyszła modlić się i płakać, tyle razy znajdowała na grobie świeży bukiecik kwitnących konwalij, które kochająca jakaś ręka codziennie składała.

ZAJĄC.

(RAMOTKA.)

Był pogodny ranek jesienny. Na trawie poczerniałéj, w rowach przydrożnych, na ciemno zielonéj runi oziminy znać było mróz biały: słońce zarumieniło już wschód zapowiadając dzień jasny i pogodny, jeden z tych pięknych dni, jakiemi nas czasem spóźniona jesień obdarza.

Na drodze panował ruch niezwykły. Na furach i pieszo dążyli chłopi ku miasteczku, niektórzy prowadzili krowy lub woły; owdzie kobieta szamotała się z „gadziną," szarpiąc ją umocowanym u tylnéj nogi postronkiem, tam znów jakaś jejmość z waszecia dumnie spoglądała z wysokości rozklekotanéj bryczki, owdzie przemykał na biedce żydek zaaferowany, okładając biczem wychudzoną szkapinę.

Wszyscy dążyli do jednego celu — a wszystkim było pilno, każdy się śpieszył.

Bo téż to i dzień niezwyczajny. Wtorek po świętym Marcinie, wielki jarmark w Okpiszewie, sławny na całą okolicę. Na ten dzień ściągali do Okpiszewa z sąsiednich a nawet z bardziéj odległych miasteczek czapnicy, szewcy, bednarze, blacharze, handlarze sukman i kożuchów. Rozbijali oni swoje kramy i namioty na ryn-

ku, ustawiali improwizowane półki, ochrypłym głosem zachwalając i reklamując swój towar.

Wiedzieli oni dobrze, że dzisiejszy dzień to żniwo— a wszyscy chłopi wiedzieli również, że dziś w Okpiszewie, oprócz chyba ptasiego mleka, wszystkiego co dusza zapragnie, dostanie. Szklanych paciorków, wstążek, korali, galantych kozików, spinek z lusterkami, grzebyków któremiby można najtwardszy tynk z murów oskrobywać, obwarzanków, kiełbasy, pierników, śledzi i innych wykwintnych łakoci...

Chłop, choćby miał się zupełnie bez obuwia obywać, nie kupił butów gdzieindziéj, tylko na święty Marcin w Okpiszewie, dziewczyna tam kupowała czerwono malowaną skrzynkę na wyprawę, gospodyni chustkę albo obraz święty na ozdobę izby.

Okpiszewscy żydzi na dwa tygodnie naprzód przygotowywali zapasy w szynkach, sklepach, kramach; cieszyli i radowali się, żałując zarazem, że ten święty Marcin nie bywa przynajmniéj co tydzień.

Na drodze aż się czerniło od fur, można było słyszyć wesołe rozmowy podróżnych, kwik trzody, lub też przeciągłe ryczenie krów oglądających się ciągle za wioską, z któréj je wyprowadzono.

Wśród pieszych szedł także Michał Gil, gospodarz z Zawadówki, z małżonką swoją Magdą, młodą jeszcze, przystojną kobietą.

Michał szedł zamaszysto, kijem się sękatym podpierał, na plecach miał kobiałkę łubianą, u pasa kozik i krzesiwko, jak na porządnego gospodarza przystało. Żona dotrzymywała mu kroku o tyle, o ile „gadzina” prowadzona przez nią na jarmark, nie szarpała postronkiem i nie zbaczała do rowu.

— Widzis, Michale, — mówiła baba — chciało ci się samemu iść na jarmark, ale niedocekanie twoje! Ja dziewką byłam jeszcze u ojców, w chałupie, i dlatego żaden jarmark przezemnie się nie obył — a tera, na

swojém gospodarstwie, mam w taki dzień siedzieć jak zamurowana.

Chłop ręką machnął.

— Zawdy, — rzekł — jeno pretensye masz. Chciałem iść sam, bo jenteres mam taki, co do niego baba tak potrzebna jak dziura w moście, abo jak nieprzykładając, dyabeł w Częstochowie.

— Ot zamknij lepiéj gębę! żebyś w złą godzinę nie wymówił! Jenteres ma! ciekawość jaki to jenteres co może być przez baby? Chyba kozę pójdziesz odsiadywać.

— Nie będę ja nic odsiadywał — bom nikogo nie zabił, ani jenszéj rzeczy nie zrobił—a co do jenteresu... tfy! niech cię marności ogarną!...

— No — a co?

— Musi chyba nie widziałaś? zając bez drogę przeleciał... i jeszcze pytasz się co? Magda, — dodał ciszéj,— mnie się widzi, że zawdy lepiéj się wrócić.

— Bez głupiego zająca?! a żeby on skapiał prędzéj. Nie słyszałeś ty jak ksiądz na jambonie przykazywał żeby w takie głupie bajdy nie wierzyć?!

— Et, ksiądz księdzem — a zając zającem. Przepomniałaś to już jak łońskiego roku na wiosnę, jakem to do lasu jechał i baba mi drogę przeszła, to mi się koło złamało?

— To musi baba w tém winna, żeś woza w domu nie opatrzył. Sprawiedliwie to powiadają: że kiepskiéj tanecznicy to i obrąbek zawadza, jenszy niezguła porządku kiele woza nie dojrzy, a jak mu się w drodze szkoda zrobi, to na babę spędza, albo choć i na zająca.

Chłop zaczął się w głowę drapać.

— Nie, rzekł, nie, Magdusiu, chyba się zawróćmy, po co guza szukać, mówię ci, że będzie nieszczęście.

— No — a jakże z tym jenteresem, co przez baby miał być?!

— Obendzie się.

— Niby jak?

— A tak, mam stare buciska, to w nich siako tako do godów przechodzę.

— Ehę! toś ty taki jenteres miał, buty chciałeś se kupić.

— A ty zkąd wiesz?

— Zkąd? musi mi ten zając powiedział, coś go się zląkł jak złego.

Chłop usiadł nad rowem i usiłował przekonać żonę żeby nie iść.

— Powiadasz, — mówił, — że ksiądz zakazuje — no dobrze, o babie zakazował z jambony, bom sam słyszał — ale o zającu nic nie gadał.

— Słuchajno, Michał — odrzekła żona, trącając go potężnie w bok,—albo ci ja kiedy krzywa była? albo ja o twoje dobro nie stojała? czy ja latawiec? czy ja tobie nie gospodyni, nie żona, twoim dzieciom nie matka? Czy te to nie dbam, nie haruję jak wół.

— No jużci, to prawda, po sprawiedliwości, ja tam powiadam, żeś rzetelna kobieta, poczciwa, ale też i ja dla ciebie nie pies, krzywdy odemnie nie masz, a choć się przemówimy czasem, to dlatego gnatów ci nie przetrącam, jak insze swoim kobietom, nie skrzywdzę, przyodziewek też masz jak się patrzy, głodu nie mrzesz.

— Zgrzeszyłabym też, żebym powiedziała, że nieprawda; przemówienie to swoja rzecz, a choć mnie jeszcze po ostatniém przemówieniu plecy bolą i stara Zagnańska musiała mnie wódką z psiem sadłem smarować, dlatego ja sobie nie krzywduję. Zawdy ty mnie mąż, a ja tobie żona, a co Pan Bóg miłosierny złączył, to nic nie rozłączy, jeno co rydel a motyka. Wstań, wstań, Michałku, pójdziewa, co se tam będziesz brał do serca — chodź.

Chłop namyślał się.

— Oj, oj! — mówiła dalej kobieta — wszystkie wy chłopy jednakie, a nie przykładając, wszystke sielmy.

Nie bój się, żebym tak temu dziesięć lat, jeszce kiej u ojców w chałupie byłam, żebym tak, na to mówiący rzekła: chodź, Michałku, to byś na stado wilków nie patrzył, jeno leciał. Może nie?!

— Ha, albo ja wiem, powiadasz, żebym leciał i mnie sie widzi, żebym leciał, — dodał śmiejąc się. Zreśtom i dziś przecie zły dla cię nie jestem, Gadasz iść, ha! rezyk fizyk! co będzie to będzie, idę!

— Ot tak to ale,! taki stateczny gospodarz, taki chłop, zeby się głupiego zająca bojał!! Chodźmy, prosięcinę sprzedamy, choć biednie za siedm rubli, zara sobie chustkę kupię i dzieciom obwarzanków choć z dziesięć, niech tam i one robaczki mają uciechę.

— I ja im kupię, jeno wpierwéj buty — to je napierwsza rzecz.

— Napierwsza rzec—a chciałeś sam kupować, przezemnie!

— A juści, bo ja chcę wedle nowéj mody, foremnie, a ty moze...

— Nie pleć, pleciugo, nie pleć. Toć nieraz sama ci gadałam, zebyś se kupił galante buty nowomodne, jak młode gospodarze noszą, bo patrzéć nie mogę jak się telepiesz w takich stęporach, rychtyk jak kuń po grudzie. Juz ja ci sama buty naraję galante, jak się patrzy.

— Ech! albo to ty na rzemień znawczynia?

— Nie—tylo musi chłop to juz na wszystko znawca! wielga rzec rzemień, aby jeno mocny był to i ju!

Tak rozmawiając zbliżyli się do Okpiszewa. Już na moście był ścisk okropny. Dzierżawca rogatki kłócił się o kopytkowe, faktorki i przekupki przeglądały wszystkie fury, kilkunastu dziadów śpiewało na całe gardło: jeden o świętym Mikołaju, drugi „kto się w opiekę,” dziesiąty o św. Rochu, obrońcy od morowego powietrza...

Michał dał jednemu dziadowi trzy grosze, na pacierz do Przemienienia Pańskiego, bo mu fatalny zając nie mógł jakoś wyjść z głowy.

Wszakże wbrew owéj wróżbie, interesa odrazu wzięły pomyślny obrót. Za prosiaka, wedle obliczeń Michałowéj miało być siedm rubli, tymczasem rzeźnik niewiele się targując, dał za niego dziewięć rubli i złotych dwa, przybił Michałowi rękę, aż się po całym rynku rozległo i jeszcze litkup zapłacił.

Co prawda, w Okpiszewie na św. Marcin, bywali porządni rzeźnicy, aż z pod Węgrowa podobno, czy może z innego końca świata....

Uradowani małżonkowie pragnęli też zaraz załatwić sprawunki.

— Słuchajno, Michał, — rzekła baba,—mnie się widzi, że pasowałoby ci kaszkiet kupić, takie masz wielkie czapczysko, jak nieprzykładając, wronie gniazdo, kozuch na nic zrudział, denko wypłowiało i wstąscyna, ze tylko na śmiecie wyrzucić.

Żyd czapnik podsłuchał rozmowę i wnet chwycił Michała za rękę.

— Aj waj, gospodarzu, — zawołał, jaką wy macie rozumną kobietę, aj waj, jaką rozumną! Co ona w swojéj głowie ma, to prawdziwy majątek. Żeby wy tyle zboża w stodole mieli, co ona ma w swojéj głowie rozumu! to rarytna kobieta jest, na moje sumienie!

— Nie scekaj zydzie, — rzekła Michałowa, — jeno daj kaśkiet, rzetelny kaśkiet z daszkiem.

— I to macie recht, na co jemu staromodne czapke? taka czapka barania, jak konewka, to ciężkie jest, trzeba zdrowe szyje żeby mogła udźwignąć głowę z takim baranem! trzeba bydlęce szyję na taki interes!

— Magduś, — rzekł Michał, a może lepiéj zamiast kaśkieta capkę by kupić, tera do zimy idzie, mróz, cy do lasu cy jak, zawdy ciepléj.

— Macie recht gospodarzu, — rzekł żyd wybierając ogromną czarną czapę baranią, — macie recht! Tera do żyme idzie, kto nosi kaszkiet, żeby wiater jego świszczył po uszach! Ja wam co powiem: letki człowiek, letka czapka, stateczny człowiek, stateczna czapka! Po czém poznać siłę w koniu? po ogonie — a po czém poznać osobę? po głowie! a że każde głowe jednakowe jest, to trzeba poznać po czapce! Kto nosi kaszkiet! pisarczyk od wójta, a kto nosi taką czapkę? sam wójt! Aj waj! aj waj, czekajcie — niech no ja wam wybiorę kawałek czapki w dobrym gatunku, coś fajn!

To mówiąc, żyd wsadził Michałowi na głowę olbrzymie czapczysko, i natychmiast zwracając się do Michałowéj zapytał:

— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie un się podział wasz chłop, co tu stojał niedawno, gdzie un się podział?!

— A dyć stoi przed tobą, — rzekła z gniewem baba — gdzie się miał podziać — toć się w ziemię przecież nie zapadł!

— Na moje sumienie, ja jego niepoznałem w téj nowéj czapce, żebym tak nieszczęścia nie widział; tu stojał sobie chłop, zwyczajny chłop, jak dużo chłopów jest, a teraz taki gospodarz, taka osoba, że na całą gibernię takiego nie zdybować! Ja jak żyję na świecie nie widziałem, żeby który wójt tak wyglądał. Ale téż to jest kawałek czapki! aj, waj! jaki to kawałek czapki jest!

— No Magda! jak?—zapytał Michał—jak ty mi raisz... kaśkiet, czy czapkę?

— A no, albo ja wiem, może według zimy i czapkę, a na św. Jan kupisz se kaśkiet, jak zechcesz.

— Aj, aj sprawiedliwie pani gospodyni powiada, bardzo sprawiedliwie, ja nawet niewiem gdzie wy na wsi taki rozum zdybali! Na moje sumienie!

Po długim targu, odchodzeniu, zawracaniu kilkakrotném, Michał został właścicielem wspaniałéj czapki, która zdaleka szczególniéj, wyglądała rzeczywiście jak wronie gniazdo.

Pani Michałowa sprawiła sobie chustkę bardzo piękną, w któréj barwy czerwona, zielona i żółta kłóciły się z sobą zawzięcie, i nareszcie, przed zmrokiem jeszcze, zrobiony został najważniejszy sprawunek... buty.

Szewc z czerwonym nosem, znany na wszystkich jarmarkach handlarz obuwia, zaklął się na wszystkie świętości, na żonę, dzieci, na zbawienie duszy, że rzemień na butach jest mocny jak żelazo, a fason najświeższy warszawski; że podkówek najlepszy kowal obcęgami nawet nie oderwie i że nareszcie w tém wspaniałém obuwiu można stać w wodzie przez rok i sześć niedziel i nie przemoczyć się wcale. Zapewnił, że z tego samego towaru robił buty dla dwóch młynarzów i rybaka, przyczém opowiedział bardzo ciekawą historyę. Jeden z jego klientów, kupiwszy buty, takie same właśnie jak Michał sobie wybrał, łowiąc ryby na jeziorze utonął i dopiero w pół roku późniéj woda wyrzuciła go na brzeg. Cygan, który właśnie tamtędy przechodził, pozazdrościł topielcowi tak pięknych butów i ściągnął je, potém dostał się do sądu i w tychże samych butach przesiedział dwa lata w kryminale — ale nie dość na tém, bo wyszedłszy z kryminału, sprzedał je żydowi, za cztery złote podobno.

Doprawdy, od takiego majstra jak ów szewc nie żal przynajmniéj kupować, bo to i majster dobry i człowiek wymowny, umie towar zachwalić i uszanować każdego, nie targuje się jak żyd; jak może co opuścić z ceny to opuści i da statek porządny, co się zowie i nie obedrze człowieka.

Jarmark powiódł się Michałom. Prosiaka sprzedali dobrze, kupili piękną chustkę, czapkę, buty, obwarzanków dla dzieci, a prócz tego Michałowa zaopatrzyła się



— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie un się podział wasz chłop, co tu stojał niedawno, gdzie un się podział?! (Str. 257).)

w duży garnek gliniany, polewany, o jakim już od dawna marzyła; kupiła także soli, oraz kilka pierniczków dla swego „raka zatraconego" najmłodszego Antosia, którego bardzo kochała. Sprawunki zawiązała w chustkę, a Michał przymocował nowe buty u kobiałki, poczém wstąpili do Lejbusia, napili się na drogę wódki, zjedli śledzia prosto z beczki, parę bułek i poszli do domu.

Pokrzepiwszy siły, zyskali także i na humorze. Szli żwawo. Kiedy już minęli most, baba odezwała się.

— A co Michałku, musi moja prawda, że tak jest jak ksiądz przykazuje, a twój głupi zając poleciał se w krzaki, jak zwyczajnie zając, i przeszkody ci żadnéj nie uczynił.

— Et! co ty tam wiesz. Zwyczajnie jak baba, gadasz jeno po próżności—aby gadać.

— Tak, tera to ci baba — a przepomniałeś jak to było dziesięć lat temu? Magduś—słonko! Magduś—kwiatek! Magduś kochanie — a tera to baba! Ej, żeby mi tak garka nie szkoda, co go trzymam w garści, to bym cię tak dzbęknęła po łbie, aż by ci się babka przyśniła, paskudny chłopie!

— Tobie jeno do dzbękania, to najpierwsze, to nie kobiecka rzecz, moja Magduś.

— Aj, aj, jaki ty mądrala, Michałku! — u ciebie wszyćko nie kobiecka rzec! — a miałbyś ty buty, żeby nie ja? — miałbyś taką capkę galantą? — przedałbyś może prosioka za dziewięć rubli i złotych dwa, żeby nie moja głowa, nie kobiecka głowa?

— No — juści, możebym i przedał...

— Ale... przedołbyś! — kumedya! — a kupiłeś co dla Jantosia, ty ojcze! cobyś to niby za dziećmi w ogień wskoczył?!

— Ano juści, kupiłem obwarzanków za cały złoty, to i dla Jantosia będzie.

— A ja kupiłam dla niego jeszcze coś...

— Bo u ciebie Jantoś oczko w głowie, a mnie kużde dziecko wraz.

— Toć i ja matka — jeno Jantoś najmniejszy i rychtycek taki na gębie jak ty Michałku.

Chłop się rozrzewnił.

— Aj, Magdusiu, jagódko — rzekł — musi ty tylko tak gadasz se bez żarty...

— A juści! Sprawiedliwie to w pieśni śpiewają, co kużdy chłop to jak pies; choćby jemu duszę oddać, zawdy sceka...

— Cich! cich kobieto!... ja powiadam po sprawiedliwości, co takiéj baby jak ty Magduś, w świecie posukać. Ot, wiesz co, jagódko moja, mrok się już robi, chłodno jakoś, możebyśmy do Pohulanki zaszli, odpoczęli krzynkę... Jankiel tam dobrą wódkę ma — a po drugie, ludzie z jarmarku idą, kumów się spotka...

— Ej, już cię coś ciągnie?

— Ciągnie, albo i nie ciągnie, ale zawdy tak o suchym pysku z jarmarku wracać, to jakoś, mi się widzi, nie pasuje...

— Paskudny pysk, co zawdy do mokrości ciągnie!

— Widzis ją! jaka ci! A pamiętasz jakeś gadała dawniéj: „mój Michałek ma miodową gębę”?—a tera to ci paskudny pysk!

— Gęba gębą, to swoja rzecz.... a pysk co inszego.

— Dlatego wstąpmy, wstąpmy Magdusiu... co se będziesz nozyska zrywała na piechotę... na Pohulance swojak się znajdzie, to do saméj chałupy podwiezie...

— A swojéj kobyły to żałowałeś.

— Bo moje kobylsko z parobkiem rubla dziś zarobi, a rubla na drodze nie zdybie. Nie bój się, dobrze zerkasz na wojtkową łąkę, co ją chce przedać; ale radaby dusza do raju, jeno grzechy nie puszczają, pięniędzy nie będziemy mieli tyla co potrza — to dobry i rubel.

— Oj ty! ty! rubel to ci dobry — a na Pohulance dwa stracisz.

— Co? stracę? a choćbym i stracił, to swoje—a z kim? z tobą. Co to, ja kompaniów szukam, czy co? Czy to my źle żyjewa ze sobą? Ot, chciałbym se krzynkę pohulać, to i idę, a z kim idę? z żoną, z Magdusią moją, z mojem kochaniem, psiakość!

— No, to chodź,—jeno ci to przykazuję, nie siedź!— Zara, aby się tylko fura trafiła, pojedziem.

— Pojedziem, jagodo, pojedziem.

— Boć tam i dzieciska Bóg wie jak...

— No — siostra się przy nich ostała...

— Co siostra... zawdy to nie matka...

Na progu stał pan Jankiel, szynkarz z Pohulanki i witał swoich gości.

— Aj, waj! — zawołał — co ja widziałem?! Złoto, srebro, perłów widziałem, a Michała z Michałową nie widziałem! Aj, takie gość! takie gość! w Pohulance to wielki rarytas je! wielgie mecyje! Chodźcie do izby, tam je Mateusz Drozd z waszéj wsi i Wałko jest, i Michał jest, wszystkie są! — czy to dziś nie święty Marcin? nie zabawa?!

Michałowie weszli do karczmy, w któréj było już pełno ludzi. Janklowa nie mogła obsłużyć wszystkich gości, taki był popyt na gorzałkę, piwo i miód. Kumowie ściskali się, całowali, zapewniali się nawzajem o swojém przywiązaniu i czułości.

Na dobitkę, ni ztąd ni zowąd, znaleźli się jacyś dwaj wędrowni muzykanci, a widząc że ludzi jest dość i zarobek być może, zaczęli stroić skrzypce.

Młodzieży tego tylko było trzeba. Zaraz znalazł się jakiś elegant, gospodarski syn, tupnął podkówkami, chwycił wpół zapłonioną dziewuchę i krzyknąwszy—hu! ha! puścił się w tany.

Za jego przykładem poszli inni, i wnet obszerna karczma Jankla zamieniła się na salę balową. Michałowéj usiąść nie dano; była to kobieta przystojna, we-

soła, gospodyni porządna; za honor sobie miał każdy kto mógł z nią tańczyć. A i ona sama zabawić się także lubiła.

Zmęczona, wymknęła się do sieni — a ponieważ umówiła się z Mateuszem, że na jego furmance powrócą, więc téż wyszła przed karczmę, upakowała w wozie wszystkie sprawunki i okryła je dobrze słomą.

Było już późno; noc pogodna, choć zimno; księżyc płynął po niebie wysoko i rzucał blade promienie na poczerniały dach karczmy, na wioskę, las i rzekę, wijącą się między łąkami.

Przy koniach nie było nikogo, — jedni poszli tańczyć, inni pić, inni wreszcie przypatrywać się zabawie. Szkoda było babinie zostawić sprawunków na łasce losu; wgramoliła się więc na wóz, otuliła się chustką i pilnowała, w nadziei, że wyjdzie ktoś z karczmy i będzie dawał baczenie na wozy.

I dumało się babinie o tym zającu, co im dziś przez drogę przeleciał; o jarmarku, o butach, o chustce, o Michale swoim, który chłop dobry jest, ale czasem lubi się zabawić zanadto,—o dzieciach, a najbardziéj już o tym jasnowłosym Jantosiu, pieszczochu, który wciąż lubi za nią łazić, jak, nieprzymierzając cielę za krową i choć ma dopiero dwa lata, już gada: „matulu," tak jak najstarszy. Okrutnie dobry dzieciak i mądry, — po ławce do komina wylezie i patyczkiem, z ukropu, z garnka, potrafi wyjąć kartofel... taki dowcipny rak...!

Zadumała się kobiecina o tém, że ma tyle lnu do międlenia, że całą zimę prząść będzie na nowym kołowrotku, że z tego przędziwa naszyje koszul dla chłopa, dla starszych dzieci, dla Jantosia... A to płótno będzie śliczne, cienkie, równe, wybielone na słońcu... Jantoś pomoże jéj rozciągać je na łące, skoro już wiosenne słonko przygrzeje,—ten Jantoś, taki ładny, taki mądry, który o wiośnie już pewnie gęsi paść potrafi... Jak kto się urodzi zdolny, to go długo uczyć nie trzeba; dość

mu jednego słowa, dość mu raz dobrze pięścią w kark, a reszty sam się domyśli — odgadnie...

Chłodno jest na dworze, wiatr jesienny się wzmaga. Babina otuliła się w chustkę, wkopała nogi w słomę i — duma. Zmęczona podróżą, zmęczona tańcem, śni... czuje senność, oczy jéj się kleją — marzy... Zdaje jéj się, że siedzi w ciepłéj izbie, przy kominie, na którym ogień bucha wesoło; w wielkim garnku kartofle się gotują, w ryneczce skwierczy jak nieszczęście słonina... Ona sama siedzi przy kołowrotku i przędzie. Jantosiowi swojemu bajkę opowiada; starsza dziewczyna piérze drze pod piecem, chłopak sobie wiatraczek z gontów robi, a Michał podrywkę na ryby szykuje... Tak dobrze w téj chałupie, spokojnie...

W karczmie tymczasem bawią się, aż szyby brzęczą, wędrownym muzykantom pot oczy zalewa, Jankiel z wielkiéj krętaniny chałat z siebie zrzucił.

Mateuszowym konikom przykrzy się stać przed karczmą; zmęczone i głodne chciałyby się dostać do stajenki, zjeść świeżego siana, a późniéj rozciągnąć się na słomie, wypocząć. Schyliły łby ku ziemi, pożywienia węszą, krok za krokiem posuwają się naprzód, aż już karczmę minęły, a ujrzawszy się na drodze do Zawadówki, parsknęły raźno i pobiegły wyciągniętym kłusem...

Muzyka brzmiała w karczmie tak głośno, że turkotu wozu nikt nie słyszał, a szkapiny śpiesząc do domu, pędziły po równym, twardym gościńcu.

Mateusz kiwał się senny za stołem, Michał ożywiony zabawą i kilkoma kielichami gorzałki, o Bożym świecie zapomniał.

— Graj muzyka! — wołał, obejmując wpół którąś z licznych swoich kumoszek — graj! — i zawinąwszy połę od sukmany na ręku, przyśpiewywać zaczął:

Oj, w kalinowym lesie,
Oj, dyabeł babę niesie!

— Macie tez co śpiewać... — odezwała się kuma — jeszcze, chowaj Boże, w złą godzinę...

— Czekajta dalej — zawołał —

Ale upadł i jęknął
Bo mu zara grzbiet pęknął!

— To ci galanta baba być musiała — odezwał się jakiś chłop — i som dyabeł nie mógł jéj podźwignąć!...

— Wiadomo — wtrącił inny — baba to je ciężar...

— A musi wy to lekkie, jak piórko?... wiaterby was zdmuchnął!...

— Aj, wiater! wiater!... — dorzucił Mateusz półsenny — słyszyta jak hucy w kuminie? pewnie się kto obwiesił...

— Ziąb škaradny na świecie!

— Ziąb? — zawołał Michał, podskakując, — co mi ta ziąb! Niech się psi zimna boją, bo na dworze siedzą, a człowiek, skoro je w chałupie...

Ej, moja Małgorzato,
Nie zważaj ty se na to!
Bo choć na dworze zima,
Ale za piecem lato!
Hu! ha!

— Mateusie! Mateusie! — wrzasnął młody parobczak, wpadając nagle do karczmy.

— A co? półkwaterek ci dać?... Léj, Janklu, nie pytaj! ja rzetelnie zapłacę... do jednego grosa...

— Ale... Mateusie!...

— Co ta będziesz gadał po próżności... pij, kiedy ci dają, i tylo!

— Juści, pij!... Tu nie pij — jeno waszych kuniów nie ma przed karczmą!

— Ukradli! — krzyknął, odrazu wytrzeźwiony Mateusz — nieszczęście moje wielkie!

Michał urwał swą piosnkę w połowie nuty.

— Ludzie, ratujta! — zawołał Mateusz — goń, kto w Boga wierzy! ratujta moją chudobę! Hej Jankiel, psiawiaro! kto tu był obcy? — to musi twoje wspólniki!...

— Co to wspólniki!... jakie wspólniki?... ja was za potwarz do sądu podam!... widzita go!... ja wam pokażę, co to jest takie kalumnie zrobić!.!.! Co?!.. wspólniki?!.. kto tu złodziejski wspólnik jest?!...

Mateusz nie zważał na te krzyki.

— Chłopcy! — rzekł — kto w Boga wierzy, siadajta na kunie wierzchem i gońta! Nagrodzę, rzetelnie nagrodzę!... Oj! moje bydlątka kochane, od źrebiąt odchowane!... moja chudoba jedyna!...

Lamentujący Mateusz został przed karczmą, przy wozach, a chłopi, dosiadłszy koni, rozbiegli się na wszystkie strony.

Michał, na koniu swego sąsiada Marka, pognał za złodziejami napowrót ku miastu.

. . . .

Na drugi dzień pod wieczór, powrócił dopiero do wsi. Smutny, zbiedzony, głodny, nieśmiało wszedł do chałupy.

— Toć Boga pochwal przynajmniej... — rzekła do niego żona — przecie katolik jesteś...

— Niech będzie pochwalony... — odrzekł. Gadałem ci o zającu, nie chciałaś słuchać, a tera nieszczęście... ni prosioka, ni pieniędzy, ni butów, ni czapki — i jeszcze Mateuszowe kunie ukradli... Będę ja tera wiedział, jak to babskiego gadania słuchać... jak to na zająca nie zważać...

Kobieta rozśmiała się.

— Ej... nie śmiej się babo! — krzyknął groźnie — bo mnie mankulia porwie i jeszcze co złego komu zrobię...! Nie zaczepiaj mnie... pókim dobry!

Baba wstała z ławki i rzekła:

— No, nie pomstuj jeno; co się stało to stało, to się nie wróci — a tera chodźno do kumory, pokażę ci przybytek...

Chłop wszedł i ze zdumieniem zobaczył swoje buty nowe i czapkę, — i z niemniejszém zdumieniem dowiedział się, że Mateuszowe konie od wczorajszéj nocy są w domu.

— Pamiętajże se tera — mówiła, śmiejąc się, baba — żebyś sam chodził buty kupować, to przynajmniéj złodzieje nie będą boso chodzili.

— Ej, Magduś! Magduś! — jagodo... — dobra ty kobieta, ale... zawdy to je kiepsko, jak człowiekowi zając bez drogę przeleci!...

W POWODZI KWIATÓW.

(SZKIC MAŁOMIASTECZKOWY.)

Icek Kapitan, główny faktor, oraz sprawujący interesa okolicznéj szlachty w murach miasteczka X nad X. ogłosił szanownéj pani burmistrzowéj tego grodu wielką nowość:

— Of mejne munes, mówił kłaniając się nizko, jak przystoi przed gospodynią miasta; of mejne munes, co teraz będzie w naszém mieście wielkie dogodnościów!! Ten stary powiatowy doktor, to jak wielmożne pani prezydentowe wiadomo, wcale już do chorych nie chce chodzić—na co jemu tego? na co? Un ma pieniądze, un ma swoje domy, un cały obywatel jest, to ma się rozumiéć, kto jemu każe chodzić po żydowskich chałupach i oglądać ludziom za pozwoleniem... języków. Un wcale to niechce zrobić, un wielki purec jest, wielki pan, wielkie osobe!

— Tak, rzekła pani burmistrzowa, masz racyę, ja już dawno mówiłam do męża, że potrzebny nam tu jest lekarz młody, wolno-praktykujący, energiczny... wszak zdaje się, że przy tobie mówiłam mój Berku...

— Mógłbym tu nawet przed cztery sądy przyświadczyć i przysięgnąć, jak to pani prezydentowa ze sto razy gadała; bo, dodał, zniżając głos i oglądając się na wszystkie strony, przez obrazy wielmożnego prezydenta, to ja

wiem, że w całe nasze miasto jest całkiem dwa głowy!! całe parade dwa głowy: pani prezydentowa i ja! jakby nas nie było, to ja niewiem nawet w coby się to całe nasze miasto obróciło?

Pani burmistrzowa uśmiechnęła się na ten komplement. Icek zaś perorował dalej.

— Pani prezydentowa pomyślała sobie co tu potrzebny jest doktor, a Icek zaraz tak zrobił, że tu będzie doktor... taki akurat jak pani prezydentowa w swoje delikatne pomyślenie miała.

— Niepodobna! kiedy? gadajże, stoję jak na szpilkach...

— Un tu pewnie dziś na wieczór przyjedzie, prosto od samego Warszawy.

— Z Warszawy?! nie może być.

— Akuratnie z Warszawy, ja tam u niego byłem. Aj waj! co jest tam tych doktorów w Warszawie! w jedne stancye to ich mieszkało razem siedem!

— Więc to młody? prosto z akademii!

— Aj waj! żeby ja taki młody był do saméj śmierci, jaki un młody jest i grzeczny — aj waj! jaki un grzeczny — całkiem delikatny człowiek, choć jego do bolące miejsce przykładać; tylko czy un z akademii jest, to ja niewiem, un coś wspominał, że jest od Ryczywoła, bo tam gdzieś jego ojciec trzyma sobie dzierżawę.

— A przystojny?

— Bardzo przystojny! pociągłowaty jest na gębie, ma włosy czarne jak smoła, i kawałek takich maluśkich wąsików, co się jemu dopiero niedawno zrobiło kiele nos; a na nos to un sobie niesie dwa szkiełka bardzo porządne, w mosiężnéj oprawie, z czarną nitką. Cały alegant! Już jego tutejsze panienków będzie obaczyć— aj waj! to un będzie do nich miał szczęście! Żebym ja takie szczęście do handlu miał, jak un do tych panienków szczęście zdybie... I doktor z niego téż bardzo dobry. Jak ja tam byłem u niego, to mnie z przeprosze-

niem pani prezydentowéj zrobiło się takie paskudne szczypienie kiele serca; to un kazał mnie się kłaść na sofe i pukał, pukał, sztukał, słuchał, cały brzuch to un mi opukał! osztukał i jak mi dał jedno kilka kroplów, to ja byłem zdrów jak byk, jak... jak pięć byków... Odrazu mnie całkiem dobrze było.

— Więc to dziś, dziś przyjeżdża?

— Dziś, dziś, proszę wielmożnéj pani, ja jego najmowałem trzy stancyów u Dawida na górze, z meblami A jakich meblów ja jego dawałem... Zielone kanape, żółtych krzesłów, czerwone szafe, i lustrów takich wielkie jak okno. Un będzie mieszkał u nas jaknajporządniéj. To już moja głowa jest w tym interesie...

Pani prezydentowa zamyśliła się. Doktor młody przystojny, dla matki mającéj trzy córki na wydaniu, jest istotą bardzo sympatyczną. Masa więc myśli, planów i projektów przebiegło przez głowę pani prezydentowéj.

Uśmiechnęła się do Icka i rzekła:

— No, kochany Icuniu, za taką nowinę, wart jesteś kieliszek wybornéj miętówki. Masz—rzekła nalewając,—wypij to za zdrowie młodego doktora i trzymaj język za zębami, pamiętaj...

— Ziczam wielkie zdrowie wielmożnéj pani,—rzekł żyd i przykrywszy głowę jarmułką, spełnił ten toast,— a co się tyczy język,—dodał,—to wielmożnéj pani wiadomo, co Icek z języka żyje, to i język potrafi trzymać w gębie, jeszcze lepiéj jak pieniądzów w kieszeni.

Pomimo jednak, że pani prezydentowa postanowiła sobie milczéć, a Icek trzymać miał język za zębami, stało się, że za godzinę całe miasteczko było już panem sekretu.

Wieczorem, a był to prześliczny wieczór letni, cała męzka i żeńska inteligencya sławetnego ogrodu X. nad X. wyległa na drogę prowadzącą do najbliższéj stacyi drogi żelaznéj.

Obsadzony wysokiemi topolami gościniec wyglądał świątecznie, — uroczyście prawie... poważne pary małżonków kroczyły majestatycznie i powoli, przed niemi zaś defilowały córeczki, wystrojone jak na wielkie święto, w całéj pełni powabów i wdzięków. Zdawałoby się, że całe miasteczko naznaczyło sobie rendez-vous tu, pod smukłemi topolami.

Pani burmistrzowa, faktyczna rządczyni miasta, przy któréj cienki małżonek, wyglądał jak szpada przy okazałym boku dygnitarza, przygryzała złośliwie wargi, niezadowolona z całego świata, a najbardziéj z tych matek, które ośmieliły się wyprowadzić także swe ukochane córeczki na pokaz... Trzy burmistrzówny, przystojne, silnie zbudowane blondynki, defilowały po piaszczystym gościńcu z gracyą i wdziękiem, oddając ledwie dostrzeżone ukłony miejscowéj młodzieży, któréj konkurencyjne papiery w dniu przyjazdu doktora najfatalniéj spadły...

Panie całowały się serdecznie, wyrażając swą radość z powodu miłego, a niespodziewanego spotkania— i przeklinając w duszy jedna drugą, że przyszła tu w téj chwili.

Do właściwego celu wycieczki nikt się nieprzyznawał, ale oczy wszystkich zwrócone były w jeden punkt, i lada fura żydowska, lada chłopski wóz zdążający ku miastu, zwracał na siebie powszechną uwagę.

Biegły ku niemu wejrzenia czarnych i modrych oczu — a mamy przymrużając źrenice, zapytywały się w duchu: On? czy nie on?

Już słońce zaszło; księżyc wypłynął na pogodne niebo — należało wracać. Zawiedzione w nadziejach towarzystwo opuściło placówkę, a w kilka godzin późniéj cała populacya sławetnego grodu X. nad X. usnęła snem sprawiedliwego.

Dla ścisłości kronikarskiéj dodać należy, że téj nocy wszystkim panienkom śnił się przystojny i młody

lekarz, o którego zaletach i zdolnościach Icek Kapitan opowiadał cuda pani prezydentowej.

Oczekiwany syn Eskulapa przybył późno w nocy. Przy pomocy furmana i stróża nocnego odszukał Icka i objął w posiadanie ów wspaniały lokal, z eleganckiemi meblami i „zieloną kanapą." Zmęczony całodzienną



Panie całowały się serdecznie. Str. 274.

podróżą nie miał czasu na podziwianie eleganckiego apartamentu, lecz rzucił się na łóżko i usnął snem sprawiedliwego.

Niedługo wszakże dano mu używać miłego wywczasu.

Zaledwie słońce weszło, już przedpokój był pełen pacyentów. Znajdowali się tu mężowie cierpiący na

serce, oraz niewiasty z choremi bardzo i delikatnemi dziećmi na rękach.

Młody lekarz, niepraktyczny jeszcze w swoim zawodzie, nieumiejący spać, gdy pacyent potrzebuje pomocy, zabrał się do oglądania chorych, którzy zachwyceni byli jego troskliwością nadzwyczajną i starannością z jaką usiłował zbadać chorobę.

Odpowiadał na niezliczone pytania żydówek, powtarzał po dziesięć razy informacye co do czasu używania lekarstw i co do dyety; ze świętą cierpliwością słuchał opowiadania o zadawnionych cierpieniach cioci Ruchli, która od czasu owdowienia, zupełnie utraciła delikatne swe zdrowie...

Pytanie „co się należy?” żenowało niesłychanie młodego lekarza, wstydził sie brać honoraryum od narzekających na straszną biedę i drożyznę żydówek, podsuwających po kilka wytartych miedziaków.

— Proszę tam kłaść w puszkę... mówił, wskazując jakieś blaszane pudełko od tytuniu.

Pacyenci korzystali z dyskrecyi i zamiast dwóch złotych, rzucali po 20 groszy, a owdowiała ciocia Ruchla przez omyłkę położyła dziesiątkę, a wzięła z puszki reszty złotówkę.—

Można się domyślić, że zbiór niebył nadto obfity, lecz cóż to stanowi? Pierwszy dzień... Niech no się ruszy inteligencya miasta, okolica, wtenczas dochody popłyną jak fala wzburzonego potoku... Wypadnie kupić kassę ogniotrwałą, żeby owe skarby przed złymi ludźmi ukryć bezpiecznie.

Inteligencya miasteczka nie dała długo czekać na siebie... Co raz to jaka służąca z bilecikiem zapraszającym wpadła, a wszystkim było pilno, wszędzie niebezpieczeństwo zagrażało. Osobliwa epidemja nawiedziła tego dnia wielce sławetne miasto X. nad X., epidemia dziwnego rodzaju, jakiej od samego Hipokratesa nie notowały jeszcze roczniki medycyny...

Pochorowały się naraz wszystkie panny, wszystkie młode wdówki, a nawet i małżonka weterynarza, osoba szczególnie nerwowa i przez małżonka swego nigdy niezrozumiana i skutkiem tego chronicznie cierpiąca. Mąż twierdził, że to „koler," ale co on się tam znał! Mając ciągle do czynienia z końmi i bydłem, zatracił możność odczuwania pragnień duszy idealnéj i rozanielonéj...

Co było najosobliwszego w téj epidemii gwałtownéj, jaka nagle nawiedziła piękną połowę ludności w X. nad X., to to, że cierpienia nie mogły być określone bliżéj. Objawiały się one tylko lekkim bólem głowy, suchym kaszelkiem, brakiem apetytu i pewném ogólném rozstrojeniem nerwowém...

W domach gdzie były dwie panny, cierpiała tylko jedna i ta jedna w białym eleganckim negliżyku wyglądała jak uosobione cierpienie; druga zaś, dla kontrastu, w sukience czarnéj, z anielską dobrocią w spojrzeniu, czuwała nad siostrą, niby opiekuńczy anioł stróż...

Wszystkie cierpiące panny, od najstarszéj burmistrzówny począwszy, doktor odwiedził...

Trzeba było widzieć z jaką elegancyą, delikatnością i troskliwością zarazem opukiwał mniéj i więcéj dorodne pacyentki,—jak te cierpiące osóbki, rumieniły się mocno, gdy upragniony lekarz wysłuchiwał szmeru ich płuc i tonów serduszek, uderzających pośpiesznie...

Pacyentki były zachwycone i przyrzekły sobie w duszy przynajmniéj raz na tydzień chorować, mamy zaś zapraszały serdecznie; aby doktor bywał w ich domu, nietylko jako lekarz, lecz jako gość zawsze pożądany i widziany mile. Gdy odbywszy już wszystkie wizyty wszedł do mieszkania pani weterynarzowéj, pan weterynarz właśnie do domu wrócił.

Kwas karbolowy zdaleka od niego czuć było; napracował się przez cały dzień w jakiejś zarażonéj obo-

rze, wytrząsł na bryczce, więc zmęczony, głodny wpadł do pokoju, wołając:

— Jeść dawajcie! bo ginę z głodu!

Właśnie w téj chwili młody lekarz badał puls nerwowéj pani.

— Co to?—zapytał małżonek.

Lekarz przedstawił się.

— Daj pokój kolego, rzekł weterynarz, nie fatyguj się próżno, ja jéj organizm znam doskonale... Właśnie chciałem jéj zrobić zawłokę na lewém ramieniu, to doskonale humory odciąga...

— Mężu! krzyknęła z oburzeniem pani domu.

— No, no, odrzekł, nie masz czego gwałtować moja duszko; lepiéj każ nam podać tu wódki i przekąski—a jeżeli już koniecznie chcesz się leczyć, to ci kolega zapisze aloesu albo jalapy, będziesz zdrowa duszyczko jak... tego... jakże się to zowie...

— Niepotrzebuję dwóch porównań!!—krzyknęła pani i trzasnąwszy drzwiami, zniknęła, w drugim pokoju...

— Oto masz kolego widowisko;—rzekł mąż,—obiad przydymiony codzień, w domu nieporządek, a narowów pełno... Żeń się, żeń bracie, to użyjesz jak pies w studni; ale ostrzeżenie moje zbyteczne, nie sądzę żebyś kolega ożenił się, tu u nas przynajmniéj.

— A to dlaczego?

— Szkaradny kąt, powiadam ci kolego, obrzydliwy, zakazany, jeżeli nie będziesz się targował z pacyentami jak żyd, to z głodu zginiesz, powiadam ci, że z głodu jak ruda mysz, braciszku.

Lekarz nie chciał jakoś wierzyć w ten prognostyk.

Tymczasem wszystkie mamy, których córeczki potrzebowały pomocy lekarskiéj, z rozczulającą jednomyślnością przyszły do przekonania, że byłoby ubliżeniem w wysokim stopniu, ofiarować tak uprzejmemu lekarzo-

wi honorarya pieniężne za jego wizyty. Czyż taka staranność, troskliwość, taka uprzejmość da się opłacić jakimś marnym banknotem zatłuszczonym, zmiętym w rękach tysiąca najprozaiczniejszych w świecie przekupek i handlarzy?!

Dobre to może w zmateryalizowanéj Ameryce, dobrze zresztą w Warszawie, gdzie jeden drugiego nie zna—ale nie w poetyczném, sentymentalném X. nad X.! Przenigdy! W téj cichéj mieścinie rozrzuconéj nad brzegiem leniwéj rzeczułki, istnieją jeszcze cnoty patryarchalne, a uczucie wdzięczności lubi być udrapowaném w sentymentalną togę, lubi przybierać na się wdzięczne, estetyczne formy. Zresztą któż zaręczy, że ten młody lekarz, który dziś uważa piękną Mańcię lub Brygisię za pacyentkę tylko, nie zmieni charakteru i padłszy na kolana nie przyjmie tytułu narzeczonego.

Ta ewentualność to także jedna racya więcéj, aby mu nie płacić. Na co? Czyż nie lepiéj, że otrzyma honoraryum wraz z sowitym procentem w naturze, w niezrównanych wdziękach pacyentki, i że to honoraryum zostanie w familii?

Inteligencya cichego X. nad X. umie być wdzięczna, lecz w sposób wykwintny, miły i estetyczny. Ztąd téż mieszkanie sympatycznego doktora zarzucone jest bukietami. Pachną tam róże, bzy, jaśminy ułożone rączkami „wdzięcznych," zjawiają się równianki z modrych niezabudek i bławatków, ale nie dość na tém. W X. nad X. uczucia są pojmowane szeroko, a umiejętność produkowania tak zwanych „robótek kobiecych," doprowadzona jest do możliwéj perfekcyi. Jakie téż przepyszne kwiaty ma doktor na poduszkach, pantoflach, czapeczce! nawet wykałaczka do zębów ozdobioną jest jakąś mikroskopijną lilijką, która zdaje się, że przemówić pragnie, że radaby powiedziéć szczęśliwemu jéj posiada-

czowi: „słuchaj niewdzięczniku, miéj ty serce i patrzaj w serce.”

A kto uwił te wszystkie bukiety i równianki z kwiatów żywych? Kto wyszył kwiaty martwe na pantoflach i poduszkach filozelą i kordonkiem? Kto zgromadził w mieszkaniu szczęśliwego doktora tę różnobarwną dziatwę flory, jeżeli nie piękne pacyentki w X. nad X. Nie darmo pani Bajla, poważna kupcowa, utrzymująca w X. nad X. skład szuwaksu, cukru, bawełny i innych towarów galanteryjnych, dowodziła, że jak jéj pamięć daleko sięgnąć może, nigdy jeszcze kordonki, pele i włóczki nie miały takiego odbytu.

Taki stan rzeczy trwał przez cały kwartał, doktor gorliwie pełnił swe obowiązki, a im więcéj mu kwiatów przybywało w mieszkaniu, tém mniéj dziesiątek delikatne żydówki rzucały do puszki od tytuniu. Tymczasem mamy i ciocie rozrywały uprzejmego lekarza, musiał bywać na herbatkach cichych i proszonych, siedzących i tańcujących, nazywano go kochanym doktorkiem, doktoreczkiem, przezacnym, zacnym, nieoszacowanym,— panienki wzdychały do niego, a mamy obliczały fundusze na wyprawę.

Pewnego pięknego wieczoru wśród intelingentnéj ludności cichego X. nad X. zaczęły krążyć jakieś głuche wieści. Szeptano sobie na ucho, opowiadano to i owo, lecz nikt baśniom wierzyć nie chciał. Panny szczególniéj, jako młode i idealne, a więc do złudzeń skłonne istoty, słuchać nawet niechciały tego, co miasteczkowa fama głosiła — i zajęły stanowisko wyczekujące; mamy zwiesiły nosy na kwintę, a ojcowie machnęli ręką z rezygnacyą właściwą mężom, których lada wiatr przeciwny nie łamie.

Jedna tylko pani burmistrzowa nie poprzestała na głuchych wieściach, trzeba jéj było dowodu. Pomimo

spóźnionéj pory posłała policyanta po Icka, z rozkazem, żeby go natychmiast żywego lub umarłego dostawić.

Icek Kapitan, wyciągnięty gwałtem prawie z betów, stawił się przed „gospodynią miasta,” cichy, pokorny, podobny raczéj do zmokłéj kury, niż do sprytnego faktora.

Delikatnym rozumem Icek przeczuwał burzę.

— Gdzie doktor!? krzyknęła pani burmistrzowa.

— Przepraszam wielmożne pani prezydentowe, że un tu był to ja wiem; że mu tu już nie ma, to téż wiem; a gdzie on teraz jest, to ja wcale nie wiem....

— Więc wyjechał! wyjechał niegodziwiec, niewdzięcznik! wyjechał...

— Nu, a co un miał zrobić?

— Jakto co? to mi zabawne pytanie! siedziéć z nami, czy mu tu źle było... kwiatami był obsypany!... jak męża kocham, kwiatami!

— Właśnie, un bez te kwiatów uciekną!.

— Dlaczego?

— Jak pani prezydentowe chce? Nasze żydki choć po parę groszy jemu dawali; kiepsko dawali, ale zawdy to było pieniądzów, a państwo to jemu dawali kwiatów; czy z przeproszeniem wielmożne panie un krowa był, żeby miał ziele jeść? Un wąchał tych kwiatów, a jak się dowąchał co tam więcéj nic niema, to uciekną! napowrót do Warszawy.

Wyrecytowawszy tę tyradę, Icek skłonił się i wyszedł, pani prezydentowa zaś zamyśliła się smutnie, a późniéj długo, długo rozmawiała z córkami.

Nazajutrz we wszystkich ogródkach w X. nad X. powyrywano kwiaty i powyrzucano je za płoty, zaś do dziś dnia jeszcze pani Bajla płacze, że na paciorki i włóczki niema żadnego popytu.

Młody lekarz osiedlił się w sąsiedniéj gubernii, nauczył się upominać o swą należność i kwiatów nieprzyj-

muje zupełnie. Ożenił się z panną dość brzydką i jeszcze więcej złośliwą, wziął za nią ładny posag i dziś liczy się do najzamożniejszych ludzi w okolicy. Dobrze jada, dobrze sypia, do chorych po nocach nie biega, waży 288 funtów, a jak gra w preferansa i wista, niech poświadczą ci, co pół życia przy zielonym stoliku spędzili.

MIÓD NIEKASZTELAŃSKI.

(OBRAZEK).

Jaśnie Wielmożny Pan Abraham Jojne Kuropatwa, najlegalniejszym sposobem, po spaleniu ostatniéj świeczki na licytacyi i po załatwieniu formalności prawnych, został właścicielem dóbr „Wydma Żółta," ze wszystkiemi przyległościami. Komornik wprowadził go w posiadanie majątku, a stary ekonom w milczeniu przyniósł klucze, złożył je uroczyście na stole, a sam zabrawszy manatki, poszedł do miasteczka, aby szukać służby gdzieindziéj. Dodajemy tu nawiasem, że Jaśnie Wielmożny Abraham Jojne nie odrazu został posesyonatem i co prawda nigdy tego nie miał w swoich planach. Urodzony i wychowany w mieście, zaczął karyerę od bardzo drobnych geszefcików, a kiedy już zebrał kapitalik, wszedł z nim do spółki handlujących zbożem, gdzie posiadał jedną siedmnastą część udziału. Interesa spółki rozwijały się świetnie,— przystąpiono następnie do handlowania lasami, poczém Abraham Jojne wycofał swój kapitał, i pojmując jak ważne ma znaczenie dla kraju rolnictwo, postanowił kredytem wspomagać tę potężną dźwignię narodowego bogactwa. Dzięki téj okoliczności, w niedługim czasie widzimy go posiadaczem różnych wierzytelności, sum hypotecznych, a nareszcie przy uroczystym obrzędzie licytacyi pasowano go na rycerza ziemiaństwa.

Przybywszy do „Wydmy," Abraham Jojne objął w posiadanie dwór obszerny, w którego licznych komnatach, ciasno jednak było jego rozmnożonéj rodzinie. I nie dziw. Sprowadziły tu się bowiem dorosłe córki z mężami, synowie z żonami i wielka moc wnuków. Stryjaszek Pinkus z liczną rodziną w charakterze wspólnika i dzierżawcy, objął w posiadanie ogród owocowy; zaś ciocia Ruchla, wdowa po doświadczonym w fachu szynkarzu, podjęła się delikatnéj misyi sprzedaży trunków i jednania chłopów do roboty. Trzy siostry dziedzica i brat cioteczny, z linii Orleańskiéj (brat się nazywał Mejer-Lejb Orlean) założyli w czworaku wielki sklep korzenno-galanteryjny, w którym było pół głowy cukru, pud soli, kopa śledzi i cztery funty świec łojowych, nie licząc papierosów własnego wyrobu i zapałek siarczanych. Należy jednak przyznać, że pan Abraham Jojne objąwszy w posiadanie ziemię, znalazł się jak prawdziwy ziemianin i pomyślał przedewszystkiém o duchowych potrzebach mieszkańców. W tym celu urządził natychmiast dom modlitwy i szkółkę wiejską, do któréj sprowadził nauczyciela, jednego z najlepszych mełamedów, ze słynnego miasta Łysobyki nad Wieprzem. Mistrz był wysoki, jak wiór wyschły, ale w sztuce swéj biegły; a kiedy w sadzawce poblizkiéj żaby rechotać poczęły, a w altance, obecnie letnim chederku, dzieci oddały się nauce, to siedzący na stodole bocian nie mógł się zoryentować gdzie właściwie jest jego królestwo.

Co do włościan zgodna rodzina podzieliła się nimi. Dziedzic wybrał sobie pięciu najlepszych gospodarzy, nad którymi rozciągnął opiekę—inni dostali po dwóch, po jednemu—jak tam komu z wieku i urzędu przypadło.

Późniéj przeprowadzoną została gruntowna reforma agronomiczna, a mianowicie: odprawiono wszystkich parobków, fornali i dziewki — gdyż według obli-

czenia znakomitego finansisty, ludzie ci jedli tak dużo, że żaden na świecie majątek nie mógł tego ciężaru wytrzymać. W dalszym ciągu, dla oszczędzenia owsa, siana i słomy sprzedano co lepsze konie i woły; sprzedano téż zaprzęgi, żelazne brony, wozy i pługi — jako przedstawiające martwy, a zatém zupełnie nie produkcyjny kapitał. Jaśnie wielmożny dziedzic pozostawił tylko sobie czwórkę koni do wyjazdu, szykowną wprawdzie, ale niezupełnie dobraną, gdyż cała czwórka posiadała jedno tylko zdrowe oko — no! ale za to było w niéj szesnaście nóg... kulawych. Czwórką tą powoził daleki krewny dziedzica Fiszel, chłopak tak dalece sprawny i zręczny do koni, że raz o mało za to do kryminału go nie wsadzono.

Urządziwszy tedy administracyę „Wydmy" i zaprowadziwszy nieuniknione reformy w gospodarstwie, pan Abraham Jojne Kuropatwa postanowił zawiązać stosunki sąsiedzkie i poskładać obywatelom okolicznym wizyty. Pewnego więc dnia, Fiszel, przy pomocy czerwonowłoséj Łai, wyczyścił dziedzicowi buty, oskrobawszy je jako tako z błota, wytrzepał paradną racinową szatę, oraz bardzo piękną pluszową czapkę — i zaprzągł wszystkie cztery rumaki do bryczki.

Z wielkim trzaskiem i gwałtem zajechał pan Kuropatwa przed ganek sąsiedzkiego dworku, lecz nie śmiał zsiąść, gdyż psy przywitały go bardzo złośliwém ujadaniem. Nareszcie szlachcic usłyszawszy hałas, przybiegł ze stodoły i pana sąsiada do pokoju poprosił.

— Niech mnie krowa zdechnie,—mówił gość—jeśli ja mam do pana jaki interes, tylko ponieważ tak blizko mieszkam, więc chciałem po sąsiedzku, zrobić panu moje uszanowanie.

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu—odrzekł szlachchcic—bardzo mi jest przyjemnie, ale pan z drogi, wartoby się czémś posilić.

— Ny, czem pan mnie może posilić? wiadomo panu, że u nas w starym zakonie są różne takie zabobony, co jednak trzeba ich zachować; bo jakby tego nie było, toby i żydów nie było—a powiedz pan dobrodziéj coby to za nieszczęście było, żeby żydów nie było!?

— No może to i prawda, jak pan sobie jednak chcesz, ale kiedyś do mnie przyjechał w odwiedziny, to przecież głodny odjechać nie możesz... Wódeczki pan pozwoli?

— No, to można...

— A co się tyczy przekąski, zdaje mi się że mój pachciarz ryby łapał dzisiaj, poszlę zaraz do niego, żeby kazał swéj żonie przyrządzić szczupaka, możesz pan jeść bez obawy, ona tam już po waszemu wszystko zrobi.

Chociaż pan Abraham oponował że głodny nie jest i że sobie kochany sąsiad robi niepotrzebny koszt, jednak po chwili dano już znać, że pachciarz przyszedł, a że jak na szczęście szczupak był gotów, więc téż niebawem stanął na stole talerz pełen tego przysmaku, dymiącego zapachem włoszczyzny i pieprzu.

— Przygotuj no grunt dobry, panie sąsiedzie — mówił szlachcic—i sprobuj jeszcze kieliszeczek téj chlebówki, prawda że warta buzi...

— Dalibóg ona warta przynajmniéj dziesięć rubli garniec — rzekł pan Kuropatwa, wychylając porządny kielich doskonałéj starki.

— A teraz czekajno jegomość „*post pisces vinum misces*,” ale że ja nie mam koszernego wina, więc każę dać miodu, a trzeba ci panie Abrahamie wiedzieć, że mam miód jeszcze po ojcu. Jak wasz rabin w Kocku był chory, tom mu posłał tego miodu, no i co powiesz? odrazu wyzdrowiał!

Pan Abraham nabierał coraz więcéj serca do szlachcica, który miał tak obszerne relacye. Niebawem znalazła się na stole pękata butelka i lampki, w któ-

rych stary miód rumienił się barwą rubinów. Gość smakował, wąsy czerwoną chustką obcierał, na twarz wystąpiły mu silne rumieńce.

— Sy git,—zawołał—ja pana co powiem: nie ma lepszy trunek na świecie, niech ja nie znam nasze wódki pejsaczne, nasze wino z rodzynków, niech ja nie widzę butelkę bawarskie piwo, żebym miał takiego miodu! To jest git interes, ja teraz rozumiem dla czego nasze szlachte są takie zdrowe jak biki—to bez to, co oni takiego miodu mają, a teraz powiedz mi pan dobrodziéj, czy to prawda, że jest taka mucha, co tego miód zrobi?

— A jakże, jest pszczoła...

— Tak, tak, ja wiem, nawet u nas w piśmie stoi, co jak żydy buło wielka szlachta i zrobili wojnę z filistyjany i z insze grubijańskie ludzie, to nasz król powiedział, co żeby nikt nie jadł póki słońce nie zajdzie. Tymczasem zdybał się jeden taki pułkownik żydowski, nawet bardzo godna osoba i jadł, to jemu król kazał zabić. A wiesz pan dobrodziéj co un jadł?... un właśnie miodu jadł!...

— Widzisz pan, jaka to już stara rzecz.

— Ny, to un jadł, ale żeby un miał takiego miodu w butelce, to un byłby wszystkie filistyjany zabił—ale powiedz mi pan dobrodziéj, zkąd można złapać tego pszczołe i kazać jéj zrobić miodu?

— Zaraz to panu wytłumaczę. Pszczoły zazwyczaj obierają sobie siedlisko w lasach i mieszczą się w dziuplach drzew, w wypróchniałych sosnach najczęściéj; ale ludzie, widząc jakie to są pożyteczne owady, potrafili je sobie przyswoić i osadzić w tak zwanych ulach, to jest kłodach wydłubanych ręką ludzką. Tak przyswojone pszczoły pracują na pożytek człowieka, a zbiór uli nazywamy pasieką. Jako gospodarz powinieneś pan o tém wiedzieć. Oto patrz pan przez okno.

Widzisz te domeczki czerwone na słupach i te kloce grube leżące na ziemi?...

— Ny, ja widzę.

— To jest pasieka, tu właśnie pszczoły miód robią.

— Kochany panie sąsiedzie, gdzie to można kupić taki... jak się nazywa... taki sikawka?

— Pasieka, nazywa się pasieka.

— Niech mu będzie pasieka! a gdzie to się kupuje?

— Zwykle nabywa się jeden lub dwa ule i potém rozmnaża się corocznie; ale, jest tu jeden gospodarz co ma do sprzedania pasieczkę—to go przyślę do pana.

— Bardzo proszę, niech pan jemu to każe.

— A teraz szanowny sąsiedzie, za pomyślność pańskiéj pasieki!

Nalano znowuż lampki. Abraham Jojne Kuropatwa uczuł, że mu w żyłach krew raźniéj krąży—zrobił się niezwykle sentymentalny i czuły.

— Wielmożny panie — mówił, puszczając wodze sercu—dużo jest na świecie różne ludzie, ale takie ludzie jak nasza polska szlachta — to jest sy git, fein gatunek osobe! Nasze żydki to im zawsze bardzo kochali, aj waj! jak oni im kochali! Żebym ja miał w całym majątku dwa procent, od jeden procent, od pół procent, z tych pieniądzów, co uni szlachcie pożyczyli—to ja bym się zapytał, wiele kosztuje pół całego świata!

— To masz pan słuszność—rzekł z westchnieniem szlachcic.

— Prawda panie co uni brali za to procentu, ale téż jak uni ich kochali! Uni zawsze prosili Pana Boga, żeby było jak najwięcéj żydów, dla tego, coby szlachcie miał kto pieniędzy pożyczyć. Pan Bóg się nas posłuchał—to téż czy dziś szlachcic potrzebuje sobie o co zakłopotać?... Czy ma jakie bolenie głowy z pachtem,

z propinacyem, z młynem, smolarnią, gorzelnią, wełną, lasem, zbożem, olejem?... Un nie potrzebuje palcem kiwnąć, nasze żydki wszystko za niego zrobią. A bez co uni tak zrobią... bez to co jego kochają!

Szlachcic uśmiechał się, milcząc.

— Aj! pan nie wierzy, co my was kochamy! — to ja panu co powiem—wiele pan potrzebuje na żniwo?... ja panu pożyczę!

— Dziękuję sąsiadowi uprzejmie, mam teraz dosyć gotówki, ale à propos żniwa, ja muszę na momencik wpaść w pole, a ponieważ uważam, że pan jesteś cokolwiek znużony, więc zaproponuję panu coś... Jest tu w ogrodzie bardzo cienista altanka, może pan w niéj z godzinkę spocznie, a ja tymczasem z pola powrócę.

— Sy git! wiwajt nasza kochana szlachta! u siebie w domu, to człowieka da jeść i pić i jeszcze jemu wyspać się każe. Panie dobrodzieju, pan mnie przyjmowałeś z wielkiem delikatnościem, zrobił mi pan prawdziwy szabas—ja téż nie jestem taki i zapraszam pana do siebie na harbatę, obaczy pan jaką mam fajn harbatę!

Szlachcic, któremu pilno było w pole, zaprowadził gościa do altanki, gdzie zaniósł także lampkę, resztę miodu w butelce i cygaro.

Abraham Jojne pozostawszy sam, rozkoszował się zapachem kwiatów, ciągnął resztę miodu i palił dobre cygaro. Potém głowa zaczęła mu opadać na piersi, powieki ciężyły i czuł, że mu się robi dobrze, ciepło i błogo... Niebawem téż przewrócił się na ławkę szeroką i zasnął.

We śnie przedstawiały mu się najpiękniejsze obrazy. Zdawało mu się, że jest młody i piękny jak Absalon, a silny jak Samson; że w mądrości i bogactwach przeszedł Salomona króla, a w interesach Rotszylda, że kupił sobie pasiekę, pasiekę ogromną jak kraj cały... Każdy ul był tak duży jak dwór wiejski, a pszczoły

brzęczały rozgłośnie. Zaczął się przyglądać tym pracowitym owadom i ze zdumieniem dojrzał, że każda pszczoła ma wąsy, twarz opaloną, że brzęczy głośno i buńczucznie, ale miód robi zawzięcie. To jego pasieka, jego pszczoły, a on sam, dziedzic tego wszystkiego, jaśnie wielmożny Abraham Jojne Kuropatwa, przelewa doskonały miód w beczki i obdziela nim swe potomstwo i potomstwo swych dzieci, a pszczoły brzęczą od świtu aż do zmroku późnego... Śliczny sen, szkoda tylko, że złośliwe muchy przerwały go zbyt prędko. Abraham oczy przetarł, przeciągnął się. Rzeźkim się poczuł. Wychylił głowę z altanki, puścił wzrok po zielonych klombach, po widniejących w dali zagonach warzywa, nareszcie spojrzał na domki pszczole, które z daleka wyglądały jakby jakie czyściutkie, miniaturowe miasteczko. Na ten widok miód mu się przypomniał, ten dobry, słodki miód, który niegdyś kockiego rabina z ciężkiej niemocy podźwignął.

— A gdyby też jeszcze obaczyć i spróbować?

Śmiało zbliżył się do pierwszego ula i zaczął koło otworu majstrować. Wtém brzęk się zrobił. Pszczoły wartownice, stojące na straży wylotu, rzuciły się na nieproszonego gościa i kilka żądeł utkwiły w nosie i obliczu ciekawego agronoma.

— Gewałt! gewałt!—zaczął wrzeszczyć pan Abraham, uciekając z całéj mocy.

Stangret Fiszel, który w tymże czasie, nie mając innego zajęcia, zabawiał się kradzieżą gruszek w ogrodzie, przybiegł na ratunek, ale pokąsany również, dopomagał tylko swemu panu krzyczéć i lamentować.

Usłyszał krzyki powracający z pola szlachcic i pośpieszył gościowi swemu z pomocą. Wyjęto żądła, zastosowano jakiś środek domowy i w pół godziny później spuchnięty Fiszel zajechał po swego bardziéj jeszcze spuchniętego pana.



— Gewałt! gewałt! — zaczął wrzeszczyć pan Abraham, uciekając z całej mocy. (Str. 292).

Szlachcic galant, wyprowadził gościa swego na ganek, poczęstował na drogę cygarem i, gdy ten już siedział na bryce, zapytał:

— Kiedyż więc pan życzy sobie pomówić z tym gospodarzem, co ma pasiekę na zbycie?

Jaśnie Wielmożny Abraham Jojne Kuropatwa skrzywił się, i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Ja panu co powiem. To nie jest dobry interes, ja wolę kupić sam miód, przez te paskudne muchy!

FROIM.

(SZKIC Z NATURY.)

Wśród piasków podlaskich i bagien, w zapadłéj, lesistéj okolicy, znajdowała się mała i nędzna mieścina... Może było w niéj sto domów, a może i nie—któż tam spamięta? tém bardziéj, że co lat kilkanaście, ni ztąd ni zowąd wybuchał pożar i całą mieścinę w kupę węgli i gruzów zamieniał, tak, że tylko okopcone kominy świadczyły o tém, że niegdyś w tém miejscu ludzkie siedziby istniały.

Zwykle po pożarze żydkowie podnosili wielki płacz i lament, darli na sobie szaty, rwali włosy z głów i bród, płakali jak ongi po zburzeniu świątyni — zbierali po okolicy wsparcia i składki... ale po kilku miesiącach łzy pogorzelców obsychały, jęki cichnęły—a natomiast rozlegał się zgrzyt pił i stuk toporów, i, jak grzyb po deszczu, wyrastała mieścina, nibyto nowa, a taka sama nędzna i może jeszcze brudniejsza niż przedtém.

Ladajako sklecone chałupki stały w czterech rzędach dokoła rynku. W otwartych drzwiach kramików kupcy stali, zapraszając, bardzo rzadkich zresztą, klientów... bachory tarzały się w piasku, a melancholicznie zadumane kozy rozmyślały nad tém, czémby się pożywić.

Zdaje się, że ten sam temat zajmował nieustannie i całą, przeważnie żydowską ludność mieściny.

Sześć razy do roku bywały tu jarmarki, których całe miasteczko oczekiwało z upragnieniem.

Sześć razy do roku otwierał się tu pożądany zbyt na liche czapki, chłopskie buty, łatane kożuchy i tym podobną niewykwintną garderobę. Przed każdym jarmarkiem wrzało życie i ruch. Żydówki nagwałt piekły obwarzanki, pierniki, makagigi i tym podobne przysmaki, żydzi zaś sprowadzali lichy towar i fabrykowali piwo, wódkę i wszelkie inne trunki, żeby były smaczne i parzyły chłopskie gęby jak się należy—jak ogień...

Jak się to tam robiło, rzecz nie moja, dość, że w wigilię jarmarku wszystko było gotowe. Radość jaśniała na każdém obliczu, a nawet przeraźliwe kwiki nieczystych stworzeń, na targowicę pędzonych, zdawały się napełniać rozkoszą serca téj wygłodniałéj, wiecznie grosza spragnionéj rzeszy kupczącéj...

Gdy już zmrok zapadał, fury się rozjechały i ostatniego pijaka wywleczono z szynku, mieścina zapadała znowuż w sen letargiczny, jak przedtém.

Kramarze drzémali w swych kletkach, żydówki, rozsiadłszy się na progach domostw, robiły pończochy... a uczeni ludzie kiwali się nad księgami od rana do nocy... Chyba że ktoś obcy przejeżdżał przez mieścinę— wtenczas budzono się z apatyi i cała populacya, zbierając się gromadnie, szła oglądać bryczkę lub powóz dopytywać podróżnego, albo stangreta: kto? dokąd? na co? i jaki ma interes?

Kury i kozy przychodziły zbierać resztki obroku, a jeden i drugi uczony, porzuciwszy księgi, chętnie zamieniał się w faktora, żeby kilka groszy zarobić.

Na samym środku rynku stał budynek stary, czerwony, odrapany, imponujący rozmiarami swemi drobnym drewnianym chałupkom. Była to duża austerya ze sklepikiem, izbą szynkwasową, brudnym „numerem"

dla jaśnie wielmożnych podróżnych i wielką stajnią, w któréj, co najmniéj pluton kawaleryi mógłby się rozlokować swobodnie.

Ta austerya przetrwała wszystkie pożary i unikała zagłady w ogniowém morzu płomieni,—unikała, chociaż dokoła rynku ze wszystkich stron buchał ogień, chociaż waliły się z trzaskiem dachy domostw, sypiąc miliony iskier, — chociaż wiatr rozrzucał płonące głownie.

Głupi ludzie mówili, że austeryi dla tego ogień się nie ima, iż stoi ona na osobności, jest murowana i pokryta holenderską dachówką,—ale kto miał chociaż trochę nauki, kto poczuł smak, jaki się w mądrych księgach znajduje, ten wiedział, że przyczyna leży w czém innném. Austerya nie spaliła się, bo się spalić nie mogła... i żeby ją kto zapałkami od fundamentu do komina obłożył, smołą oblał i pierzami obsypał, to przecież ogieńby jéj nie tknął; bo było już takie założenie, oddawna było wymówione takie słowo, którego moc silniejsza jest nad siarkę, nad smołę i nad wszystkie potęgi czarnych dyabłów. Na co lepszego dowodu nad to (o czém jeszcze dziś starzy żydkowie opowiadają, a co nawet dla wiecznéj rzeczy pamięci zapisane stoi w księgach kahalnych), że kiedy, pięćdziesiąt lat temu, a może i więcéj, był na świecie wielki harmider, gwałt i zamieszanie, kiedy połowa ludności z miasta uciekła, a druga połowa skryła się w piwnicach, kiedy huczało jak podczas burzy i kule ogniste latały, wówczas całe miasteczko poszło z dymem, a austerya została i co więcéj, ci, którzy strzelali, weszli do niéj, aby się napić wódki. Historya twierdzi, że nie zapłacili za wódkę, bo mogli nie zapłacić, ale też i nie zniszczyli austeryi, bo jéj zniszczyć nie mogli, dla tego, że już takie założenie jest, żeby ona stała niewzruszona na wieki...

Komu chce się śmiać niech się śmieje, ale w miasteczku nawet lada bachur wie o tém, że przed laty

stoma, a może nawet i dawniéj, przejazdem zatrzymał się w téj karczmie mąż wielki, nabożny, sprawiedliwy, uczony, który miał wielką moc od Pana Boga, słowem—rabin; ale nie taki rabin, jak zwyczajny rabin, tylko wielki, bardzo wielki rabin, na cały świat znany; taki, do którego zjeżdżali się żydzi z różnych miast, o piętnaście, dwadzieścia, może nawet o dwadzieścia pięć mil drogi! Na wielkie szczęście dla miasta, z powodu popsucia się fury i zmęczenia koni, tu owego rabina szabas zaskoczył... Tu więc był w łaźni, tu się modlił, a w austeryi całą dobę przemieszkał. Jadł szczupaka z szafranem, kugel, cymes z marchwi i pił doskonałe wino koszerne, takie jakie w całém miasteczku było najlepsze. Jak go zaś przyjmowano, dość powiedziéć, że przez wdzięczność takie wielkie słowo wymówił, żeby ogień zawsze austeryę omijał...

Żałowali ludzie, że tego świętego słowa nie rozciągnął na całe miasto, ale przekonali się późniéj, że mądry rabi wiedział dobrze co robił. Pożar albowiem jest to taki interes, na którym w gruncie rzeczy wiele się nie traci—a odbudowanie miasta—to znów taki interes, na którym można coś zarobić w ciężkich czasach. Człowiek prosty i głupi narzeka nieraz na to co jest, bo człowiek prosty jest ślepy i nie może wiedziéć co będzie,—uczony zaś, wielki i sprawiedliwy człowiek wie co było, co jest i co będzie, i dlatego każde jego słowo jest mądre.

Wielkie pieniądze dawali żydzi z innych miast, żeby austeryę kupić, bo taki dom miéć—znaczy to samo, co wielkie szczęście miéć—ale ani ówczesny właściciel, ani jego późniejsi sukcesorowie, nawet słuchać o takiéj propozycyi nie chcieli. Spluwali z oburzeniem gdy ktoś o czém podobném wspomniał, i mieli za głupiego i bezbożnego człowieka każdego takiego amatora...

Bo i rzeczywiście, jak można pomyśléć, żeby kto za marny grosz chciał się pozbyć takiéj szacownéj, ta-

kiéj drogiéj pamiątki i wielkiego honoru, jaki z jéj posiadania wynika...

Tak więc austerya, od owego pamiętnego w dziejach miasteczka szabasu aż po dzień dzisiejszy, jest w posiadaniu jednéj i téj saméj rodziny.

Obecnym jéj właścicielem jest (bo żyje jeszcze dotychczas we czci i w spokoju) stary Froim.

Poznaliśmy go wypadkowo, przejeżdżając... Koniska spracowały się, dźwigając ciężką bryczkę po żółtych piaskach podlaskich, należał im się więc słusznie wypoczynek...

Wjechaliśmy w obszerne wrota austeryi. Towarzystwo składało się z kilku młodych ludzi skłonnych do wesołości i żartów.

— Hej! hej!—zawołał jeden — mości panie oberżysto, pokaż-no się pan tutaj!

Oberżysta nie wyskoczył na to wezwanie, ale wybiegła natomiast dziewczyna, o czarnych rozczochranych włosach pełnych pierzy, i oznajmiła, że tu zawsze dostanie wszystkiego, tak jak w Warszawie, a nawet jeszcze więcéj niż w Warszawie; tylko... stał się taki wypadek, że przed tygodniem właśnie był jarmark i chłopi zjedli wszystko co się tylko znajdowało, tak, że w téj chwili niema już nic.

Co prawda, nie bardzo nas to oświadczenie zmartwiło, jechaliśmy albowiem z wakacyj ze wsi, a gościnna gospodyni nakładła nam w bryczkę tyle prowizyi, że moglibyśmy o niéj Bóg wie jak daleko zajechać.

Kazaliśmy dać koniom owsa, Maćkowi rozczochrana żydóweczka wyniosła kielich gorzałki, a my wziąwszy z sobą koszyk z pożywieniem, rozsiedliśmy się w izbie gościnnéj.

W sąsiednim pokoju siedział żyd stary z długą brodą, białą jak śnieg, w aksamitnéj czapce na głowie,

i nie zważając wcale na nasze przybycie, czytał coś z wielkiéj księgi, rozłożonéj przed nim na stole.

— Panie Abrahamie! panie gospodarzu!—zawołał któryś z kolegów—chodźże pan do nas, powiedz-no nam co masz? co tu można dostać?

Żyd podniósł się, wyprostował, i gładząc brodę, wszedł do izby.

— Nie jestem Abraham— rzekł z ukłonem — moje imię jest Froim; widzę że panowie nie tutejsi, skoro nie znają starego Froima.

— Froim, Froim — powtarzał jeden z kolegów, to imię często wspominał mój dziadek nieboszczyk, który przed laty mieszkał w tych stronach.

— A przepraszam, jak godność pańskiego dziadka?...

— Nosił to samo nazwisko co ja — odrzekł zapytany—Brzozowski... miał niegdyś w tych stronach majątek Czarny-bród.

W oczach żyda zajaśniał blask szczególny.

— Pan Brzozowski! — zawołał — pan Brzozowski, wnuk pana Walentego... wnuczek rodzony! Pozwól pan, niech się panu przypatrzę!... Tak, tak, pan podobny jesteś do dziadka... tylko tamten nie lubił się śmiać, tak jak pan...

Kolega mój zawstydził się trochę.

— No, nic nie szkodzi, nie szkodzi;—rzekł Froim— młodzi panicze lubią czasem śmiać się ze starego żyda, bo na to są młodzi panicze... a na to jest stary żyd, żeby się z niego śmieli.

— Ale, pozwól pan...

— Nieboszczyk dziadek pański rozumiał to inaczéj, i ja rozumiałem inaczéj... ale, co prawda, i na świecie także było inaczéj; dziś jest niedobrze, bardzo niedobrze... ale może to lepiéj, Pan Bóg wie, co robi...

— Jakto, co pan mówisz? więc to lepiéj, że jest teraz niedobrze na świecie?



...Żyd stary z długą brodą, białą jak śnieg... (Str. 301).

— Ja panom wytłumaczę: Ze mnie śmieją się, że czytam książki, a czytam czasem cały dzień i całą noc... Panowie, jak przyjeżdżają, to mówią że Froim myśli przez całe życie o małéj bagatelce, o głupstwie... wiecie panowie o czém? Panowie powiadają, że jak się wbije gwóźdź w ścianę i potém jak się go wyjmie, to w ścianie jest dziurka... więc niby Froim całe życie myśli gdzie się podziało drzewo z tego miejsca, w którém zrobiła się dziurka?

Rozśmieliśmy się.

— Ale to nieprawda jest. Froim myśli co innego; on myśli o tém, co w piśmie stoi, że na świecie będzie ciągle gorzéj, coraz gorzéj..., ludziom zacznie się robić przewrócenie w głowie, serce u nich będzie twardsze niż kamień i Pan Bóg da ludziom karę... a potém po karze, to oni poprawią się i znowu będzie na świecie dobrze. Wilk będzie jadł trawę razem z kozą i krzywdy jéj nie zrobi. Ja miarkuję, że niedługo Pan Bóg da już karę, bo na świecie jest gorzéj, coraz gorzéj i będzie jeszcze gorzéj. Krzywda, fałsz, oszukaństwo nastanie gorsze jeszcze niż teraz; jak jeden zobaczy u drugiego chleb, to mu zechce wydrzéć... jak jeden będzie mocniejszy, to zabierze drugiemu majątek, szczęście... życie mu zabierze... a dlaczego zabierze? czy dla tegó, że jemu się to należy? czy dla tego, że jakie prawo ma? Nie, tylko przez to, że jest mocniejszy. Nastanie taki czas, jaki jeszcze nie był, i taki ścisk na ludzi, jaki jeszcze nie był, i takie płakanie nieszczęśliwych, jakie jeszcze nie było, i taka bieda, i taka krzywda i taka niesprawiedliwość, jaka jeszcze nie była. To się już zaczyna... to już zaczyna się... Ja stary nie doczekam obaczyć co daléj będzie; ale panowie jesteście młodzi, przed wami długie życie, przekonacie się, że wszystko obróci się na gorsze...

— Tfu! do licha, panie Froim—zawołał Brzozowski—czy po to przyjechaliśmy tutaj, żebyś nas pan ta-

kiemi obrazami przerażał... Ot, lepiéj bądź pan uprzejmym gospodarzem i przynieś nam wina, jeżeli notabene masz jakie wino w swojéj piwnicy.

Froim uśmiechnął się gorzko.

— Dlaczego ja nie mam miéć wina?—zapytał.

— Pewnie lura, jakiéj świat jeszcze nie widział?

— Co panu szkodzi skosztować trochę téj lury? jak się nie będzie podobać, nie przymuszę... próba frei.

Zawołał na służącą, która téż niebawem przyniosła wino i kieliszki.

Po otworzeniu butelki prześliczny aromat napełnił całą stancyę; aczkolwiek nie doskonali znawcy, spostrzegliśmy, że mamy przed sobą nielada okaz archeologii piwnicznéj.

— To stare jakieś wino—rzekł Brzozowski.

— Niebardzo ono stare — odpowiedział Froim. — Mój ojciec sprowadził je wtenczas, kiedy w naszém miasteczku stojeli francuzy. Było ich tu dosyć tych francuzów, pamiętam doskonale... to już więcéj niż kilka lat—dodał z uśmiechem.—Panie Brzozowski, pij pan zdrów... Dziadek pański bardzo to wino lubił. Pij na zdrowie, nie policzę panu drożéj jak dziadkowi, a dziadkowi liczyłem je tak, jak mój ojciec francuzom... jeden dukat butelka... nie więcéj...

Wstał, obejrzał, czy niema kogo w sąsiedniéj stancyi, i przymknąwszy drzwi, usiadł przy nas i mówił ciszéj:

— Jak ja kontent jestem, że pana widzę, panie Brzozowski; jak ja kontent, żem zobaczył pana!... Zaraz mi się przypomniał dziadek pański, pan Brzozowski z Czarnego-brodu, mój najlepszy przyjaciel... To nie wstyd dla pańskiego dziadka, że on był mój przyjaciel, że miał przyjacielstwo z żydem, bo Pan Bóg stworzył wszystkich ludzi z ziemi i nawet pierwszego człowieka kazał nazywać „syn ziemi,” i od Pana Boga pochodzi

każdy zakon i każda religia, i od Pana Boga jest przykazanie, żeby człowiek żył uczciwie w takim zakonie, jaki jemu Pan Bóg dał... Od jednego Pana Boga mamy życie i śmierć, szczęście i nieszczęście, bogactwo i głód... wszystko od jednego Boga mamy, bo niema dwóch Bogów, ani dużo Bogów, tylko jest jeden Bóg dla wszystkich zakonów i dla wszystkich ludzi... Pański dziadek to samo powiadał i nigdy nie pogardził żydem... On pogardził tylko oszustem, szachrajem, złodziejem, rozbójnikiem, ale kiedy miał za co pogardzić, to nie pytał czy on żyd, czy on nie żyd, tylko gardził tym człowiekiem, łajdakiem gardził... Pański dziadek miał wielki rozum i wielkie serce... On nawet śmierci to tak patrzył w oczy spokojnie, jak ja na tę butelkę patrzę.

— Zkąd pan to możesz wiedzieć?—zapytałem.

— Widziałem to—odpowiedział spokojnie—mojemi oczami widziałem. No, ale pijcie no, panowie, bo takie wino warto pić, już jego niewiele jest na świecie... My z nieboszczykiem panem Brzozowskim mieliśmy taką starą znajomość, jak to wino jest stare. Byliśmy z nim razem i na wozie i pod wozem... On mnie raz obronił w wielkiem nieszczęściu i że jeszcze żyję na świecie i że chwalę Pana Boga, to jemu tylko mam podziękować. To już dawno było, panowie, dawno, ale ja pamiętam. Już już miałem ginąć, za co? to ja sam nie wiem, ale śmierć miałem przed oczami... przybiegł pański dziadek, obronił mnie... ja zemdlałem... Nie dziwota, ja nie byłem wojak... nie żydowski to interes i nie żydowska natura... mój ojciec, mój dziadek nie był wojak... ale pański dziadek, panie Brzozowski, pański dziadek to odważny człowiek był... Długo czekałem na to, żeby mu się odwdzięczyć, i doczekałem się... przyszedł znów taki czas, że dziadkowi pańskiemu groziło nieszczęście... Pan Bóg, który czasem daje moc słabemu, pozwolił mi go także uratować. Ja się wtenczas,

co prawda, bardzo bałem, ja strasznie się lękałem, ale ja to zrobiłem...

— Panie Froim — rzekł Brzozowski — więc to pan jesteś tym żydem, o którym dziadek mój tak wiele dobrego opowiadał?

— Pewnie, że ja jestem tym żydem, i to pewnie, że ja tak szanowałem pańskiego dziadka, jak on mnie... Ja handlowałem z nim uczciwie, ja zarobiłem przy nim, ale ja go nie obdarłem, nie skrzywdziłem, jak to się praktykuje na świecie... On żył i ja żyłem, on się dorabiał i ja się dorabiałem, nawet, chwalić Pana Boga, ładnie się dorobiłem... ale jak przyszło nieszczęście, to i on stracił i ja straciłem... Nie płakaliśmy... Bóg dał, Bóg wziął.... taka Jego wola... Bóg nawet czasem chce zrobić taką próbę nad człowiekiem, czy, jeżeli on jest nabożny i sprawiedliwy w szczęściu, będzie taki sam i w nieszczęściu... A wiesz pan, panie Brzozowski, dlaczego pański dziadek majątek stracił? dlaczego ja majątek straciłem?... przez nieszczęście. A nieszczęście bywa różnego gatunku: jedno takie, jak kamyk, co jak spadnie z góry, to może człowiekowi głowę skaleczyć... drugie znów będzie jak cała góra kamieni, co jak się zwali to wszystkich ludzi gniecie... Na nas zwaliła się cała góra!!

Nie przerywaliśmy, a stary żyd westchnął głęboko i tak ciągnął dalej:

— Oj... oj... to było dawno, bardzo dawno; panowie młodzi nie żyliście jeszcze na świecie, ale ja żyłem, pana Brzozowskiego dziadek żył wtenczas... Na nasze plecy zwaliła się cała góra, bo taka była wola od Pana Boga... Myśmy nie płakali, myśmy nie wyrzekali, bo wiadomo, że czasem Pan Bóg daje nieszczęście dlatego, żeby z tego nieszczęścia zrobiło się szczęście. Więc myśmy cierpieli i chwaliliśmy Pana Boga: pan Brzozowski nieboszczyk po swojemu, a ja po swojemu, i prosiliśmy Go, żeby dał nam wytrzymać nieszczęście,

a z tego nieszczęścia żeby zrobił szczęście. No, Pan Pan Bóg nie wysłuchał, miał inszą wolę, insze swoje pomyślenie, i z nieszczęścia nie dał szczęścia, ale chciał próbować ludzi i dał jeszcze gorsze nieszczęście. On tak chciał i to trzeba téż przyjąć... Jak rosa pada na ziemię, to z tego lepiéj zboże rośnie; jak pada płakanie z ludzkich oczów, to także niedarmo. Od tego Pan Bóg trzyma tysiące aniołów, żeby oni to płakanie zapisali, zważyli, zmierzyli i zrobili całą sumę, co kiedyś będzie Jemu do rachunku potrzebna. Nie wiem ja, czy panowie mnie dobrze zrozumieli, ale to wiem, że mówię sprawiedliwie, jak prawda jest, jak się należy. Swiat nie jest teraz porządny, bo ludzie pana Boga zapomnieli, wyrzucili z swego serca dobroć, a w to miejsce włożyli złość, zawziętość, zawiść, chciwość, że jeden drugiemu toby, jak nieprzykładający pies, z gardła wszystko chciał wydrzéć, jeden drugiego chciałby ze wszystkiém zniszczyć, zgubić... Żle, źle, bardzo jest... a ja się spodziewam jeszcze gorzéj...

— Dlaczego pan jesteś takim pesymistą, panie Froim? — zapytałem.

— Ja nie rozumiem, co to słowo znaczy — odpowiedział—i nawet nie chcę rozumiéć; ja nie jestem ani taki, jak pan powiada, ani taki, jakby kto mógł myśléć... ja jestem stary żyd... z dawnych żydów.

— Stary?

— Stary, panie, stary żyd, nie dzisiejszy... to jest różnica... I to wino, które panowie pijecie, jest inne niż dzisiejsze... i wszystko dzisiejsze jest inne niż dawne... tylko moc od Pana Boga zawsze jednakowa, tylko Jego słowo się nie odmieni...

Powiedziawszy to, zamyślił się smutnie.

Już noc zapadła, w stancyi zrobiło się ciemno, rozczochrana żydóweczka przyniosła cienką szabasówkę w wysokim lichtarzu mosiężnym i postawiła ją przed nami. Czerwony płomyk téj świeczki rzucał na ścianę

i podłogę fantastyczne cienie. Mosiężny żyrandol szabasowy, uczepiony u pułapu, wydawał mi się niby pająk potworny, niby owa góra nieszczęścia, która wali się, jak mówił Froim, na ojców, na dzieci i na dzieci tych dzieci,—a sam Froim, poważny siwobrody starzec, w owém oświetleniu niepewném, migotliwém, zdawał się być prorokiem, wołającym: biada wam, biada! boście zatwardzili serca wasze jak kamienie!

Konie już były napasione i wypoczęte. Maciek téż zaprzągł je i z łoskotem zajechał przed karczmę. Pożegnaliśmy się z Froimem, który odprowadził nas do drzwi i rzekł w progu:

— Nie omijajcie panowie, nie omijaj pan, panie Brzozowski, naszego miasteczka i starego Froima... Znajdziecie tu jeszcze trochę tego wina, co francuzów pamięta... ale wstąpcie niedługo, bo czas ucieka, oj, oj, jak on ucieka! on tak ucieka jak ptak na skrzydłach, on tak ucieka jak wiatr, który wieje po polach... a co trochę dmuchnie, to trochę z sobą zabierze... Śpieszcie więc panowie, bo już niedługo powiecie, że i takich ludzi jak nieboszczyk pan Brzozowski niema, i takiego wina, co francuzów pamięta, téż niema... i starego Froima także niema...

— Żyj pan jeszcze sto lat—rzekłem, wsiadając na bryczkę.

— Dziękuję za dobre słowo—odrzekł—ale cobym ja tu robił?

— Jakto?

— Z kim miałbym żyć? kiedy powiadam panu, że już z dawnych czasów nic niema, nawet... i wstyd i smutno takie słowo powiedzieć... dziś nawet żydów jak się należy także już niema...

. . . .

Odjechaliśmy.

Wypoczęte konie, parskając wesoło, ciągnęły raźnie bryczkę po piasczystym gościńcu; towarzysze moi, rozmarzeni starém winem, drzémali, a ja spoglądałem dokoła, o ile cienie nocy letniéj pozwalały na to... Nad smutną, lesistą okolicą Podlasia świeciły gwiazdy, z nad moczarów i łąk mgła w fantastycznych kształtach unosiła się ku górze.

Zdawało mi się, że w téj mgle niewyraźnéj, białawéj, widzę poważną postać Froima, widzę jego siwą brodę rozwiewającą się szeroko, jego wychudłą rękę wzniesioną do góry, i że w tchnieniu wiatru dolatuje mnie suchy głos starca...

WESOŁEGO.

(OBRAZEK.)

W siedmiu ogromnych pokojach, w lokalu parterowym mieściła się restauracya, w której już o zmroku we wszystkich oknach płonął gaz w dużych kulach mlecznych — a po nad drzwiami jaśniała latarnia o szkłach kolorowych, jaskrawych. Czerwone, zielone i niebieskie pasy światła padały z owej latarni na chodnik, aby zwracać uwagę przechodniów i zapraszać ich niejako do tego przybytku kuflowo-bilardowych rozkoszy.

W pierwszéj stancyi za ogromnym bufetem zastawionym niewykwintnemi przekąskami i bateryą butelek, zasiadała sama właścicielka zakładu, pulchna blondynka, o wydatnym biuście i wspaniale zaokrąglonych ramionach.—Uśmiechała się ona do jakiegoś „stamgasta" siedzącego przy najbliższym stoliku i obdarzała go melancholicznem wejrzeniem, oraz uśmiechem słodkim, obiecującym. „Stamgast" patrzył w twarz gospodyni jak w obraz, a jeżeli odrywał wzrok swój od jéj miłéj osoby, to dlatego tylko—aby spojrzéć w kufel i przekonać się czy rychło na nowo napełnić go wypadnie. Kilka dziewczyn pretensyonalnie ubranych biegało pomiędzy gośćmi roznosząc kufle, talerze i uśmiechy—w ostatnim

zaś salonie rozlegał się łoskot kul bilardowych i gwarna rozmowa grających.

Restauracyjka cieszyła się wielką popularnością, gości było pełno—wszystkie stoliki zajęte. Gwar i hałas panował w niéj nieznośny, gęste obłoki dymu z papierosów i cygar napełniały powietrze.

Był to dzień sobotni; wielu rzemieślników z rękami od pracy czarnemi przyszło tu na kufel piwa, niektórzy przyprowadzili z sobą żony — toczyły się tu spory i sprzeczki — rozmowy o najrozmaitszych przedmiotach, a gwar tych rozmów, w połączeniu z brzękiem kufli i noży, głośném wołaniem na usługujące dziewczyny, zmuszał biesiadników do coraz silniejszego podnoszenia głosu—do powiększania ogólnéj wrzawy. Tu nawet zakochany musiał swéj ulubionéj wykrzyczéć wyznanie, gdyż inaczéj nie byłaby go mogła usłyszéć.

W największym salonie, gdzie stało najwięcéj stolików, gdzie zgiełk do kulminacyjnego punktu dochodził, na estradzie z desek skleconéj i wypłowiałym dreliszkiem pokrytéj, stał stary, wysłużony fortepian. Los równie dla fortepianów jak i dla ludzi złośliwy, wyrzucił go z salonu i przeniósłszy do knajpy, kazał mu jęczéć co wieczór nadszarpniętemi strunami i napełniać melodyą izby pełne dymu i gwaru.

Godzina siódma wydzwoniła na zegarze umieszczonym na wierzchu bufetowéj szafy i akurat w tejże saméj chwili do fortepianu zbliżyła się kobieta niemłoda, któréj włosy dobrze już szron siwizny przypruszył. Zdjęła z siebie wypłowiałą mantylkę, uwolniła palce z rękawiczek, a otworzywszy fortepian i usiadłszy przy nim uderzyła kilka akordów. Potém z pod palców jéj popłynęły łagodne dźwięki jakiegoś starego, sentymentalnego walczyka, o rytmie spokojnym, miarowym jak chód starego zegara.

Szewcowa jakaś, czerwona i do wzruszeń skłonna, trąciła silnie swego małżonka w łokieć i rzekła z rozrzewnieniem:

— Jacuś, słuchaj, na naszém wesielu tego walczyka grali... Pamiętasz, Jacusiu, serdeńko, pamiętasz?

— Pa...pa...miętam, pamiętam jagódko — odrzekł z trudnością pan majster. Gra bo gra! niech ją nie znam.

— Tak, tak Jacusiu, biedactwo jakieś, na starość grajkować musi... naści dwie dziesiątki, bęcnij jéj tam na fortepian, niech ma za swoją pracę, kiedy mi młode lata przypomniała.

On... wstał i chwiejnym krokiem ale z miną buńczuczną do fortepianu się zbliżył. — W ręce wyciągniętéj dwadzieścia groszy trzymał, już usta otwierał aby coś powiedzieć, gdy wzrok jego spotkał się ze spojrzeniem grającéj.

Musiało być coś magicznego w tém spojrzeniu, bo poczciwy majster oczy spuścił, przeproszenie jakieś wybąkał i delikatnie, nieśmiało datek swój podsunąwszy pod nuty na fortepianie leżące, odszedł do swego stolika.

Ta bawaryowa artystka umiała poszanowanie dla siebie obudzić. Zachowywała się z godnością, nie zbierała datków na nuty, nie obchodziła stolików — szanowali ją téż goście knajpowi—a nawet pijany rzemieślnik jeżeli bliżéj fortepianu siedział, miarkował swe wyrażenia i gesta żeby nie urazić... radczyni.

Bo ją „radczynią" nazywano w téj knajpie. Nikt nie znał jéj bliżéj, nie wiedział zkąd się tu wzięła; przed kilkoma miesiącami zaczęła tu grywać i od tego czasu stawiała się codziennie o siódméj i z małemi przerwami do dwunastéj grywała. Dostawała za to od pulchnéj gospodyni dwa złote, a że kolacyi w zakładzie jadać nie chciała, więc zawijano jéj w starą gazetę kawałek mięsa i chleba, i to podobno za obiad na drugi dzień jéj służyło. Stali goście bawaryi opowiadali sobie, że radczyni była niegdyś bogatą i że grywa z biedy — ale bieda to w mieście takie powszednie zjawisko, że już nie robi wrażenia. Zresztą radczyni była milcząca, nie odzywała się do nikogo, przychodziła o swojéj godzinie, grała do

saméj północy, nie robiła sobie długich pauz i wypoczynków, a dzięki jéj, fortepian nieustannie brzęczał i rozweselał gości. Przyzwyczajono się do téj staruszki jak do jakiego mebla, lub obrazu, słuchano jéj muzyki codziennie.

Dziś radczyni, wbrew swemu zwyczajowi nie zachowywała się normalnie. Skończywszy walczyka, wstrząsnęła się nerwowo, zarzuciła na plecy chusteczkę i odpoczywała dość długo — potém wstała, poszła do bufetu i poprosiła o szklankę wody.

Kiedy powróciwszy zaczęła grać jakiegoś starego, odwiecznego lansiera, oczy jéj błysnęły dziwnym blaskiem, a na wychudłe policzki wystąpił mocny rumieniec. Grała z takiém ożywieniem i ogniem, że wszyscy goście oglądali się na nią, a jeden nawet szepnął sąsiadowi.

— Niema ćo gadać, panie Wincenty, dziś babina jest w sztosie.

Naprawdę, babina była w sztosie wspomnień. I dla niéj przecież świeciło niegdyś słońce i dla niéj kwitnęły kwiaty... Przypomniała jéj się wiosna życia, przypomniał niewykwinty salonik jéj rodziców, ongi dzierżawców niewielkiego folwarku; był tam także fortepian i tańczono lansiera...

Lansier téż szczególnie utkwił w jéj pamięci, bo w chwili reweransów i ukłonów dyganych, ongi... ongi.. nieboszczyk mąż wyznał jéj swoją miłość, oświadczył się...

Pamięta ona dobrze tę chwilę, pamięta przez całe życie—i nie zapomni nigdy. On był młody, przystojny, a przytém świat się przed nim otwierał... był urzędnikiem, miał tysiąc złotych pensyi. Na owe czasy to już pozycya.

I tak dobrze im było. Mieszkali w małém miasteczku, mieli własny domeczek z ogródkiem — on chodził do biura, awansował dość szybko, ona zaś pilnowała domeczku, chowała dzieci...

Dwoje im tylko Pan Bóg dał, syna i córkę — ale jakież to były te dzieci... mądre, ładne, dowcipne, chowały się dobrze i uczyły nieźle.

Nie obejrzeli się szczęśliwi małżonkowie, jak im blizko dwadzieścia lat życia ubiegło, szybko jak jedna chwila, słodko, spokojnie.

Mąż był już dygnitarzem — adjunktem przy naczelniku powiatu, szanowali go wszyscy, kłaniali mu się nizko — ona należała do najwyższych sfer miasteczka, sam naczelnik bywał u nich... raz nawet gubernator przejeżdżając, do nich na śniadanie wstąpił — do nich, choć były przecież inne domy! Naumyślnie nieboszczyka wyróżnił, jako urzędnika sumiennego, prawego, awans mu wtenczas obiecał.

Przeszło to wszystko, przeminęło, jak ostatnie dźwięki lansiera, który ukończyła właśnie.

Znowuż ją jakieś dreszcze wstrząsnęły, chciałaby poprosić o herbatę. Podanoby jéj natychmiast, ale to jakoś w bawaryi nie wypada... Zresztą powróci za parę godzin do domu — wie, że jest tam w maszynce troszkę nafty, to zagrzeje wody i będzie herbata. Herbata, a może lepiéj ziółka jakie, bo zimno dziś szczególnie...

Ale grać trzeba, fortepian długo już milczy.

Radczyni przypomina sobie ze swoich nut jakąś odwieczną, romantyczną „przechadzkę przy świetle księżyca.” To jéj się nadaje do wspomnień—bo w „promenadzie” owéj są westchnienia, szmery wód tajemniczych, daleki odgłos dzwonów.

Tak dzwonów... dzwonów... nasłuchała się ich w swojém życiu niemało, czuła ich uderzenia w sercu, jak pchnięcia zimnego noża, wtórowała im jękami...

Dobry, poczciwy jéj mąż nie dostał przyrzeczonego awansu, nie dostał, gdyż przeziębił się i umarł, umarł naprzekór przepowiedniom powiatowego lekarza, który tak ją uspokajał, tak zapewniał, że wszystko dobrze się skończy. — Ha skończyło się — długotrwała choroba po-

chłonęła zapasy, trzeba było domek obdłużyć nawet. Umarł mąż, umarł biedaczysko i emerytury nawet wysłużyć nie zdążył... Czy widzi teraz z wysokiego nieba swą towarzyszkę życia, czy słyszy, że ona gra tu w brudnéj, zadymionéj knajpie, ona, pani adjunktowa, szanowana tak niegdyś w miasteczku!!

Gra w bawaryi: „Promenade au clair de łune"— przechadzka przy świetle księżyca, ale dusza jéj jest gdzieindziéj.—Dusza jéj błądzi właśnie przy świetle księżyca na cmentarzu, wśród ukochanych grobów. Tuż przy kaplicy pod brzozami dwoma, mąż spoczywa snem wiecznym... już się i mogiła jego zapadła, i krzyż na niéj pochylił... nawet blacha z napisem na ścianie kaplicy przybita już zblakła, deszcze z niéj pozmywały litery, tylko smutku z serca zmyć nie mogły, boleści ukoić nie zdołały... Zapadła się mogiła męża... zapadła jak pierś osieroconéj wdowy... jak jéj oczy, które tyle łez wypłakały... Bo jakże nie miały wypłakać?! Jeszcze nad grobem męża trawa dobrze nie porosła, a już grabarz dla syna grób kopał. To jeszcze cięższa strata, jeszcze boleśniejsza rana. Matka grzebiąc dziecię, grzebie część własnéj istoty, grzebie swą dumę, szczęście, nadzieję.

Jéj syn, ten dzielny chłopak, który się uczył tak dobrze, który miał być pociechą i opieką matki na starość, zginął nieszczęśliwie, niespodziewanie, nagle. Padł ofiarą swéj własnéj szlachtności i poświęcenia się dla drugich...

Nieszczęście!

Poco chodził nad brzeg rzeki, poco ujrzał jakąś kobietę tonącą? Bez namysłu rzucił się w bystre nurty wody i byłby wyratował ofiarę nieostrożności — lecz ta objęła go konwulsyjnie za szyję, skrępowała ruchy w żelaznym, rozpaczliwym uścisku i poszli na dno oboje— oboje już martwych wydobyto.

Był to grom dla matki okropny — ale i ten przeżyła, gdyż ją jeszcze nowe krzyże czekały, gdyż jeszcze

niewypłakała łez wszystkich. — Córka po roku pożycia z mężem umarła także i leży na Powązkach, a biedna matka osierocona już zupełnie, niema nikogo, nikogo na świecie... Dopóki mogła pracować, dopóki była silniejsza, trudniła się szyciem, lekcye dawała, lecz dziś do szycia oczy nie służą, rodzice żądają dla dzieci nowéj metody uczenia, skromny kawałek chleba wymyka się z ręki spracowanéj i drżącéj.

Skończyła się „Promenada,” radczyni obciera chustką krople potu z czoła i czuje, że jéj słabo, gorąco i zimno naprzemian.

Patrzy na zegar, wpół do jedenastéj dopiéro. Jeszcze półtoréj godziny tylko... to niedługo, całe lata przeszły takie ciężkie, takie bolesne — a jednak przeszły, minęły — półtoréj godziny cóż znaczy?!

Tyle przemyślała o grobach, o cieniach swoich ukochanych... Tak jéj smutno i boleśnie na duszy, cóż więc dziwnego, że zamiast skocznych tańców, „Ave Marya" zaczyna.

Ten i ów zatrzymuje kufel do ust niesiony — i słucha oglądając się w stronę fortepianu — w gwarnéj sali chwilowo cisza zalega...

Nareszcie pijany jakiś gość, uderza kuflem w stół z całéj siły i krzyczy:

— Panno! serka do kroć stu tysięcy, czy panna nie słyszysz, że tu jak na pogrzebie grają!

Muzyka tymczasem nie ustaje, gdyż grająca tego wykrzykniku nie słyszy, gra daléj, z coraz większą mocą, przyciska z całéj siły pedały, uderza z dziwną mocą w klawisze. Goście powstali z swych miejsc i spoglądają w zdumieniu; twarz grającéj jest blada jak kreda, usta zaciśnięte kurczowo, oczy szeroko rozwarte. Tylko palce nerwowo uderzają w klawisze, jak gdyby chciały wszystkie struny w fortepianie pozrywać.

Pulchna pani wytoczyła się z za bufetu, przyszła do grającéj, ujęła za rękę.

— Pani! pani! co pani wyrabia?

Muzyka ucichła. Ręce radczyni opadły bezwładnie.

— Pani coś jest, pani chora jesteś — zawołała z przerażeniem gospodyni. — Józiu! Maniu! ruszcie się, wody tu dajcie natychmiast!

Biedna kobieta westchnęła ciężko, spojrzała na gospodynię, na gości, na liczne kufle rozstawione po stołach i wnet przypomniała sobie gdzie jest.

— Przepraszam panią—rzekła—trochę mi było niedobrze... sama nie wiem co grałam...

— Ach, co pani grała! i ja nie wiem co pani tam grała—takie granie to w kościołach grywają.

— Niech mi pani wybaczy... poprawię się — rzekła cicho — zagram co innego...

W gronie gości znalazł się jakiś felczer.

— Ej, co pani zagra — rzekł — kiedy pani ledwie siedzi na krześle. Pani gospodyni, kieliszek wina dać— a jak nie—to ja funduję i basta!

— Nie zawracaj pan głowy z swoją fundą... cóż to, ja pożałuję dla choréj? za pieniądze będę dawać — jak jaka aptekarka, widzisz go, jaki mi fundator!

Pobiegła do bufetu, nalała kieliszek wina i przyniosła cierpiącéj. Ta wypiła do dna, wszystko, chciwie; rumieńce wystąpiły jéj na policzki.

— Może jeszcze — rzekła gospodyni — proszę, niech sobie pani nie żałuje, ja mam tego dobrego dosyć—bardzo proszę.

— Nie—nie, dziękuję pani — już mi dobrze, już mi zupełnie dobrze... mogę już grać...

— No, Bogu dzięki, myślałam, że się pani rozchoruje—ale kiedy pani grać może — to już dobrze.

— Mogę, mogę... zagram w téj chwili.

— Tylko proszę pani, nie tak jak przedtém — coś wesołego koniecznie — to goście najlepiéj lubią.

— Wesołego... ha! dobrze — postaram się, zagram coś bardzo wesołego, skocznego...

Zamyśliła się nieco—sięgnęła w przeszłość pamięcią. Wesołego chcą... kiedyż była wesołą? O, dawno to już, dawno... ale prawda, ostatni raz na weselu córki. Pamięta doskonale. Wtedy miała na sobie suknię jedwabną, popielatą.

Mieszkały właśnie z córką na Kanonii, już po śmierci ojca i syna, po wyprowadzeniu się z miasteczka. Miały ładne dwa pokoiki, fortepian, bo wtedy były jeszcze jakieś resztki i siły do pracy.

To była jesień jéj życia, a wesele córki najpiękniejszym dniem téj jesieni...

Gości było niewiele, coś dziesięć, czy dwanaście osób wszystkiego; panna młoda i druchny chciały trochę potańczyć, fortepianik był w domu, panienki grały naprzemian.

Zabawa szła tak raźno i ochoczo — że już świt w okna zaglądał — a młodzież jeszcze tańczyła.

— Mamuniu, droga, mateczko—mówiła panna młoda, zagraj nam białego mazura! zagraj najdroższa, niech się córka twoja chociaż na weselu własném zabawi.

Wtenczas matka usiadła do fortepianu i grała, grała przez dwie godziny, a może dłużéj,—ale jak, z jakim ogniem, z jakiem życiem...

I teraz zagra tak samo. Chcą wesołego... dobrze! odda im to co miała najweselszego w swojém życiu... odda im, bo choć jéj w oczach krwawo, choć sił braknie, grać musi — aby ostatniego środka do życia nie stracić...

Uderza w klawisze.

Skoczny rytm mazura rozlega się po sali — rozbrzmiewa tempem coraz żywszém, prędszém, goście wybijają takt kuflami, kilku wtóruje półgłosem.

— O, tak to lubię! to ci ogień dopiero! — woła jakiś gość gruby, przytupując krótkiemi nogami — brawo! pani radcowa, jak Boga kocham — brawo! To ci mazur — i w tyjatrze nie usłyszy! hu! ha!

Biedna kobieta nie widzi tego zachwytu, nie słyszy pochlebnych okrzyków gości, ona gra i gra! a przed oczami jéj wyobraźni, podbudzonéj dziś wyjątkowo, przesuwają się dorodne pary, a wśród nich miga biała sukienka — Zosi ukochanéj.

Och wesele, wesele!... droga córka, tak kochała swego męża, tak się rwała do życia... Mazur rozbrzmiewał w małym saloniku na Kanonii, a Zosia oparta na ramieniu męża, zdawała się płynąć w powietrzu.

Śliczny mazur! biały mazur... na weselu córki palce z błyskawiczną szybkością biegały po klawiaturze, tancerze byli w zachwycie.

Coraz silnéj, coraz donośniéj brzmiał mazur... w zadymionéj knajpie gwarno było. Ten i ów zachwycony przyśpiewywał półgłosem.

Naraz, w połowie najsilniejszego akordu, fortepian zgrzytnął fałszywie — a głowa grającéj bezwładnie pochyliła się w tył.

Stojący blizko fortepianu felczer przyskoczył natychmiast, suknię na piersiach omdlałéj rozrywać zaczął. Goście powstawali z miejsc.

Z za bufetu wysunęła się pulchna gospodyni.

— Co to jest? czy struna pękła w fortepianie?

— Pal dyabli wszystkie struny i cały fortepian — rzekł felczer—tu gorszy jest interes—bo jéj serce pękło!



...bo jéj serce pękło.—Str. 322.

GRABARZ KSIĄŻEK.

(OBRAZEK Z BRUKU MIEJSKIEGO)

Może wam dziwacznym wyda się ten tytuł — lecz w gruncie rzeczy nic on osobliwego w sobie nie zawiera.

Książka, tak jak i człowiek, ma swoje życie, ma i śmierć... W świecie bibuły... tak jak w ludzkim świecie, jest arystokracya i plebs, szczęśliwa głupota i zapoznana zasługa, protegowana mierność; jest wszystko, nic nie brakuje.

Zrodzona w głowie autora, wyprawiona przez wydawcę, przeszedłszy przez ręce drukarza i introligatora, książka ma przed sobą świat otwarty. Może się dostać do salonu i wyzłocona, wspaniale oprawna, służyć do ozdoby jak mebel, może być nabyta przez ciekawego biedaka i przechodzić z rąk do rąk, z suteryn do poddaszy, dopóki się nie rozleci na strzępki; albo wreszcie pozostaje nietknięta na półce księgarskiéj i pleśnieje tam, żółknie, jak stara panna, o któréj względy nikt się nie ubiegał, któréj serca nikt nie zapragnął posiąść...

Taka zapomniana sierota, w towarzystwie licznych swych siostrzyc, wyczekuje lepszych czasów nieboga, dopóki jéj nowe książki z miejsca nie zepchną — bo, i w tym świecie bibuły, dla zapomnianych bywa ciasno, bo i tam również brak miejsca...

Wyrzucona z eleganckiéj księgarni, z po za lustrzanych szyb i z pięknéj szafy rzeźbionéj, przechodzi różne suchotnicze etapy, różne stacye pośrednie, dopóki nie dostanie się do rąk grabarza, na cmentarz...

Więc opatrzona w napis „za połowę ceny” przenosi się do antykwarni żydowskiéj, między zatęchłe ze starości druki, na pastwę mólom i myszom; między poplamione, podarte, zmęczone kursem gimnazyalnym książczyny uczniowskie; opiera się jednym bokiem o starego „Knapiusza” drugim o wycofane z kursu romansidło francuzkie i czeka zmiłowania, czeka aż ją kto kupi i do domu zabierze...

Tu jeszcze ma jakieś szanse poprawienia losu. Może przyjść jaka przedsiębiorcza dama z prowincyi i w liczbie kilku cetnarów duchowego pokarmu, nabyć ją do czytelni pacanowskiéj, lub rypińskiéj, może (jeżeli książka okropności w sobie zawiera) nabyć ją uczeń specyalnie do czytania pod ławką.

Ale los nie zawsze bywa miłosierny... książki nikt nie kupuje, i oto antykwaryusz powiada: precz, niemasz acani tu miejsca, świeży towar nadchodzi.

Biedna książka wchodzi w fazę podróży.

Bierze ją w swoją opiekę żydek handlarz uliczny' specyalista od książek; wraz z innemi związuje sznurkiem, zarzuca na ramię i idzie na Ordynackie, ze Żelazną Bramę, staje na ulicach, na placach publicznych i woła:

— Wielkie dzieło, uczone dzieło, mądra książka, za psie pieniądze, dalibóg!

Są wszakże tak nieszczęśliwe, tak upośledzone geniusze... chciałem powiedzieć książki, którym nawet taka reklama nie może zrobić rozgłosu i poparcia... Biedna książka, z pleców handlarza zostaje rzucona na wielką gromadę bibuły, na cmentarzysko wydawnicze i czeka ostatecznego ciosu, który jéj grabarz ma zadać.

W nieszczęściu swojém ciężkiém, w agonii przedśmiertnéj — tę ma ostatnią, a może i jedyną w życiu pociechę, że ginie w towarzystwie porządném.... Poważne, po większéj części naukowe dzieła, obszerne traktaty filozoficzne, wyższa matematyka, prawoznawstwo, wreszcie najpiękniejsza z pięknych — poezya, zgromadziły się tutaj, odepchnięte, zapoznane przez ludzkość i czekają wielkiéj hekatomby...

Nad niemi, jak duchy, unoszą się w powietrzu westchnienia autorów i przekleństwa wydawców, w których kieszeni żal nad straconą księgą przechowuje się dłużéj niż obraz zabitego na wojnie rycerza, w sercu niepocieszonéj kochanki.

Wielkie cmentarzyska książkowe mieszczą się w Warszawie, na Nalewkach, na Dzikiéj, na Gęsiéj, tam w ogóle gdzie wszelkie ślady minionych świetności koncentrują się, aby zaginąć na zawsze...

Dłoń grabarza zadaje im cios ostateczny.

Znałem jednego takiego specyalistę, czułem dla niego nawet pewną sympatyę, choćby ze względu na koleżeństwo w książkowym interesie. Nieraz słuchałem światłych jego uwag i spostrzeżeń, które nad zmarnowanemi książkami, niby mowy pogrzebowe nad trumną, wypowiadał.

Był to mały człowieczek, ze spiczastą bródką i przenikliwemi oczami, nazywał się Załmon Meir Samowar, pochodził z arystokratycznéj rodziny, gdyż jego dziadek był wielki „kobulnik,” co znaczy, że się nawet na kabale rozumiał... I Załmon Meir rozumiałby się na tym interesie, ale nie miał czasu, gdyż potrzebował dać żonie piętnaście rubli tygodniowo na życie i prócz tego cztery ruble oddzielnie na szabas, a przy ogólnéj stagnacyi i upadku literatury — nie łatwo jest taką sumę zarobić. Nie łatwo, témbardziéj że dziennikarstwo zabiło literaturę książkową, a przytém „bibulniki,” czyli handlarze

grubéj, ordynarnéj, szaréj bibuły, także dużo w fachu grabarzy książkowych popsuli.

Dawniéj w ogóle czasy były lepsze, i jak człowiek wyrobił sobie jaki geszefcik, to mu nikt w drogę nie wchodził; mógł więc żyć szczęśliwie z żoną, dziećmi, wnukami... mógł zebrać dla każdego dziecka przynajmniéj trzydzieści rubli posagu; ceny nikt nie psuł, wszystko szło trybem normalnym.

Dziś z powodu kolei, telegrafów, tramwajów i innych, można powiedziéć paskudnych wynalazków, cały świat się popsuł. Dziś lada jaki bałaguła, furman—albo tragarz—człowiek ordynarny, cham poprostu, bez żadnego przygotowania, bez nauki, chciałby téż handlować używaną literaturą, i handluje; włazi innym w drogę, psuje ceny, świat psuje...

Dziś jest niedobrze, nawet w takim interesie jest niedobrze, plunąć warto; człowiek się trzyma tego fachu tylko przez przyzwyczajenie, ot tak, żeby z głodu nie umierać.

— Proszę pana, mówił raz do mnie szanowny Załmon Meir, proszę pana, przez urazy! jak ja znam całą literaturę, to nawet panowie sami jéj tak nie znacie. Chciałbym miéć taką kupę szczęścia, jaka kupa książek przeszła przez moje ręce! Ha! ha! wiesz pan dobrodziéj, że dawniéj to niemogłem sobie z temi książkami dać rady — ja konia do literatury trzymałem!! Żebym tak dobre życie miał! ja z przeproszeniem w książkach po same uszy siedziałem...

— A Mickiewicza pan znasz?

— Za co ja go mam nieznać? Ha! ha, to buło osoba! Ja miałem z niego ładny zysk... ja go kupiłem całe dwanaście pudów na licytacye, na komore... A myśli pan, że ja nieznam „historye odkrycie od wynalazki?” Znam, aj waj! papier jak rzemień, zdrowy towar, piękny towar buł... A „studya ekonomiczno-socyalne” jeszcze lepszy towar... a to, a owo (tu wyliczył ze sto

dzieł, których wymieniać dla łatwo zrozumiałych powodów nie wypada), ja ich znam jak moje pięć palców... Ja pana powiem, że takiego drugiego znawce na książki to w Warszawie się nie zdybuje... Tylko teraz to się wszystko już psuje—a kto psuje? panowie sami psujecie!

— My!?

— Nu — a kto? Kto zabił książki? panowieście sami zabili. Zrobiliście mode na gazety, przez to książek jest mniéj, a co gazeta warta, co ona z przeproszeniem warta?...

— Pleciesz pan głupstwa, cały świat przyznał, że prasa to szóste mocarstwo.

— Żeby moje wrogi takie mocarstwo w plecy mieli — jak gazeta mocarstwo jest! To słabizna, gorsza od te bibułke co na papierosy idzie, pfe takie mocarstwo! Panowie dajecie na gazety taki papier, co w nim nie ma kawałka szmaty, tylko, za pozwoleniem, jedna słoma i rozgotowane drewno. Czy ja się na tém nie znam? Jak kropla wody padnie, to ono się rozłazi, a jak dwa razy złożyć, to pęka na składaniu jak przepalona skóra... Co warta jest gazeta? czy to towar? czy ona wchodzi do handlu? a panowie to rozsypujecie na cały świat...

— Grubo przeholowałeś, panie Załmon.

— Aj, co to ja nie wiem? ja téż podróżowałem dosyć... ja bułem w Sochaczewie, bo moja żona jest sochaczewska rodzona, ja i tam téż widziałem gazetów... Nie, nie, pan sobie omyla! Gazeta to w handlu tyle znaczy co nic... to nie rachuje się nawet... A co się tyczy książki, to panowie téż popsuliście cały ruch.

— W jaki sposób?

— Bardzo prostym sposobem. Jak się zrobiło mode na gazety, to ustało mode na książki, a choć nie całkiem ustało — to zawsze zmniejszyło się. Ja wiem najlepiej całe dyfyrencyę tego interesu. Mądre ludzie naprzód powiadali, że tak będzie... Jak mojemu dziadkowi, temu co buł tak wielgi „kobulnik” pokazali koleję żelazną,

to un, za pozwoleniem pańskiém, splunął i powiedział, że to będzie zguba świata — a jak on raz zobaczył gazetę, to, przez obrazy pana, on także splunął i powiedział do mnie: Załmon Meir, to będzie zguba twego interesu — załóż ty lepiéj szynk na Muranowie...

— Dlaczegożeś pan tego nie zrobił?

— Masz pan dobrodziéj racyę, dlaczego ja tego nie zrobiłem? Mnie było markotno od szlachetny interes, od literaturów, od książków — przerzucić sobie do szynku, między różne złodzieje i pijaki. To dla mojéj osoby nie pasowało—i pieniędzy na szynk téż nie miałem, bo to duże pieniądze potrzeba. Zostałem przy swojém i płaczę, bo paskudny czas nastał — a te pisarze, drukarze, księgarze to dziś nawet porządnéj książki nie potrafią już zrobić.

— Czy pan czytujesz książki?

— Ha?! czy ja czytuję? ma się rozumiéć że czytuję, w szabas czytuję, w święto... ale to co ja czytuję to nie jest z mojego towaru.

— A cóż to jest?

— Książki — ha! ha! jakie książki, nasze książki, co się do nabożeństwa należy — więcéj to ja nie czytuję, na co? jaki mnie z nich pożytek?...

— Zkądżeż pan tedy wiesz, że teraźniejsze nasze książki są do niczego.

— Ja panu zaraz wytłumaczę; patrz pan, rzekł biorąc do ręki arkusz druku, złożony w małą szesnastkę, patrzaj pan, co komu z tego za pożytek?

— No — przeczyta ktoś...

— Ja pytam o pożytek, a pan mówi o czytanie! To co innego, a tamto całkiem co innego jest... Ja panu powiem jak trzeba robić dobre książki, porządne książki, jak się należy książki, ja panu wytłumaczę cały sekret...

— Szanowny panie Załmon Meir, powiedz-że co prędzéj, taka cenna rada to skarb! to majątek!

— Niekpij pan sobie od biednego żydka, który chce żyć i panom chce dać zarobić... patrz pan to jest arkusz papier...

— Tak.

— Widzi pan, to trzeba wybrać taki format, żeby jak się sklei dwa karty żeby buło kwarte, cztery to pół garniec, a ośm to cały garniec! Taka książka nigdy się nie zmarnuje, ja pierwszy będę na nią kupiec.

— Jak to kwarta? półgarnca? co pan opowiadasz?

— Aj waj! ja nie wiem za co panowie macie takie ciężkie głowy, trudne do pomyślenia. To taka prosta rzecz — dać taki format, żeby jak się sklei dwa kartki, wlazła między nie kwarta grochu, kwarta mąki, czy kwarta kaszy naprzykład—taka książka zawsze się sprzeda... ja pana powiadam na moje sumienie, że ona zawsze się sprzeda.

. . . .

Pożegnałem grabarza książek i opuszczałem fatalne cmentarzysko myśli ludzkich, zaklętych w stosy bibuły—opuściłem, rozmyślając nad tém co mi szanowny Załmon Meir Samowar, ten niezaprzeczenie wielki znawca literatury, powiedział.

Nie jedną piękną myśl marzyciele i poeci na cmentarzach znaleźli, ztamtąd wynieśli oni wiele wzniosłych sentencyj o znikomościach rzeczy ludzkich, mnóstwo pięknych poglądów o marności trudów naszych, starań i zabiegów! Marzycielom wtórowali w dumaniach grabarze, posiwiali starcy, z brodami do pasa, z czaszkami jak u trupów nagiemi.

Załmon Meir nawet na cmentarzysku, wśród drukowanych szczątków ludzkich idei znajduje myśl praktyczną, nie zastanawia się nad marnościami—ale uczy, jak spreparować to, co zgóry na śmierć skazane—żeby

jeszcze i z tego praktyczną korzyść osiągnąć... to też Załmon Meir ma zawsze swoje piętnaście rubli tygodniowo — a prócz tego jeszcze oddzielne cztery ruble na szabas...

KONIEC.

PRZYPISEK AUTORA.

Szanowny Panie Wydawco!

Dobra rada warta więcéj niż złoto—mam też nadzieję, że w myśl téj maksymy, zechcesz, wydając książkę niniejszą, skorzystać ze światłych wskazówek Załmona Meira—i nadasz jéj taką formę, która zabezpieczy cię od ewentualnych strat.

Sądzę, że najlepiéj będzie dać format „na kwartę,” bo na dzisiejsze ciężkie czasy, garncowe torebki do mąki są podobno najmniéj poszukiwane na targach.

Tak twierdzi Załmon Meir Samowar, który w interesach wydawniczych ma, jak wiadomo, wielkie doświadczenie.

Klemens Junosza.

Warszawa 1888 r.